

ZBIGNIEW HERBERT

Labirynt nad morzem

2000

trident

Wydanie polskie

Data wydania:

2000

Ilustracja na okładce:

gwiazd Jana Lebensteina (frgm.; 1988),
w posiadaniu Katarzyny Herbertowej

Wydawca:

Fundacja Zeszytów Literackich
00-029 Warszawa, Nowy Świat 27
tel./fax (0-22) 826 38 22
<http://zls.mimuw.edu.pl/ZL/>

ISBN 83-911068-3-7

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

Labirynt nad morzem

I

Jest pośrodku ciemnego jak wino morza ziemia niejaka, Kreta, piękna i żyzna, wokół wodą oblana. Ludzi tam ćma i dziewięćdziesiąt miast [...]. Największe wśród nich jest miasto Knossos, a królował w nim co dziewięć lat obierany król Minos, wielkiego Dzeusa powiernik.

Homer¹

Tezeusz – statek, który ma mnie przewieźć na Krete, nie przyplłynął jeszcze do portu w Pireusie i nikt nie potrafi powiedzieć, kiedy to się stanie. Pospolite rozkłady jazdy nie obowiązują w ojczyźnie mitów, w kraju, gdzie zegary odmierzają tysiąclecia. Pozostaje mi wieśniacza cierpliwość lub wędrówka po portowych tawernach.

Tak więc siedzę w Pireusie czekając na statek i nie mam nic do roboty, jak tylko przyglądanie się twarzom. Nie są to twarze znane z waz antycznych ani ciała – jak się domyślam – podobne do posągów Praksytelesa. Domieszka elementów albańskich, bułgarskich i tureckich jest uderzająca i zamazała zupełnie urodę helleńską, jaką podróżni spodziewają się tu spotkać.

Czyżby miał rację Herr Doktor Fallmerayer, który twierdził, że najazdy słowiańskie na Grecję – począwszy od VII wieku po Chr. – zupełnie zmieniły skład etniczny jej mieszkańców?

I przypomina mi się wtedy anegdota o Shelleyu. Wielki romantyk pracował właśnie nad poematem *Hellas*, gdy jego przyjaciel Trelawny zaproponował mu spotkanie z prawdziwym Grekiem. Wybrali się obaj do Livorno, by zwiedzić grecki statek, wypełniony „tłumem podobnym do Cyganów, który wrzeszczał, gestykulował, palił, jadł i rznął w karty jak barbarzyńcy”. I w dodatku kapitan owego statku porzucił ojczyznę, ponieważ doszedł do przekonania, że wojna o niepodległość nie sprzyja jego interesom.

Myślę, że z anegdoty tej wysnuć należy jeden wniosek: narody mają ważniejsze, bardziej

¹ *Odyseja*, ks. XIX. Tłum.: J. Parandowski, Warszawa 1965, s. 284.

elementarne sprawy niż troskę, by upodobnić się do ideału wymyślonego przez romantycznych humanistów.

Po sześciu godzinach oczekiwania Tezeusz przybija do nadbrzeża. Ciasno zgnieciony w tłumie, mając pod nogami beczącą kozę, a nad głową ogromne tłumoki, wtaczam się na pokład. Przez piękne Morze Egejskie płynę tym statkiem roztrzęsionym, pełnym hałasu, brudu, nieznośnych zapachów i wspaniałego życia.

Wczesnym rankiem wychodzę na górny pokład naszego statku. Na deskach, poplamionych dziegciem i oliwą, ciała mężczyzn i kobiet porzucane w nieładzie, jakby jakaś uczta skończyła się rzezią. Jestem sam pośród sennych oddechów. Chcę zobaczyć, jak Kreta wyłania się z morza.

Wysoko, nad horyzontem zamglonym i słabo widocznym, coś niewyraźnego, zmącenie błękitu, skaza szarego koloru, która nabiera kształtu, i widzę teraz wyraźnie, jak wierzchołek góry zawieszony jest na wysokościach niby w krajobrazach japońskich. Jest niewypowiedzianie piękny – ów kawałek odległej skały unoszącej się w powietrzu za sprawą mgły. Patrząc dalej, jak góra rozrasta się, schodzi wolno, majestatycznie po stopniach, aż przed oczami osiada na morzu łańcuch górski, wypełniając horyzont.

I jest wyspa.

Tak się zaczęła dla mnie Kreta, od nieba, jak bóstwo.

Heraklion. Port i mury weneckie, bastiony otaczające miasto białych domów. Cisza zatrzaśniętych okiennic.

Idę do miasta ulicą wiodącą pod górę, która wydaje się nieskończenie długa, choć świadectwo oczu temu przeczy. Wymiary światła zastygły i choć słyszę zgrzyt piasku pod nogami i stukot własnych kroków, nie poruszam się chyba wcale, zanurzony po głowę w upale, zatopiony w blasku. Zaczyna się bolesny ubytek realności. Widzę się teraz jak we śnie, z boku, bez możliwości porozumienia się z moim ciałem, poruszającym się jak wahadło – nieruchomy, przybity do białej przestrzeni, utrwalony raz na zawsze jak na fotografii, złapany w potrzask pozoru z ciężkim cieniem za plecami. Długie lata prześladować mnie będzie ten obraz i wspomnienie wędrowki po stromej ulicy Handakos, obraz spętania – jakby to wówczas dotknęła mnie po raz pierwszy śmierć w oślepiającym słońcu południa.

Wynająłem biały pokój z żelaznym łóżkiem, nad którym wisiał groźny święty Jerzy mordujący smoka i, nie zwlekając, ruszyłem do muzeum, aby otoczyć się przedmiotami, wieloma przedmiotami, w nadziei, że uda mi się zapomnieć o tym wstydliwym epizodzie i odrażającym uczuciu wytrącenia z rzeczywistości.

Muzeum w Heraklionie zgotowało mi niespodziankę, i to niespodziankę z rzędu niemiłych, jakiej chyba nigdy nie przeżyłem w żadnym muzeum czy w obliczu jakiegokolwiek dzieła sztuki. Nie byłem wówczas człowiekiem młodym, złaknionym oryginalności, którą, jak wiadomo, najłatwiej osiągnąć, gdy się jest obrazoburcą, gdy pomiata się dziełami uznanymi i nie szanuje się ani autorytetów, ani tradycji. Taka postawa zawsze była mi obca, a nawet wroga, wyjąwszy krótki okres między czwartym a piątym rokiem życia, określony przez psychologów jako okres negatywizmu. Zawsze chciałem kochać, uwielbiać, padać na kolana i bić czołem przed wielkością, mimo że nas przerasta i poraża, bo jaka byłaby to wielkość, gdyby nie przerastała i nie porażała.

Pamiętam dobrze ten dzień, kiedy wpadłem do muzeum w Heraklionie na dwie godziny przed zamknięciem, przebiegłem (o naiwny!) sale na parterze, w których znajduje się ceramika, małe posążki z brązu, gliny i fajansu, pieczęcie i gemmy, a więc wszystko, co zaliczamy do sztuki pośledniej, do sztuki użytkowej, i z biciem serca wszedłem na piętro pierwsze, gdzie przewodnik, mój nieoceniony *Guide Bleu*, obiecywał freski od dawna znane mi z reprodukcji w niezliczonych historiach sztuki, opiewane przez znawców jako arcydzieła malarstwa starożytnego.

I co? Nic. Bez wzruszenia i bez sympatii patrzyłem tępo na *Delfiny* w błękitnej farbcie morza i na *Księcia wśród lilii*. Przypisywałem to zrazu niedyspozycji własnej, bądź co bądź żegluga rozklekotanym Tezeuszem zmęczyła mnie, odurzony byłem upałem południa i głodny, ale nie na tyle głodny, żeby dostąpić wniebowstąpienia.

Przede wszystkim – próbowałem usystematyzować moje wątpliwości – kolor fresków był banalny, podejrzanie świeży i płaski. Zestawienie barw – nachalnie plakatowe ugry, błękity i czerwienie; można by to od biedy uznać za Matisse'a (dużo gorszego), gdyby nie linia bez napięcia, linia, o której mój profesor rysunku powiedziałaby, że jest uuuu... a nie, tak jak należy, och i bach, linia zamykająca nudnym konturem płaszczyzny zamalowane lokalną farbą. Wszystko to bez głębi, bez powagi i wdzięku, wyjąwszy małe freski ogrodowe i słynną *Paryżankę*.

Przywołałem na pomoc wrażliwości, która zaniemogła – wiedzę. Przypomniałem sobie, co mówili o kreteńskim malarstwie znawcy. A mówili oni mądrze, że w sztuce tej przejawiało się widzenie ejdetyczne, podobnie jak w paleolitycznych freskach Francji czy Hiszpanii, a także w sztuce buszmenów w Rodezji.

Było to możliwe, a nawet wcale prawdopodobne, że mój instynktowny opór i niezgoda na freski minojskie polegały na tym, że zetknąłem się nagle z czymś, co nie przypominało w niczym

znanych mi malowideł ściennych egipskich, etruskich czy pompejańskich. Bo, w istocie, malarstwo artystów kretańskich wydaje się sztuką bez analogii.

A zatem – myślałem – Geerto Aeilko Snijder ma chyba rację: Kretańczycy byli ejdetykami. Tę osobliwość widzenia (powszechną u dzieci) i w konsekwencji odtworzenia świata można sprawdzić także na sobie, kiedy patrzymy na słońce lub zapaloną lampę, a potem przeniesiemy wzrok na pustą ścianę i widzimy pulsującą, czerwoną sylwetkę lampy lub słońca. Osoby ejdetyczne tak w przybliżeniu postrzegają rzeczywistość i tym fenomenem – zdolnością czy kalectwem – Snijder próbował wytłumaczyć osobliwość sztuki kretańskiej: ową zadziwiającą łatwość chwytania kształtów w ruchu jednym konturem, łatwość, której towarzyszy pewna słabość, jakby zarys przedmiotów wydobyty był omdlewającą ręką, a także brak kośćca, mięsa, materii, struktury (tak wspaniale oddanej w malarstwie renesansowym), owa niesubstancjalność ludzi, zwierząt i roślin bez korzeni, niepodległych prawom przyciągania – unoszącym się w powietrzu.

Tak więc, freski pokazane w muzeum w Heraklionie nie przemówiły do mnie. Zacząłem je obwąchiwać jak suchą kość i zauważyłem, bez trudu, że na ich powierzchni znajdują się popękane zgrubienia o nieokreślonym kolorze; stanowiły one zaledwie niewielką część powierzchni fresku i były, jak się później dowiedziałem, jedynymi fragmentami oryginałów. Z *Księcia wśród lilii* albo z *Króla-kapłana* zachował się kawałek łydki, torsu, ramienia i pióropusza. Wszystko inne było rekonstrukcją, domysłem, fantazją. To tak, jakby ktoś pomiędzy odnalezione ułamki starożytnego poematu wpisał słowa własne.

Potem, kiedy grzebałem w literaturze przedmiotu, sprawa stała się dla mnie jasna. Otóż malowidła ścienne, jakie ukazały się oczom archeologów odkopujących pałac w Knossos, znajdowały się w bardzo złym stanie, pokryte warstwą popiołu, i za byle dotknięciem rozsypywały się w proch. Leonard Cottrell w książce *Byk Minosa* mówi, że Sir Arthur Evans, odkrywca Knossos, „słusznie zaangażował znakomitego szwajcarskiego artystę, pana Gilliéron, który posiadał nadzwyczajne uzdolnienia do cierpliwego zbierania razem drobnych, ocalałych fragmentów, wrażliwego i ścisłego odtwarzania tego, co zaginęło, a potem wykonania dokładnej reprodukcji, która była umieszczana na ścianie w miejscu, gdzie znajdował się oryginał”.

Nie udało mi się nigdzie natknąć na własne prace mistrza Gilliérona czy choćby na wzmianki o tym artyście, ale podejrzewam, że Evans zaangażował go nie z powodu rzekomych talentów, które wychwala Cottrell, ale dlatego, że był posłuszny wizji odkrywcy. Nie bardzo rozumiem, dlaczego fantazje Szwajcara na temat kretańskich fresków figurują w podręcznikach historii sztuki jako oryginały.

W stosunku do innych odkrytych przedmiotów sztuki kretańskiej freski minojskie są nieliczne i doszły do nas w stanie kalectwa, spalone ogniem, okaleczone wątpliwymi zabiegami konserwatorów. A chociaż była to sztuka z pewnością mniej wielka niż egipska, nosi przecież

piętno niepowtarzalnej oryginalności.

Biel, błękit, szarość, żółć, czern, czerwień i zieleń – taka była „paleta” malarzy z Krety i znad Nilu. Ale różnice są bardziej istotne niż podobieństwa.

Minojczycy malowali na mokrych jeszcze ścianach, podczas gdy Egipcjanie stosowali technikę tempery. Te dwie metody pociągają za sobą poważne konsekwencje: pierwsza – wymaga szybkości, zdecydowania, pomijania szczegółów i zbliża się do improwizacji, druga – pozwala na retusz, poprawki, jest bardziej skupiona, powolna i kontemplacyjna.

Malarstwo Egipcjan, cała ich sztuka, jak żadna inna chyba na ziemi, znajdowała się pod przemożną władzą metafizyki. Ale przy tym najbardziej banalne sceny z życia – dzikie kaczki wśród trzciny, karpie w sadzawce – są malowane z precyzją niemal naukową i nie mamy żadnych trudności w rozróżnieniu gatunków zwierząt i roślin przedstawianych przez anonimowych mistrzów egipskich. Jak wytłumaczyć ten niepokojący mezalians naturalizmu ze wzniosłymi sprawami ducha?

Owym drobnym, idyllicznym scenom Egipcjan towarzyszy prawie zawsze znak, napis, hieroglif, który mówi, że za barwną zasłoną życia istnieje świat surowy i jedyny, świat bogów i dusz szukających nieśmiertelności. Nie zawsze realistyczna dokładność jest wyrazem radosnej afirmacji życia, pochwałą widzialnej rzeczywistości. Kwiat lotosu malowany skrupulatnie jak w przyrodniczym atlasie, ręka wyrysowana precyzyjnie na strunach harfy, piórko dzikiej kaczki – nie oznaczają ani pochwały, ani afirmacji. Są po to, aby można było odczytać z tych fragmentów czystą melancholię przemijania.

W malarstwie kretańskim mniej jest siły i wzniosłości, obca jest mu filozoficzna zaduma czy religijna ekstaza. Przywodzi na myśl płocze i lekkomyślne rokoko. Jest to sztuka spontaniczna, nerwowa, porywcza, mało dbająca o szczegół, tak że ptaki, ryby i kwiaty wyrażają jakby ogólną ideę przyrody i czasem trudno powiedzieć, do jakiego należą gatunku. Jest jednak w tym wszystkim ożywcze tchnienie ubóstwianej natury, wdzięk, uśmiech i gest taneczny.

Cały korpus malarstwa minojskiego, wszystko niemal, co ocalało z pożogi, znajduje się w nowoczesnym, pełnym światła muzeum w Heraklionie. Freski znajdują się na pierwszym piętrze w sali oznaczonej literą K. Jest ich niewiele, razem 38 różnej wielkości, od miniaturowych, których wysokość waha się od 17 do 80 centymetrów, aż do wielkich malowideł procesyjnych, w których wyobrażone postacie zbliżone są do wymiarów naturalnych.

Wiemy, że malarstwo na Krecie było, przynajmniej w pewnym okresie, bardzo rozpowszechnione i pokrywało ściany wielu pałaców i willi. Artyści minojscy malowali zarówno „abstrakcyjne” – jak byśmy dziś powiedzieli – motywy dekoracyjne, ornamenty, architekturę, kolumny, portyki, stylizowane rośliny, jak również zwierzęta, ludzi, krajobrazy zaczerpnięte wprost z otaczającego świata. Określenie „malowane z natury” nie ma, w odniesieniu do artystów kretańskich, wiele sensu, na pewno nie ustawiali sobie modeli do kopiowania; modele mieli w

sobie, niewyczerpany zasób form i kolorów, byli medium, które przekazuje przepływający strumień barwnego świata. Tak jakby nie było wówczas podziału na przedmiot i podmiot, artysta nie stał w obliczu przyrody, którą starał się zgłębić za pomocą geometrii, ale był częścią kosmosu, jak drzewo, woda i kamień, miejscem spotkania żywiołów i ani mu w głowie nie powstała myśl, że jest kreatorem, istotą wyjątkową i natchnioną.

Niewiele dzieł sztuki dotarło do nas w pełnej glorii i blasku. Należałoby się dziwić (a jest to zdumienie radosne), że ocalało aż tyle świadectw ludzkiej wrażliwości i geniuszu. W ogrodzie sztuki znajduje się wielki szpital form okaleczonych i umierających. Potężne żarna czasu pracują nieubłaganie. Więc przechadzając się po salach muzeum w Heraklionie jak po salach szpitalnych, starałem się odnaleźć w starych freskach – urodę młodości. Podobnie jak chorzy, oczekują one naszego współczucia i zrozumienia. Jeśli im tego poskapimy, odejdą, pozostawiając nas w samotności.

Niebieski ptak – znaleziony został w tak zwanym Domu Fresków w Knossos i pochodzi z około roku 1600 przed Chr., a zatem z okresu średniominojskiego. Jest to chronologicznie jedno ze starszych zachowanych malowideł kreteńskich.

Z ciemnobrazowej plamy skał wyrasta niebieski – malowany sumarycznie, jak na ludowych garnkach – ptak, siedzący chyba na kamieniu, z wyciągniętą szyją, zadartą głową, na której namalowano okrągłe jak paciorek, żółte oko. Wszystko to dzieje się w przestrzeni nierealnej, gdzie trzy stany materii przechodzą nieustannie i przemieniają się – skała w wodę, woda w powietrze. I do tego rośliny – kępy irysów, trzciny, otwarte kielichy niewiadomych kwiatów, przelatują w różnych kierunkach jak linie muzyczne, jak nuty krajobrazu. Ptak pije wodę i słucha śpiewu roślin. Odkrywców zachwycała ta scena przy strumieniu, obrazek, idylla bez mitologicznego komentarza, bez złych demonów, wyrwana śmierci pochwała wiecznego życia.

Jakże inny jest relief *in stucco*² odkryty w tak zwanej Kordegardzie u północnego wejścia do pałacu w Knossos. Malowany ciemną, spiekłą czerwienią przechodzącą w brąz – portret byka widzianego z profilu. Jest to zapewne scena pojmania (podobna do tej, jaką wyrzeźbiono na pucharze z Vaphio), o czym zdaje się świadczyć wysunięty jęzor, półprzymknięte ze wściekłości oczy i rozwarłe nozdrza wężące wroga, który się zbliża. Ciało byka w ruchu, w rozpędzonym galopie, to studium siły, fuga wściekłości, przywodząca na myśl freski z Lascaux. W delikatnym świecie kreteńskim ten szarżujący byk jest czymś wyjątkowym; przywodzi na myśl romantyków, a Delacroix kopiowałby go zapewne z lubością.

Delfiny, duży fresk w zgaszonej tonacji błękitno-ugrowej, znalazł uznanie w oczach Nikolaosa Platona, efora, czyli dyrektora muzeum w Heraklionie, krytycznego zresztą w

² *in stucco* – stiuk (wł.); nakładany na ściany materiał zdobniczy utworzony z wapna, piasku marmurowego, gipsu, kleju i barwników.

stosunku do konserwatorskich poczynań zespołu Evansa – który stwierdził, że restauracja dokonana była dokładnie. Mnie ten „portret grupowy” nie zachwyił; kolory są mdląco-słodkawe, linie manieryczne, ale pamiętać trzeba, że malowidło zostało oderwane od architektury i jego sens dekoracyjny jest dla nas trudny do uchwycenia.

Oto słynna *Paryżanka* (tytuły pochodzą od Evansa i podobnie jak wymyślone przez niego nazwy sal pałacowych zdradzają jego romantyczny gust) – reprodukowany wielokrotnie, mały portret kreteńskiej damy, w którym dopatrywano się wpływów sztuki egipskiej. Jak najbardziej niesłusznie, bo wprawdzie oko jest ogromne, egipskie, ale kontur twarzy malowany jest grubą krechą, nos lekko zadarty, zmysłowe usta, wyrazisty podbródek i włosy, zwłaszcza włosy, wymyślna fryzura z kokiem na karku i zalotnym lokiem nad czołem, a także malarskie traktowanie całości – sprzeczne są z tym, co widzimy na freskach egipskich, obwiedzionych suchą linią konturu. Portret tej młodej osobki nie ma nic wspólnego z dworską sztywnością – której można tu oczekiwać – przeciwnie, pełen jest nieco aroganckiego szarmu.

Fresk zwany *Tauromachią* (bardzo uszkodzony) miał być koronnym dowodem tego, że na Krecie w okresie minojskim odbywały się bezkrwawe igrzyska, i Evans pozostawił rysunek objaśniający, na czym polega wyobrażona na malowidle cyrkowa gra. Otóż akrobata chwycił rękami galopującego byka za rogi, odbijał się od nich jak od trampoliny, lądował na grzbiecie zwierzęcia i zeskakiwał w ramiona drugiego akrobaty. Ta domniemana, fantastyczna ewolucja, prawdziwe *salto mortale*³, dowodzi, że znakomity archeolog mało znał się na bykach, gdyż według zgodnej opinii toreadorów, a więc specjalistów, taka sztuka nie może się nikomu udać. Ciało byka na fresku wydłużone jest w pędzie, zwielokrotnione przez szybkość w sposób nienaturalny, ale zgodny z tendencją sztuki kreteńskiej, opętanej ruchem.

Najbardziej poruszyły mnie małe, miniaturowe freski, pochodzące z późnej epoki minojskiej, które Evans zatytułował *The Ladies of the Court*, *The Garden Party*. Myślę, że to właśnie w miniaturze Kreteńczycy osiągnęli szczyty.

Tłum zebrany wokół budowli sakralnej (kolumny ustawiono w dwu rzędach, stylizowane rogi byka) przypatruje się zapewne uroczystościom kultowym. Jest to jak wnętrze wielkiego teatru – nastrój sali operowej raczej niż świątyni, w której ma się odbyć spotkanie z groźnym bogiem i jego surowymi namiestnikami.

„Grupa dam, kunsztownie uczesanych, ubranych barwnie i bardzo modnie, siedzi i gawędzi wesoło, nie zważając na to, co dzieje się przed nimi [...]. Bez trudu rozpoznajemy damy dworu w wytwornych toaletach. Wyszły niedawno od fryzjera; wiją się wokół ich głów i ramion włosy, przytrzymywane wstążką przepasującą czoło i opadającą na plecy długim pasmem wśród sznurów paciorków i klejnotów [...], rękawy sukien są bufiaste, mocno zaciśnięte, paski i falbanki

³ salto mortale – skok śmiertelny (wł.).

spódnic przypominają dokładnie dzisiejszą modę. Wąski pasek pod szyją sugeruje przezroczystą bluzkę [...], brodawki sutek są widoczne [...], daje to efekt głębokiego dekoltu. Suknie są radośnie barwne, ze wstążkami w kolorze błękitu, czerwieni i żółci w białe pasy, a niekiedy czerwone naszywki.

Natychmiast zwraca uwagę widza ożywiona konwersacja między trzecią od prawej damą (tą, która ma siatkę na włosach) a jej sąsiadką. Ta ostatnia podkreśla swoją wypowiedź przez wyciągnięcie prawego ramienia, tak że niemal dotyka uda swojej rozmówczyni, ona zaś podnosi ramiona, jakby w zdumionym okrzyku: «Ale cóż ty nie powiesz!». Owa scena kobiecych zwierzeń, plotek i towarzyskich skandali jakże daleka jest od klasycznych dzieł sztuki wszystkich czasów; ta żywa rodzajowość i rokokowy nastrój przenoszą nas w epokę współczesną⁴.

Przytoczyłem ten długi cytat z Evansa trochę perfidnie. Pochodzi on bowiem z jego publicystyki, a nie z dzieł naukowych. Odkrywca Knossos był znakomitym ministrem propagandy swego dzieła, miał obrotne pióro, dziennikarska praktyka z lat młodości przydała się, a jego liczne artykuły popularyzatorskie pisane do „Timesa” i innych periodyków zdobywały rzesze wielbicieli nowo odkrytej cywilizacji.

Evans wiedział dobrze, że najbardziej porusza niefachowca stwierdzenie: „ależ oni byli tacy jak my, lubili cyrk, wesołą kompanię, a ich kobiety przypominały nasze, tak pięknie portretowane przez Whistlera”. Więc Evans wmawiał w te freski, na których postacie nie większe są od małego palca, atmosferę bardzo wiktoriańską i ta woła odkrycia w cywilizacji odległej cech bliskich jego epoce pchała go do rekonstrukcji i interpretacji nazbyt awanturnicznych.

Chłopak zbierający szafran – niewielkie malowidło ściennie, odkryte w części północno-zachodniej pałacu w Knossos i odrestaurowane przez Gilliérona według wskazówek samego Evansa. Później wybitny znawca sztuki minojskiej, wzmiankowany już Nikolaos Platon, odkrył, że ciało owego zbieracza szafranu ma dość dziwny kształt, a poza tym malowane jest kolorem błękitnym, nigdy nie stosowanym w przedstawieniach postaci ludzkiej. Potem odkryto jeszcze drobne fragmenty, kawałek ogona, kwiat krokusa i wreszcie błękitną, nieczłowieczą głowę. I tak *Chłopak zbierający szafran* stał się *Małą w ogrodzie pałacowym*.

Młodzieniec niosący ryton jest fragmentem zrekonstruowanego fresku procesyjnego, odkrytego w pałacu w Knossos zaraz na początku prac wykopaliskowych.

„Wczesnym rankiem – notuje Evans w swoim diariuszu – usunęliśmy kolejną warstwę w korytarzu na lewo od megaronu i odkryliśmy dwa duże fragmenty mykeńskiego⁴ fresku. Jeden przedstawiał głowę, drugi talię i część postaci kobiecej (później określoną jako męska) niosącą w ręku długi mykeński ryton, czyli wysokie, stożkowate naczynie, używane przy ceremoniach

⁴ Evans nie wymyślił jeszcze określenia „cywilizacja minojska”, ale od początku zdawał sobie sprawę, że trafił na ślady kultury starszej od tej, która była łupem Schliemanna.

pogrzebowych. Postać naturalnej wielkości, malowana ciemnoczerwonym kolorem, podobnie jak postacie w etruskich grobowcach i Kefti⁵ z malarstwa egipskiego. Profil twarzy jest szlachetny; pełne wargi, dolna podkreślona wygiętą linią. Oczy ciemne, migdałowy wykrój powiek. Ramiona pięknie modelowane [...], bez wątpienia jedna z najbardziej godnych podziwu postaci ludzkich z okresu mykeńskiego, jaką dotychczas odkryto”.

Ale ten sugestywny opis nie mógł obudzić mego entuzjazmu. Fresk jest śmiertelnie ranny; łuszczy się jego kolor skrzepłej krwi. Podobnie jak uznany za arcydzieło *Książę wśród lilii* – naturalnej wielkości, kroczący wśród stylizowanych roślin mężczyzna, obrysowany banalną linią. Tu chyba najbardziej znać ciężką rękę konserwatorów, bo nieliczne i zniszczone fragmenty oryginału zostały połączone w całość nieprzekonywającymi domysłami Gilliérona, który dorzucił jeszcze od siebie motyle i kwiaty.

A kiedy już myślałem, że nic nie zdoła mnie poruszyć w malarstwie minojskim, natknąłem się na sarkofag z Hagii Triady i doznałem olśnienia. Jest to niewątpliwie arcydzieło, wobec którego wszystkie kreteńskie freski bledną i gasną. Zbliżyłem się do niego z nabożeństwem, obszedłem jego cztery strony i wtedy zadzwonił dzwonek – zamykano muzeum. I znów marzenie, żeby dać się tu zamknąć i spędzić noc i poranek sam na sam bez natrętnych wycieczek, nauczyć się na pamięć wszystkich jego kolorów i linii tak, żeby potem, kiedy już będę daleko, można było zamknąć oczy i wywołać jak film wspomnienie – obraz dokładniejszy od wszystkich reprodukcji.

Nazwałem tę dzielnicę dzielnicą mięsa i owoców. Leży w środku Heraklionu i życie zamiera w niej, gdy słońce stoi pionowo nad miastem; za to rozkwita w zmierzchu i w czasie długich godzin wieczornych i nocnych, kiedy z gór schodzi chłodne powietrze. Zapach krwi, słodki oddech piekarń, ciepka chmura ziół. Owoce ogrodów i owoce morza. Nad tym wszystkim hałas i jazgot tureckiego bazaru. Przyczółek Azji.

Jednopiętrowe drewniane domki z tanimi restauracjami. Proste drewniane stoły, wystawione – jak być powinno – na ulicę. Najprzód kelner, nie pytając o nic, stawia szklanek zimnej wody, która napełnia całe ciało świeżością źródła. Zamawiam jako przystawkę talerz małych, w całości smażonych rybek, owczego sera, oliwek i zabójczo pikantnej papryki oraz nieodzowną wódkę anyżową – *ouzo*. Potem najprostsze danie – grecka pizza – *mussaka*: oberżyny, purée z kartofli i

⁵ W grobowcach egipskich znaleziono napisy i malowidła, zdaniem niektórych uczonych, odnoszące się do Minojczyków. Owe malowidła wyobrażają ludzi ubranych w stroje nieegipskie. Niosą oni daninę – wazy i naczynia – których forma i ornament odpowiada dość dokładnie ceramice kreteńskiej z jej późnego okresu. Jeden z napisów głosi: „Wielki przywódca z Kefti i wysp (lub wybrzeży) Zielonego Morza”. Ale co do tego, czy Kefti oznacza Kretę i jej mieszkańców, nie wszyscy uczeni są zgodni.

mielone mięso; cały ten przekładaniec zapiekany na gorącej blasze. Chleb jest biały i słodki, z ziarnkami siemienia na wypieczonej skórce. Wino białe z wyspy Samos, zaprawione żywicą jak za czasów Homera. A potem ogromne odpustowe ciasto. Kuchnia grecka jest chłopska i realizuje marzenia o raj, w którym powinno być słodko i tłusto.

Usadawiłem się naprzeciw jatki. Atletyczny rzeźnik daje darmowy spektakl pod tytułem „ćwiartowanie wołu”. Nóż ślizga się z maestrią przez wzgórza mięśni, tasak rozłupuje kości – rozkłada tę wspaniałą rzecz na elementy. Jednym ruchem wyjmuję z wnętrza wątrobę, serce i rzuca je płasko na rzeźniczy pień. Myślę o krytykach, którzy zajmą się nami i będą się znęcali nad tym, co po nas zostanie, kłując i szarpiąc na oślep.

Myślę także o opuszczonym sarkofagu, o przewodze dzieł sztuki nad dziełami literatury. Sarkofag jest równy samemu sobie, broni się skutecznie przed interpretacjami, nie dopuszcza do siebie hałaśliwych i przemądrzałych, nie daje się rozłożyć na czynniki pierwsze. Wypoczywa teraz w szklanej gablocie, w woskowej ciszy muzeum, sam na sam ze swoją tajemnicą – nieruchomą procesją ludzi i zwierząt.

Wróciłem tam następnego dnia. Odłożyłem wycieczkę do Fajstos. Nie pojechałem też do pałacu w Knossos, wierny zasadzie, że nie wolno żarłocznie połykać wszystkiego, że należy wybrać spośród masy przedmiotów dzieło najlepsze, będące sumą innych – uwieńczyć je, intronizować, nazwać arcydziełem. Bo też sarkofag z Hagii Triady jest arcydziełem ponad wszelką wątpliwość – jego twórca uchwycił i przekazał nam ów szczęśliwy moment olśniewającej wiedzy i natchnionej trzeźwości, kiedy cywilizacja widzi się cała jak w lustrze, świadoma swoich granic, siły i kształtu.

Sarkofag został znaleziony, jak się rzekło, w Hagia Triada, w niewielkim, sklepionym pomieszczeniu grobowym, w którym przechowywane były szczątki osób należących do rodziny królewskiej. Ową kryptę królewską uczeni datują na okres przedpałacowy, było to więc jakby Saint-Denis królów kreteńskich. Sam natomiast sarkofag pochodzi z okresu późnominojskiego.

Zrobiony został z kamienia wapiennego. Jest niewielki. Długość jego wynosi 137 centymetrów i ponieważ zawdzięczam mu wiele godzin szczęśliwej kontemplacji, myślałem, że właśnie ów sarkofag wynosiłbym z pożaru, gdyby nadarzyła się sposobność spłacenia wdzięczności za przywróconą wiarę w wielkość malarstwa kreteńskiego. Nie tknęła go ręka konserwatorów, jest więc koronnym świadkiem sztuki Minojczyków. Jego kolory: ugry, błękity, czerwień, szmaragdowa zieleń, piaskowa żółć świecą blaskiem stłumionym i szlachetnym.

Udręka opisywania. Trzeba bowiem będzie opisać sarkofag, a opis będzie, jak to opis, długi, szary, bliski inwentarza – enumeracja postaci i przedmiotów. Nie obędzie się bez odwijania zdań jak bandaży, od lewej do prawej, wbrew regułom widzenia, które dają całość w jasnym i nagłym świetle jednoczesnej obecności.

Pierwsza ściana podłużna sarkofagu, zaczynając od lewej: trzy kolorowe klosze spódnic,

spod których wystają bosc, płaskie egipskie stopy. Reszty nie ma; górna część malowidła została zniszczona i jest teraz białą chmurą nieistnienia. W centrum kamienny stół ofiarny, na którym leży spętany byk z poderżniętym gardłem. Krew spływa do stojącego pod stołem naczynia. Oczy zwierzęcia są szeroko otwarte i pełne melancholii. Pod stołem dwoje przycupniętych koźląt, w tle postać z rozwianymi warkoczami grająca na podwójnym flecie. Tak doprowadzeni jesteśmy do ołtarza zapewne, przed którym kapłanka wyciąga ręce nad ofiarnym naczyniem; w górze, bujający wbrew prawidłom grawitacji, koszyk z owocami. Na samym krańcu sceny ściana ołtarza ze stylizowanymi rogami byka i dwie obosieczne siekiery na trzonach wysokich jak kolumny. I jeszcze drzewo, malowane delikatnie i czule w tej scenie uroczystej i niemal mistycznej.

Druga podłużna ściana sarkofagu podzielona jest jakby na dwa akty, dwie sceny, wyróżnione odrębnym kolorem tła. Po lewej stronie, między trzonami dwu toporów obosiecznych – labrysów (na szczycie ich usiadły ptaki), wielki krater. Kobieta odziana w gorset i skórzaną spódnicę wlewa w ów krater krew ofiarnego zwierzęcia. Za tą, jak się domyślamy, kapłanką, dama odziana w sinofioletową suknię, w diademie na głowie (księżniczka, jak chcą niektórzy interpretatorzy), niesie na drążku, opartym o ramię, dwa wiaderka. I wreszcie ostatnia osoba ceremonialnego pochodu, postać w złotej sukni do kostek, grająca na wielkim instrumencie muzycznym, przypominającym lirę. Tak kończy się scena oznaczona jasnopiaskowym kolorem tła.

Wszystkie postacie ukazane są z profilu. Malowane jakby od jednego zamachu, bez zbędnych szczegółów i rozrzutności gestów. Skala kolorów – błękitne, złociste, brązowe. Przewaga akcentów pionowych podkreśla monumentalną powagę i spokój.

Teraz pochód zmienia nagle kierunek. Na niebieskim tle trzy postacie męskie (co malarz oznaczył brązowym kolorem twarzy w odróżnieniu od jasnej karnacji kobiet). Dwie niosą koźlęta, a trzecia, najbliższa końca sceny, model łodzi – motyw często spotykany także w grobowych malowidłach egipskich. Urywa się tło niebieskie i dotykamy teraz samego serca sceny, tajemnicy tajemnic, mistycznej przyczyny.

Zarys budowli o trzech stopniach, za nim drzewo odczytane jako cyprys. Z ziemi wylania się bohater dramatu. Ma kształt posągu, hermy, owinięty szczelnie w jasną szatę jak w kokon, zagadkowy jak zjawia, konkretny jak kamień. Powrócił jeszcze raz na ziemię, zwabiony ofiarami, muzyką, zaklęciami, obojętny i wyniosły. Jemu to poświęcone są libacje sepulkralne, zawodzenie fletów i krew.

Na węższych stronach sarkofagu wyobrażono rydwan zaprzężony w parę koni, powożony przez dwie postacie o zatartych diademach na głowie. Po przeciwnej stronie – te same dwie postacie (zmarły w towarzystwie bóstwa, jak domyślają się interpretatorzy), ale zaprząg jest osobliwy – dwa skrzydlate lwy o głowach ptaków, a zatem gryfy. Na ich ogromnych, niebiesko-złocistych skrzydłach usiadł ptak, znak obecności bóstwa.

Sarkofag jest nie tylko arcydziełem, ale jedyną ocalałą minojską Księgą Zmarłych –

dokładnym przedstawieniem rytuału; ma zatem również wartość dokumentu, plastycznego zapisu starej tradycji. Żadna z przedstawionych postaci nie ma charakteru dekoracyjnego, ale „gra” określoną rolę w przedstawionej ceremonii. Odnajdujemy tu także bez trudu wszystkie wielkie symbole religii minojskiej: topór o podwójnym ostrzu, ów labrys, od którego pochodzi nazwa labiryntu, stylizowane rogi byka, zwane rogami wotywnymi, drzewa i ptaki, których znaczenie symboliczne nie ulega wątpliwości, a także instrumenty muzyczne – strunowe, towarzyszące bezkrwawej libacji, i dęte – przypisane ofierze ze zwierząt. Cała kompozycja wydaje się być poddana ścisłym regułom sformalizowanej liturgii.

Uczeni dali nam szereg mniej lub więcej przekonujących interpretacji malowideł na sarkofagu. Jedni widzą w nim ceremonię związaną z kultem agrarnym – uczczenie powrotu wiosny; inni dopatrują się mistycznych zaślubin Zeusa z Herą. Najbardziej przekonujące wydają się tłumaczenia, które za punkt wyjścia biorą kult zmarłych. Uroczystość żałobna, ofiary, sakralne gesty mają cel praktyczny: czuwanie nad życiem zmarłego – albowiem śmierć i zmartwychwstanie były prawem naturalnym jak prawa przyrody, następstwa pór roku, opadanie liści i kiełkowanie zbóż.

Artysta przekazał nam coś więcej niż zapis kultu. Z malowideł sarkofagu emanuje niezmożona wiara w nieśmiertelność, przekonanie, że życie jest niezniszczalne. Jest to mocna i prawie radosna pieśń o rezurekcji, jaką wiele wieków później odczytujemy na tabliczkach z Petelii.

Na lewo od Domu Hadesu znajdziesz bijące źródło,
a wokół niego stoją białe rzędy cyprysów,
zatrzymaj się, stań z dala, nie zbliżaj się do niego.
Znajdź inne źródło nieopodal Jeziora Pamięci.
Zimna woda tam tryska, przed źródłem stoją strażnicy.
Rzeknij: Jestem dzieckiem Ziemi i Gwiazdzistego Nieba,
lecz ród mój jest z Nieba zaiste. I o tym wiemy wszyscy.
Spaliło mnie pragnienie i utraciłem życie. Dajcie więc szybko
wodę zimną, pianistą, co tryska z Jeziora Pamięci.

III

W ocenie takich odkryć, jak grób Tutanchamona, pałac Minosa na Krecie lub groby

królewskie w Ur, niełatwo zdobyć się od razu na odpowiednią perspektywę. Znaleźiska te, istotnie zupełnie wyjątkowe – stanowią jeden z elementów uporządkowanego obrazu przeszłości, są jednocześnie objawieniem historycznego tła, na którym wszyscy, świadomie lub nieświadomie, gramy swoje role.

Leonard Woolley⁶

Odkrycie cywilizacji minojskiej jest dziełem jednego człowieka – Arthura Evansa. Nie był on zresztą pierwszym, którego uwagę zwróciła ta tajemnicza wyspa na morzu ciemnym jak wino. Od wielu dziesiątków lat kręciło się po niej i myszkowało sporo archeologów-amatorów. Pewien konsul hiszpański rozgłaszał, że w pobliżu Knossos znajduje się zasypany pałac, długi na 180 stóp i szeroki na 140. Pod koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku odkrywca Troi, Schliemann – ten, który ufał bezgranicznie Homerowi i nie zawiódł się na nim, wdał się w skomplikowane transakcje, a przedmiotem ich były dokładnie tereny, gdzie pod warstwą ziemi, na której rosły oliwki, ukryty był od tysiącleci pałac Minosa. Ta transakcja nie doszła do skutku, bo kretański właściciel ziemski okazał się krętaczem i oszustem, czego nie mógł tolerować solidny Schliemann.

Działali też na wyspie przed Evansem włoski archeolog Federico Halbherr i jego francuski kolega Joubin, a także amerykański dziennikarz i miłośnik archeologii, Stillmann. Wielka sensacja naukowa wisiała niejako w powietrzu.

Ale zanim o tym opowiemy, przyjrzyjmy się bliżej Arthurowi Evansowi. Będzie to pożyteczne, bo pozwoli zrozumieć, dlaczego jemu to właśnie przypada chwała odkrywcy, a także wyjaśni, dlaczego dał nam Knossos w takiej właśnie postaci.

Był niski, wręcz mały, niezbyt pociągającej powierzchowności, wybuchowy temperament przysparzał mu więcej wrogów niż przyjaciół, ale te braki natury i wady charakteru rekompensowała niezłomna wola, solidne wykształcenie i ogromne zasoby energii. Fortuna obdarzyła go długim życiem i majątkiem osobistym, który pozwolił mu na prowadzenie 40-letnich prac wykopaliskowych, a także realizację swych pełnych fantazji rekonstrukcji.

Urodził się w roku 1851 w małym miasteczku Hemel-Hempstead, w rodzinie bogatych przemysłowców i uczonych. Obaj jego dziadkowie, po mieczu i kądzieli, byli członkami Royal Society, ojciec – wybitnym geologiem, antropologiem, znawcą prehistorycznej archeologii i kolekcjonerem starożytności.

Dom zacny, pełen pamiątek, wiktoriańskich cnót i skamielin. Od wczesnej młodości pasjonowały Arthura monety, co było nie bez związku z jego rozpaczliwą miopią, o czym wspominamy, aby zrozumieć późniejsze pomyłki wielkiego archeologa.

⁶ *W poszukiwaniu przeszłości*, Warszawa 1964.

Joan Evans w książce *Time and Chance* tak pisze o swoim przyrodnim bracie: „Evans był krańcowym krótkowidzem i stale nosił szkła. Bez nich mógł widzieć tylko drobne przedmioty, jeśli je zbliżał na odległość paru centymetrów do oka, ale za to z najdrobniejszymi szczegółami, podczas gdy wszystko wokół było dla niego mętną plamą. Dlatego właśnie szczegóły, które widział z mikroskopijną dokładnością, jakby oderwane od zewnętrznego świata, posiadały dla niego większe znaczenie niż dla innych ludzi”.

Cały jednak charakter i osobowość Evansa były zaprzeczeniem tego, co zwykle się określać mianem „książkowego mola”. Już w słynnej szkole Harrow przyszły odkrywca Knossos dał się poznać jako chłopiec wybitnie zdolny i dość niesforny (redagował studenckie satyryczne pismo „Żmija”, zawieszono je przez pedagogów po ogłoszeniu pierwszego numeru, a także jako wyborny pływak i jeździec, co miało kapitalne znaczenie dla jego przyszłej kariery eksploratora. Archeologia bowiem, w okresie bohaterskim, wymagała od swoich adeptów wielkiej wytrzymałości fizycznej, a także odwagi osobistej. Spalone słońcem pustkowia, chmury owadów roznoszących zarazki, długie noce w dusznych barakach, pod moskitierą, groźba malarii, bunty niepiśmiennych robotników, samotność – były zwykłą scenerią i ceną cierpliwie płaconą za uratowany kamień, inskrypcję, rzeźbę.

Młody Evans studiuje w Oksfordzie, wolny czas i wakacje poświęca na podróże, i to wcale niebanalne, do Rzymu, powiedzmy, czy Paryża. Pociągają go krainy leżące na krańcach cywilizowanej Europy – Laponia, Finlandia, Krym, Bułgaria, Rumunia i oczywiście Grecja.

Zupełnie szczególną sympatią obdarzał Evans kraje południowej Słowiańszczyzny. Fascynowało go wybrzeże Dalmacji ze swą mozaiką kultur, wspaniałym krajobrazem i ludźmi świadomymi swojej przeszłości i walczącymi samotnie o wolność. Potomek konserwatywnej rodziny staje się liberałem, zwolennikiem Gladstone’a. Postanawia bronić sprawy uciemnionych przez Turków Słowian, na przekór opiniom panującym w jego ojczyźnie i intrygom mocarstw.

Ten rozdział życia Evansa można by zatytułować „awantury polityczne archeologa”. Przyszły odkrywca połknął bakcyła polityki, co zresztą zdarza się wielu młodym, bardziej rozgarniętym ludziom wszystkich czasów. Przyczyniły się zapewne do tego pewne niepowodzenia na drodze uniwersyteckiej kariery. Młody naukowiec ukończył znakomicie swoje studia, nie był jednak popularny w konserwatywnym środowisku Oksfordu i jakby z zemsty za brak akceptacji stał się politycznym *enfant terrible*⁷.

Wprawdzie Evans robił wyraźnie na złość swojej rodzinie, lecz poczynania jego pełne są sensu, rozmachu i konsekwencji. Wkracza odważnie w gąszcz problemów bałkańskich (był nawet aresztowany pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Rosji), pisze książkę o Bośni i Hercegowinie, którą wysyła wybitnym politykom, a w roku 1877 zostaje specjalnym

⁷ *enfant terrible* – okropne dziecko (fr.); osoba nietaktowna.

korespondentem do spraw bałkańskich świetnego i wpływowego pisma „Manchester Guardian” i osiedla się w Raguzie (dzisiejszy Dubrownik).

Jest korespondentem z krwi i kości, reportażystą w wielkim stylu, ryzykującym wielokrotnie bezpieczeństwo osobiste, zaangażowanym w sprawy uciemżonych Słowian, pochłoniętym pasją dawania świadectwa prawdzie. Niestrudzony, przemierza wyżyny i pustkowia Czarnogóry, przepływa rzeki, wędruje pieszo i konno, dociera do sztabów powstańczych, pisze z oburzeniem o okrucieństwach tureckich wobec miejscowej ludności, a kiedy konsul angielski ogłasza, że jego artykuły są dziełem fantazji, posyła do „Guardiana” szczegółową listę spalonych wsi i nazwiska ofiar tureckiego terroru.

W tym czasie żeni się z córką swego przyjaciela, historyka z Oksfordu, i kupuje w Dubrowniku piękny wenecki dom, zwany Casa San Lazzaro. Nie oznacza to bynajmniej rezygnacji z działalności publicystyczno-politycznej. Kiedy wybucha kolejne powstanie przeciw Austrii, Evans pozostaje w kontakcie z powstańcami i pisze z entuzjazmem o ich zwycięstwach. I tu przebiera się miarka i cierpliwość okupantów. Zostaje aresztowany przez władze austriackie i na wiosnę 1881 roku zmuszony wraz z żoną do opuszczenia Dalmacji. Ku satysfakcji rodziny wraca do Anglii. „Dostał nauczkę i teraz będzie siedział w domu – mam nadzieję” – pisze jeden z jego krewnych.

Złudne nadzieje. Buntowniczy Evans nie znajdował dla siebie miejsca w tradycyjnych ramach. Drażni go w oficjalnej, uniwersyteckiej archeologii brak szerokich horyzontów, płytki kult klasycznej i tylko klasycznej sztuki, a także szkolarskie podziały. „Dzieje się tak – kpił w jednym z listów – jakby istniała odrębna geografia dla wysp i dla kontynentów albo nie mające ze sobą związku geologie dyluwialne i geologie aluwialne”. Intuicja wiodła go we właściwym kierunku, trzeba jednak było zdobyć materiał faktów.

Wyrusza tedy Evans do Grecji na poważny rekonesans naukowy. W Atenach odwiedza wielkiego Henryka Schliemanna. Dzieli ich znaczna różnica wieku (bez mała 30 lat) i sława. Archeolog niemiecki ma już za sobą wszystkie znakomite odkrycia: Troję, Tyryns i Mykeny; jego młodszy angielski kolega jest tylko dobrze zapowiadającym się absolwentem świetnej uczelni – gdyby umarł w tym czasie, poszedłby na dno niepamięci wraz ze swoją nie sprawdzoną niezgodą na dotychczasowy stan wiedzy o przeszłości.

O czym rozmawiali? Można sobie wyobrazić to spotkanie. Schliemann zapewne opowiadał o Homerze, Evans słuchał z szacunkiem, ale cały pochłonięty oglądaniem mykeńskich przedmiotów ze złota, a także biżuterii i pieczętek – przybliżając te skarby na odległość kilku centymetrów do fatalnie krótkowzrocznych oczu. Te obiekty pasjonują go od dawna. Posiadają motywy dekoracyjne dalekie od klasycznie greckich, które skutecznie obrzydziła mu szkoła. Przywodzą na myśl Asyrię i Egipt. Ale jest to znów intuicja, estetyczna impresja. I być może, podobnie jak fizyk czy astronom, którzy przeczuwają nie odkryty pierwiastek czy gwiazdę,

Evans domyśla się, wierzy, zakłada istnienie nie odkrytej cywilizacji, która połączy kulturę starożytnego Wschodu i „cud grecki” we wzór zrozumiałego wynikania.

Trudno stwierdzić, czy spotkanie ze Schliemannem miało dla Evansa znaczenie przełomowe. Ale, po latach, wspomni swego poprzednika z czcią i sympatią: „Coś z romantycznych przeżyć wcześniejszych lat przyłgnęło do jego osobowości; w pamięci pozostało mi uczucie prawie tajemniczości, gdy siedziałem naprzeciw tego czarno odzianego mężczyzny, szczupłego, o delikatnej budowie i ziemistej cerze, noszącego binokle osobliwego kształtu, przez które patrzył przenikliwie w głąb ziemi”.

Po powrocie do Anglii Evans zostaje mianowany kustoszem Ashmolean Museum, założonego w XVII wieku w Oksfordzie, a znajdującego się w owym czasie w opłakanym stanie – zbiory przedmiotów o różnej wartości, z wielu epok i nierzadko wątpliwej proveniencji. Nie zaprzestaje intensywnych podróży naukowych; w czasie jednej z nich umiera nagle ukochana jego żona Margaret – wierna towarzyszka uciążliwych wypraw badawczych, znana w rodzinie z dowcipnych listów, w których opisywała codzienność „łowcy przeszłości”, jak na przykład dramatyczne polowanie na pluskwy w jakimś zagubionym bałkańskim zajeździe.

Wiosną 1894 roku Arthur Evans postawił po raz pierwszy stopę na wyspie swego przeznaczenia. Kreta przypadła mu od razu do serca. Odnalazł w niej to wszystko, co zachwyciło go w Dalmacji: dzielny lud pod okupacją turecką, dramatyczny krajobraz, pomniki i ślady długiej historii helleńskiej, rzymskiej, francuskiej, weneckiej i tureckiej. Pod tą barwną mozaiką wielu kultur Evans spodziewał się znaleźć coś, czego dotychczas nikt nie nazwał, nikt nie dotknął.

Jeszcze przed rozpoczęciem prac wykopaliskowych zanotował: „Złoty wiek Krety leży daleko, poza granicami znanej nam historii”, i dalej zdanie, które wydaje się nam paradoksem: „Nic mocniej nie porusza archeologa badającego relikty bardzo dalekiej przeszłości niż to, gdy znajduje je w miejscu, gdzie obiekty pochodzące z okresów historycznych są względnie rzadkie i nieważne”.

Kolejny powrót do Anglii i w marcu 1899 roku wyprawa na Kretę, tym razem już z konkretnym celem rozpoczęcia wykopalisk. Jest ich trzech: Evans, David George Hogarth – młodszy od Evansa, ale bardziej od niego doświadczony w dziedzinie technik archeologicznych, i Duncan Mackenzie – rudy Szkot, poliglota i spec od prowadzenia dziennika prac wykopaliskowych. Płyną jak Argonauci na spotkanie z jedną z najwspanialszych przygód nowożytnej humanistyki. Na morzu szaleje burza. Dawno umarli Minojczycy bronią swojej tajemnicy.

Bezwzględnie rozpoczęto prace w pobliżu Knossos, na wzgórzu Kefalosa. I w pierwszych już dniach ukazuje się oczom archeologów ogromny labirynt budowli.

Pod datą 27 III 1899 roku Evans notuje w swoim dzienniku: „Nadzwyczajne zjawisko – nie znaleźliśmy niczego greckiego, niczego rzymskiego – poza może jednym fragmentem czarnej

glazury. Zwiodła nas trochę ceramika geometryczna z VII wieku przed Chr., jak również grobowce odkryte w pobliżu drogi centralnej [...]. Rozkwit Knossos należy datować znacznie wcześniej. Powiem więcej: wielki okres tej cywilizacji trzeba cofnąć aż do okresu przedmykeńskiego”.

Tak narodziła się nowa dziedzina wiedzy o naszej przeszłości. Na świat grecki – zdawało się poznany do końca – padło nieoczekiwane światło. Tradycyjne, dziewiętnastowieczne izolowanie „cudu helleńskiego” od świata otaczającego barbarzyńców trzeba było odesłać do lamusa teorii nie potwierdzonych.

Evans stanął wobec zadania przekraczającego – patrząc na to z dzisiejszego punktu widzenia – siły jednego człowieka. Gdyby odkrycie dokonane zostało pół wieku później, nad pracami wykopaliskowymi czuwałaby zapewne potężna międzynarodowa organizacja i wieloosobowy sztab uczonych.

Marzeniem Evansa było odczytanie pisma kreteńskiego. Przez wiele dziesiątków lat ścigał ten cel uparcie i bezskutecznie. Prawdę mówiąc, w dniu, w którym stanął u stóp wzgórza Kefalosa i kiedy łopaty 30 robotników zagłębiły się w ziemi, nie spodziewał się wcale, że los obdarzy go rzadkim przywilejem i tytułem odkrywcy nieznannej cywilizacji.

Miał lat 49, prawie tyle samo, co Schliemann, kiedy zaczął wykopaliska Troi. Nie odkrył złotych masek, skarbcza, drogich kamieni – jak to działo się w Mykenach – ale stanął oko w oko ze sztuką dojrzałą i wyszukaną, architekturą pełną szarmu i subtelności, i zaskakująco słodkim, chciałoby się rzec, dekadencją stylu życia, który emanował z odsłoniętych ruin. Labirynt schodów, pokoi, korytarzy, tarasów i dziedzińców zdawał się nie mieć końca i Evans z kłębkim Ariadny w rękę cierpliwie posuwał się naprzód krok za krokiem. Wkrótce trzeba było potroić liczbę zatrudnionych robotników. Przedsięwzięcie było zaiste na skalę niebywałą.

Evans zatrudniał zawodowych architektów, i to nie – jak było w zwyczaju – w końcowym etapie prac dla sporządzania ostatecznych planów, rzutów poziomych i pionowych odkrytych zabytków – ale od samego początku prac wykopaliskowych. Pierwszym jego współpracownikiem był Theodore Fyfe – architekt Brytyjskiej Szkoły Archeologicznej w Atenach, następnie Christian Doll i w końcu Piet de Jong. Co to znaczy? Znaczy to, że od samego wstępu Sir Arthur podjął decyzję, jakiej nie może mu wybaczyć wielu specjalistów, a mianowicie decyzję rekonstrukcji.

Na usprawiedliwienie odkrywcy można powiedzieć, że materiał, z którego zbudowany był Knossos, mógł przyprawić o desperację. Pałac był jakby z mgły i marzeń, uciekał przed archeologiem, ściany pokryte freskami rozsypywały się w proch za byle dotknięciem, spalone drewniane kolumny, a właściwie ich ślady, nie podtrzymywały żadnych stropów. Więc Evans postanowił ścigać swoją wizję pałacu. Piszący o jego pracach uczonego austriackiego Camillo Praschniker pozwolił sobie na bardzo złośliwą, lecz nie pozbawioną racji uwagę. Nazywa

Knossos ni mniej, ni więcej tylko „miastem filmowym”, gdzie „wędruje się wśród hipotez, które, chociaż zrobione z uzbrogonego betonu – są nad wyraz kruche”.

Obcując z dziełami przeszłości, chcemy mieć pewność, że są autentyczne, że nikt ich nie poprawiał, nikt nie wtrącił się, żeby je upiększyć, udoskonalić, uczynić bardziej zrozumiałymi. Pragniemy sami, bez pomocy pośredników, przerzucić most nad przepaścią czasu, między nami a ludźmi i bogami sprzed tysiącleci. Nie będąc uduchowionym ponad miarę, poszukiwałem zawsze materialnych śladów, aby nawiązać porozumienie i przymierze. Dlatego nieodmiennie wzruszały mnie koleiny na rzymskich drogach, starte przez pielgrzymów stopnie katedry, znak muratora na kamieniu.

Zwiedzający pałac w Knossos pozbawiony jest tych rozkoszy. Nowoczesny materiał budowlany, kolumny pomalowane brudną, ciemnoczerwoną farbą, z czarnymi bazami i kapitelami, płoszą obecność dawnych mieszkańców.

Trzeba powiedzieć, że Evans dość wcześnie zetknął się z krytyką swoich metod. Jednym z pierwszych jego oponentów był dyrektor Brytyjskiej Szkoły Archeologicznej w Atenach, Hogarth. Zrazu obaj uczeni pracowali ze sobą zgodnie, ale szybko ich drogi rozeszły się. Hogarth zarzucał Evansowi topienie funduszy (z początku częściowo publicznych) w luksusowych rekonstrukcjach, przeznaczonych raczej dla laików niż dla specjalistów. I rzeczywiście, Evansowska skłonność do tego, co spektakularne, mogła budzić zastrzeżenia. „Taka na przykład restauracja «Sali Tronowej» nie była wynikiem stosowania metod naukowych, ale jedynie zaspokajała pragnienie, aby odtworzyć w sposób namacalny to, co należało pozostawić wyobraźni” – pisze Hogarth do Evansa i w dalszym ciągu listu grozi wstrzymaniem dotacji.

Dotacje istotnie zostały wstrzymane już w roku 1902. Evans musiał się z tym wszystkim liczyć, skoro w liście do ojca pisanym w listopadzie roku 1900, a więc kilkanaście miesięcy po rozpoczęciu prac wykopaliskowych, komunikuje: „Pałac w Knossos był moją ideą i moim dziełem, a okazuje się takim odkryciem, jakiego trudno spodziewać się w ciągu jednego życia, ba, w ciągu wielu ludzkich egzystencji. To, że Fundusz [Kreteński Fundusz Wykopaliskowy] powinien mi pomóc, to inna sprawa. Jeśli da mi pieniądze osobiście, będzie to najzupełniej do przyjęcia. Ale możemy również zachować przynajmniej część Knossos w rodzinie! Jestem całkowicie na to zdecydowany [...], dlatego że muszę, i to ja jeden, mieć kontrolę nad tym, co przedsięwziąłem. Na pewno są tacy, którzy postąpiliby inaczej, ja wiem natomiast, że takie właśnie jest moje stanowisko. Może to nie jest najlepsza droga, ale jedyna możliwa dla mnie, aby kontynuować pracę”.

Jest to bardzo znamienne przyczynki do charakterystyki Evansa. Knossos pozostało przez 30 lat jego prywatną pasją i własnością. Sławy nie chciał dzielić z nikim, więc i odpowiedzialność za kształt pałacu spada tylko na niego. Prace pochłonięły znaczną część osobistego majątku odkrywcy – ćwierć miliona mocnych jeszcze wówczas funtów szterlingów.

Bezsporną zasługą Evansa było nie tylko zebranie ogromnego materiału, ale pierwsza wielka próba jego usystematyzowania i stworzenia chronologii starożytnej Krety. Starał się również uchwycić wszystkie współzależności i związki odkrytej cywilizacji z historią Troi, Cyklad i Hellady, a zwłaszcza Egiptu i Mezopotamii (dwóch najstarszych i najbardziej znanych kręgów kultury). Było to możliwe dzięki znaleziskom obiektów anatolijskich, syryjsko-fenickich i egipskich na Krecie, a także przedmiotom kreteńskim, na jakie archeologowie trafili na Wschodzie. Szczególną uwagę Evansa przykuwały stosunki Egiptu z Kretą, i to właśnie historia Egiptu, spenetrowana najdokładniej dzięki źródłom pisanim, wpłynęła decydująco na periodyzację cywilizacji kreteńskiej.

Okresowi od końca neolitu aż do inwazji Achajów na Kretę Evans nadał nazwę minojskiego. Hołd złożony bezimiennym królom wyspiarskiego państwa.

Opierając się między innymi na ceramice, odkrywca Knossos podzielił cywilizację minojską na trzy okresy: wczesnominojski 3400-2100 r. przed Chr., dla którego charakterystyczna jest ceramika „przydymiona”, często monochromatyczna; okres średniominojski od 2100 do 1580 przed Chr., ceramika zwana Kamares (od nazwy miejscowości) z wzorami kolorowymi na ciemnym tle, i wreszcie okres późnominojski 1580-1200 przed Chr., któremu odpowiada ceramika o ciemnych wzorach na jasnym tle⁸. Epoki dzielą się jeszcze na okresy i fazy i jest rzeczą znaną, że Evans powtórzył mityczny cykl trójkowy jakby pod wpływem legendy o Zeusie, który co dziesięć lat przedłużał władzę królewską Minosa.

„Dla tej rozległej przestrzeni czasu – pisze odkrywca Knossos – obejmującej przeszło dwa tysiące lat, zastosowaliśmy podział na trzy zasadnicze epoki: wczesno-, średnio – i późnominojską, a z kolei dla każdej z nich trzy okresy, czego nie należy zresztą rozumieć zbyt drobiazgowo czy z dokładnością zegarmistrzowską. Każdy okres trwa przeciętnie 250 lat, a okresy epoki wczesnej są naturalnie dłuższe. Ten podział, jeśli patrzymy na rozwój całej cywilizacji minojskiej czy na jej stadia, jest w swej istocie zarówno logiczny, jak i naukowy. W każdej charakterystycznej fazie kultury obserwujemy bowiem czasy rozkwitania, dojrzałości i upadku. Trzy zasadnicze epoki minojskiej historii odpowiadają z grubsza Staremu, Średniemu i Wczesnemu okresowi Nowego Państwa Egipskiego”.

W rzeczywistości chronologia zaproponowana przez Evansa ma szereg punktów słabych i podlegała licznym przeróbkom, uzupełnieniom i zmianom. Odnosi się ona głównie do Knossos, ale zawodzi już w innych miastach minojskich, jak Malia czy Fajstos, jakby obowiązywały tam lokalne zegary i odrębna miara czasu. Nowe odkrycia archeologiczne podważyły zresztą całą niemal chronologię starożytnego Wschodu i Egiptu. Inwazję Hyksosów na Egipt należało

⁸ Przytoczony wyżej podział i charakterystyka ceramiki minojskiej są oczywiście niesłychanie schematyczne i nie oddają całego bogactwa tej sztuki i rzemiosła.

„przesunąć” w okolice roku 1720 przed Chr. Odkrycie w roku 1942 listy królów Chorsabad zmusiło do modyfikacji chronologii mezopotamskiej. Panowanie Hammurabiego, oznaczone początkowo na lata 2123-2081 przed Chr., określa się obecnie na lata 1848-1806 przed Chr., a nawet 1792-1750 przed Chr. Dlatego nowsi badacze, Glotz, Matz czy Nikolaos Platon, poszukują bazy solidniejszej dla datowania historii Krety niż hipotezy Evansa i opierają się na wprowadzeniu metali lub zburzeniu pałaców na wyspie.

Dziełem życia Evansa jest jego *The Palace of Minos at Knossos*. Pierwszy tom tej monumentalnej książki, wielkiej sagi starożytnej cywilizacji Krety, ukazał się w roku 1921, ostatni piętnaście lat później. Całość obejmuje sześć woluminów, przeszło trzy tysiące stron i około 2500 ilustracji.

Pałac Minosa powstał w obszernym, zamieszkanym głównie przez księżki, domu Evansa w Youldbury, w przerwach między sezonami wykopaliskowymi. Przyrodnia siostra odkrywcy zanotowała w swoich wspomnieniach taki oto wizerunek uczonego w akcji: „Tutaj mógł pracować nad swoją książką – dzieląc i klasyfikując materiał w prosty sposób, a mianowicie ustawiając nowe stoły na kozłach dla każdego nowego rozdziału i przechodząc od jednego do innych, jak szachista rozgrywający wiele partii w tym samym czasie [...]. Naprawdę potrzebował dużo przestrzeni; materiał był przytłaczający; i w dodatku zmagając się z nim nie korzystał z żadnych nowoczesnych ułatwień. Nie miał ani sekretarki, ani maszyny do pisania, a posługiwał się nieodmiennie gęsim piórem”.

Niez mordowany starzec. Mając 75 lat przeżył na Krecie trzęsienie ziemi, które obserwował z uwagą i chłodno jak Pliniusz wybuch Wezuwiusza. Nasunęło mu się przypuszczenie, że w tym przeraźliwym zjawisku przyrody należy szukać wyjaśnienia zagłady odkrytej i umiłowanej przez niego kultury. Mając lat 80 podróżował na Kretę hydroplanem i bardzo cenił sobie ten środek lokomocji. Do końca życia niemal władzę nad Knossos sprawował twardą ręką.

Parę lat przed wybuchem II wojny światowej odwiedził Dalmację i swój dawny dom w Dubrowniku, gdzie przeżył krótkie, szczęśliwe lata swego małżeństwa z niezapomnianą Margaret. „Przyjeżdżam tu zawsze co pięćdziesiąt lat”.

Umiera w glorii i huku bomb. Patriarcha śródziemnomorskiej archeologii, obsypany zaszczytami, tytułami wielu uniwersytetów, uszlachcony przez króla, zasłużył na śmierć bardziej łagodną po tak burzliwym życiu. Do końca pracuje i żywo interesuje się wypadkami wojennymi. Ciężko przeżył klęskę swych umiłowanych krajów, Francji, Jugosławii, na koniec Grecji. W jego domu kretańskim, zwanym Villa Ariadna, urzędował sztab hitlerowskich wojsk. Jeszcze w roku 1941 odwiedza British Museum, zniszczone bombami nieprzyjacielskich samolotów.

Jak ocenić tę niezwykłą postać? Nie nasza to sprawa. Zajmują się tym, z właściwą sobie bezwzględnością, następcy uczonego. A ponieważ w naszym pokoleniu epoka wiktoriańska ma trochę lepszą opinię niż w oczach pokolenia, które bezpośrednio po niej nastąpiło, nie będzie

chyba nadmierną zgryźliwością, jeśli nazwiemy go – Tennysonem archeologii.

IV

*Tout traité d'archéologie passe*⁹.

Charles Piccard

Wydawało się, że Evans powiedział wszystko, co można było powiedzieć o Knossos i kulturze minojskiej; można było przypuszczać, że po wielkim dziele odkrycia następcom pozostaną tylko przyczynki i posłuszne repetycje tego, co napisał Sir Arthur. Ale w badaniu przeszłości, tak jak w każdej innej dziedzinie wiedzy, ostatnie słowo nie należy do odkrywcy. Marcel Brion mówi z melancholią, że nic nie jest zupełnie pewne i definitywne w nauce w ciągłym ruchu, jaką jest archeologia.

W połowie roku 1960, a więc 19 lat po śmierci Evansa, wybucha ostra polemika o sprawę, która pozornie interesować mogła tylko fachowców, ale szybko przekroczyła ich krąg i przez dobre parę lat głośno o niej było na łamach prasy, w tygodnikach kulturalnych, w radiu. Namiętny spór archeologów, językoznawców, badaczy cywilizacji stał się niejako publicznym widowiskiem.

Protagonistą owego sporu, który nie doprowadził zresztą do definitywnych rozstrzygnięć, był uczony angielski, profesor Oksfordu Leonard Robert Palmer. Zaproponował on rewolucyjną, bo sprzeczną z opiniami większości specjalistów, nową chronologię, nowe datowanie greckiej epoki brązu.

Na kapitalne pytanie, kiedy Grecy wkroczyli na półwysep, który odtąd stać się miał ich ojczyzną – podręczniki historii i większość fachowców podają przybliżoną datę: krótko po roku 2000 przed Chr. Palmer przyznaje, że w tym okresie była istotnie inwazja na półwysep, ale nie ma żadnego dowodu, aby przypisać ją Grekom. Ci ostatni – jego zdaniem – usadowili się na ziemiach, nazywanych odtąd Grecją, krótko po roku 1600 przed Chr., wprowadzając to, co archeologowie nazywają kulturą późnohelladzką albo mykeńską.

Jak się za chwilę przekonamy, nie jest to tylko pedantyczny spór o daty, ale kontrowersja pociągająca za sobą całą masę istotnych problemów, a także rewaloryzację roli i wpływów poszczególnych kręgów kultury. Na nowo postawione zostało pytanie: gdzie leżą źródła naszej cywilizacji i jakie ludy były tej cywilizacji istotną siłą i motorem?

⁹ Każda rozprawa archeologiczna przemija (fr.).

Drugim bardzo ważnym problemem jest próba odpowiedzi na pytanie: kiedy Grecy podbili Krete? Tutaj znów większość uczonych, idąc za Evansem, podaje przybliżoną datę – około roku 1450 przed Chr. Co więcej, dla owych uczonych data ta jest równoznaczna z katastrofą kultury minojskiej, z jej gwałtownym załamaniem się. Okres 1400-1100 przed Chr. powszechnie uważany jest za okres ostatecznego upadku, obalenia w proch i zapomnienia cywilizacji kwitnącej przez tyle stuleci. Umiłowany uczeń Evansa, wybitny młody archeolog, kurator pałacu John Pendlebury (zginął bohatersko walcząc w szeregach kreteńskich partyzantów), mówi obrazowo, że w owych czasach Knossos było ruiną o zniszczonych schodach i rozsypujących się salach, po których błąkały się posępne duchy przeszłości i dzicy, barbarzyńscy lokatorzy, nie zdający sobie sprawy, czym niegdyś było to miejsce.

Także z tym – zdawałoby się ugruntowanym w historii poglądem – Palmer nie zgadzał się zasadniczo. Dla niego, odmiennie niż dla większości badaczy, ów okres, określane jako czasy upadku, to epoka artystycznej świetności i ekonomicznego dobrobytu Krety. Wyspa znajdowała się wprawdzie pod panowaniem Greków, lecz nadal była ośrodkiem żywej kultury.

W kościele uczonych, archeologów, lingwistów, historyków greckiego okresu brązu pojawiła się oto herezja. Podobnie jak w procesie, aby wnieść skargę rewizyjną, należy powołać się na nowe dowody – obrońcy Evansa zażądali faktów uzasadniających rewelacyjną hipotezę. Palmer stwierdza, że jego drastyczna rewizja opiera się przede wszystkim na odczytaniu w roku 1952 pisma linearnego B (które dla odkrywcy Knossos było zagadką), a także na znalezieniu w pałacu Nestora w roku 1939 przez uczonego amerykańskiego Blegena całego okazałego archiwum tabliczek pokrytych pismem linearnym B, a więc tym samym, jakie w Knossos odkrył Evans. Otóż tabliczki z kontynentu greckiego (znaleziono ich więcej w Pylos) datowane są ponad wszelką wątpliwość na rok 1200 przed Chr. Jak wytłumaczyć ten dwuwiekowy hiatus między tabliczkami z kontynentu i z wyspy? Czy Evans nie pomylił się (świadomie) w datowaniu? Czy Minojczycy są istotnie, jak chciał odkrywca Knossos, wynalazcami tego pisma, czy, przeciwnie, powstało ono na kontynencie?

No cóż, uczeni są także ludźmi nie pozbawionymi namiętności. Nic więc dziwnego, że odkrytym przez siebie cywilizacjom chcieliby nadać większe znaczenie, większy splendor, większy zasięg wpływów, niż miały w rzeczywistości.

Analizując treść odczytanych tabliczek z archiwum Nestora Palmer dochodzi do wniosku, że około roku 1200 przed Chr. Knossos eksportowało na kontynent liczne wyroby z ceramiki i metalu (np. brązowe trójnogi), nie może być zatem, jego zdaniem, mowy o upadku kultury minojskiej w tym okresie.

I wreszcie należy się liczyć z tym, co mówi Arcypoeta. Homer nie zawiódł nigdy archeologów. Naprowadził na ślad Troi. Mówił, że Agamemnon panował w Mykenach, i Schliemann odkrył jego zamek. Nestora umieścił w Pylos i Blegen odkrył jego pałac. Dlaczego

miałby się mylić ów Niezawodny i Wielki – gdy mówił, że Idomeneus, król Krety, mający swoją stolicę w Knossos, wnuk Minosa, uczestniczył w wojnie trojańskiej (około roku 1100 przed Chr.) i był jednym z jej bohaterów? Wystawił przecież 80 okrętów (tylko 10 mniej niż potężny Nestor); wyznaczono go także jako wojownika, który miał stoczyć pojedynek z Hektorem. Był wreszcie jednym z załogi podstępного konia trojańskiego – jednym z pierwszych, którzy wdarli się do miasta. Tak to Palmer stara się zjednać miłośników Homera dla swej tezy o wielkości Krety w okresie rzekomego upadku tej wyspy.

Na koniec, coś jakby z romansu kryminalnego: dowód rzeczowy ukryty w piwnicach muzeum, nie znany uczonym dokument, odkryty przez Palmera, a rzucający cień na pamięć odkrywcy Knossos. I tutaj polemika uczonych przerodziła się w aferę o fałszerstwo.

„W lutym 1960 roku – pisze Palmer – czułem, że nie mogę dłużej aprobować dokonanego przez Evansa datowania odkrytych w Knossos tabliczek z pismem linearnym B. Rozpocząłem szereg badań, które ujawniły nowe dokumenty pochodzące z Ashmolean Museum w Oksfordzie. Przede wszystkim, i to jest najważniejsze, znaleźliśmy dziennik prac wykopaliskowych (*The Day Book of the Knossos Excavations*) prowadzony przez Duncana Mackenzie – asystenta Evansa. Ten dokument stał się wielką pomocą przy ustalaniu faktów. Otóż główną podstawą Evansa dla ustalenia daty tabliczek była stratyfikacja dokonana w małym pokoju, zwanym Pokojem Waz Strzemiennych (od rodzaju ceramiki z charakterystycznym ornamentem). Dziennik prac wykopaliskowych mówi coś zupełnie innego, co zresztą zgadza się z zapiskami samego Evansa, które miałem możliwość przebadać. W końcu mamy obecnie własnoręczne kopie tabliczek z pismem linearnym B, wykonane przez Sir Arthura, zostały one znalezione dopiero w ostatnim miesiącu w Ashmolean Museum. Te dokumenty wskazują, że tabliczki, do których odkrywca Knossos przywiązywał tak wielką wagę, nie zostały znalezione w wyżej wymienionym pokoju, ale w zupełnie innej części Pałacu. Dlatego te wszystkie ujawnione dopiero teraz fakty zmuszają do postawienia pod znakiem zapytania Evansowską stratyfikację i datowanie”.

Nie można dobitniej i bardziej bezwzględnie.

Ten cały wywód Palmera wymaga paru słów wyjaśnienia. Ktoś mógłby zapytać: po co robić tyle hałasu o parę rozbitych garnków – owych, w tym przypadku, waz z motywem strzemiennym? Czyż nie lepiej zaufać intuicji i doświadczeniu odkrywcy? Nauki jednak nie buduje się na wierze w autorytety i archeolog jak sędzia śledczy musi jasno i precyzyjnie odpowiedzieć na trzy podstawowe pytania: co zostało znalezione, gdzie i z czym? To „z czym”, to znaczy w towarzystwie jakich przedmiotów, jest niesłychanie ważne, pozwala bowiem datować nie tylko obiekty sztuki, ale całe okresy cywilizacji. Rolę „archeologicznego zegara” – miary czasu, spełnia najczęściej ceramika. Jej rozwój bowiem, następstwa i zmiany stylów w czasie są najdokładniej znane, a poza tym, mówiąc po prostu, rozbite garnki pozostają na miejscu, w tej warstwie archeologicznej, gdzie zostały porzucone, ponieważ nie stanowią

przedmiotu pożądania grabieżców, jak wyroby ze złota czy dzieła sztuki.

Powróćmy jednak do sporu. Zarzuty Palmera były ciężkie i nic dziwnego, że wywołały burzliwą polemikę. Odkrywca i największy autorytet w sprawach kultury minojskiej został oskarżony o to, że, mówiąc łagodnie, deformował wyniki badań i naginał je do z góry przyjętej tezy. Palmer wytknął także Evansowi, że arbitralnie, to znaczy bez pokrycia w realnych rezultatach wykopalisk, uważał cywilizację minojską za znacznie starszą niż była w rzeczywistości. Podobnie ma się sprawa w delikatnej kwestii wpływów. Jeśli przyjąć tezę Palmera, rola Krety jako źródła cywilizacji mykeńskiej, a z nią greckiej, znacznie błędnie.

Korektury i uzupełnienia, jakie nanoszą badacze do epokowego dzieła odkrywcy Knossos są znaczne, acz bardziej ciche, mniej mające posmaku publicznych skandali niż heretyckie hipotezy Palmera. Odczytanie starszych zapisów, nowe odkrycia archeologiczne mogą przynieść niejedną rewelację. Problem Krety, jej najślawniejszych dziejów, roli i znaczenia tej cywilizacji daleki jest od definitywnego rozwiązania.

Parę lat temu uczoney niemiecki, prof. Hans Georg Wunderlich, wystąpił ze śmiałą hipotezą dotyczącą tego, czym w istocie był odkryty przez Evansa pałac w Knossos. Dodajmy, że Wunderlich nie jest archeologiem, ale paleontologiem. Często jednak się zdarza, że uczeni-specjaliści z innych dziedzin wiedzy wnoszą nowe światło do, zdawałoby się, już ostatecznie rozwiązanych zagadnień, a co najmniej zachęcają do płodnej dyskusji. Dzieje się tak zapewne dlatego, że mniej są przywiązani do schematów myślowych i przyjmowania za pewnik tego, co może być jeszcze przedmiotem rozważań i wątpliwości.

Otóż dla Wunderlicha Knossos nie było siedzibą królów kreteńskich – jak chciał Evans i wszyscy za nim zgodnie to powtarzali – ale pałacem zmarłych, miastem śmierci, ogromnym cmentarzyskiem. O życiu Minojczyków, podobnie jak o cywilizacji Etrusków, nie miałyby świadczyć ich tętniące niegdyś życiem porty i miasta (zdobyte zresztą i przebudowane przez najeźdźców) – ale ciche zatoki śmierci, owe rozległe nekropole, obszary zamieszkałe przez cienie, grobowce, trwalsze niż domy żywych.

Wunderlicha zastanawiała nietrwałość materiału, z jakiego zostało zbudowane Knossos. Drewniane kolumny, cienkie ściany, gips i schody wyłożone alabastrem – stosowne były bardziej dla bosych procesji ofiarników. A przy tym pokoje są małe, często bez okien, choć Evans opatrywał je różnymi nazwami sugerującymi królewski splendor. Tak na przykład Sala Tronowa z trudem może pomieścić 20 osób. Stąd wniosek, że były to raczej krypty niż pomieszczenia mieszkalne.

Wprawdzie w swojej rekonstrukcji Evans wyodrębnił „sektor gospodarczy”, jest on jednak zastanawiająco szczupły w stosunku do ogromnego pałacu, nie posiada dostatecznej ilości budynków przeznaczonych na warsztaty, kuchnie czy stajnie.

Budzące powszechny zachwyt wycieczek urządzenia higieniczne, ślady instalacji

kanalizacyjnych i wodociągowych mogły mieć zupełnie inne przeznaczenie, niż się przypuszcza. Ogromne, półtorametrowej wysokości *pîthoi*¹⁰ – czy były, jak chciał odkrywca, pojemnikami oliwy, skoro znaleziono w nich szczątki kości? I czy ozdobione ornamentem kwiecistym wanny nie były raczej sarkofagami?

Kreta, tajemnicza, o zaciśniętych ustach, zamkniętych oczach – broni się.

Wyspa sejsmiczna, doświadczająca często gniewu Posejdona, wyspa niepewnych i chwiejnych hipotez.

V

Naprawdę jest to pierwsza cywilizacja białych; ale także jakby mieniąca się w słońcu laguna maoryjskiego świata; nie potrafimy połączyć ani z „Iliadą”, ani nawet z „Odyseją” tych dworskich zabaw, na których nadzy książęta ze strusimi piórami we włosach kłoniли swoje włócznie przed Fedrą o piersiach obnażonych...

Andre Malraux

To, co najbardziej uderzające w cywilizacji minojskiej i co w moim odczuciu zbliżają do cywilizacji etruskiej, to brak cech pompatycznej wielkości, majestatu, posępnej potęgi, które emanują z pomników Egiptu czy Asyrii – piramid, groźnego Sfinksa, kamiennych tablic, na których zapisana jest zemsta króla królów.

Co więcej, nie zachował się żaden portret władcy, z którego groźnych rysów, hieratycznej pozy, a także olbrzymich rozmiarów, przytłaczających wszystko i wszystkich, można odczytać obłęd i zbrodnię tamtych czasów. Wydaje się, że królowie Krety rządili łagodnie i odchodzili do swoich bogów niepostrzeżenie, z rzadkim u władców taktem i dyskrecją. Ale, być może, jest to nasze złudzenie, wynikające z potrzeby wiary w złoty wiek, w niewinne dzieciństwo ludzkości.

Na Kretę najlepiej wybrać się wprost z Myken. Nie jest to przepis zaczerpnięty z rozkładu jazdy, oba te miejsca nie mają nawet bezpośredniego połączenia, ale gdyby tak zamknąć oczy w Mykenach i otworzyć je w Knossos, wówczas doznalibyśmy szoku i zrozumielibyśmy istotną różnicę stylu i ducha tych dwóch centrów kultury śródziemnomorskiej.

Rzecz dobrze jest znana z podręczników historii sztuki, ale sprawdzenie tego naocznie ma nieodpartą siłę rewelacji.

¹⁰ *pîthoi* (l.poj. *pîthos*) – (gr.); gliniane naczynia w formie beczki używane do przechowywania żywności.

Centrum pałacu mykeńskiego stanowi megaron – wyodrębniona sala, dość mroczna i niezbyt wielka, w sam raz, aby pomieścić króla i wodzów naradzających się przed łupieżczą wyprawą. Najbardziej charakterystyczną cechą tego zespołu architektonicznego jest niemożność rozbudowy na zewnątrz, duszność, zamknięcie w ciasnej zbroi murów. Siedlisko bardziej głębokie niż rozległe, jakby modelowane na wzór pieczary, i w dodatku z jednym, niezbyt szerokim wejściem, które łatwo zatrzasać przed nieproszonymi gośćmi. Dachy budynków są dwuspadowe, przywleczone tu widać z kraju mgieł i deszczów. Słowem zamczysko, przypominające atmosferą twierdze średniowieczne z przepaścistymi kazamatami.

Jakże inny jest pałac królewski w Knossos, z wielką liczbą sal i pokoi zgrupowanych wokół dziedzińca centralnego; ogromny zespół architektoniczny, miasto niemal – nie bronione żadnymi murami (co budziło zdumienie i podziw) – cały otwarty na powietrze i słońce. Sprawiał na mnie wrażenie plastra miodu, bo mógł być dowolnie rozszerzany, „układ rozkwitający” zatem, a przy tym jego „organiczność” polegała na doskonałym wrośnięciu w teren, naturalnym wykorzystaniu wzniesień i spadków. Ze stoku wzgórza schodzą tarasy piękne jak kaskada.

Jest to architektura malownicza, aż do granic teatralności, przypominająca bardziej spiętrzone dekoracje jakiejś wielkiej opery niż siedzibę królewską, wyniosły tron z głazów, budowlę, z której emanować powinna powaga i siła. To wrażenie ogólne jest tak nieodparte i narzucające się, że zmusza do zastanowienia, jakie są tego źródła i przyczyny.

Przede wszystkim sam już materiał użyty do budowy jest lekki, kruchy, uniemożliwiający gigantyczne konstrukcje. Nie ma tu ani śladu murów cyklopowych, charakterystycznych dla budowli mykeńskich. Ściany z drobnych kamieni, połączonych zaprawą, są cienkie, kolumny z drewna, freski przemieniają surowe płaszczyzny w barwne zasłony.

Ani rodzaj budulca, ani także obecność malarstwa nie tłumaczy wszystkiego. Myślę, że owo wrażenie teatralności wynika z założeń artystycznych budowniczych minojskich, z ich estetyki. Tym tłumaczy się – wielopoziomowość, zmienność rytmów przestrzennych, wielka ilość schodów, szybów, przez które wpadało światło, i zaskakujące perspektywy. Słowem, architektura ruchliwa, kapryśna, kpiąca z monumentalności. Dodajmy do tego niebywały komfort, łazienki, system doprowadzania wody, których darmo szukać na włoskich czy francuskich zamkach trzy tysiące lat później. Chciałoby się rzec, że nie jest to miejsce potężnej władzy i zbrodni, ale niewinnych intryg i zalotów.

Takie jest wrażenie i wiele stron wypisano na cześć tej pierwszej cywilizacji europejskiej, która miała być przesycona szczęściem, pokojem i radością. Ale my, dzieci sceptycyzmu, zbyt wiele wiemy o kłamstwach sztuki lukrującej rzeczywistość, ażeby uspić mogły naszą czujność freski z delfinami, kwiaty i po ludzku uśmiechnięta bogini.

Jest jednak rzeczą zastanawiającą, że o wielkości sztuki kreteńskiej decyduje nie architektura, freski (pomijając nawet nieudolne rekonstrukcje) czy rzeźba, a właściwie brak

rzeźby monumentalnej, ale małe figurki z fajansu i gliny, olśniewająca ceramika, grawerowane półszlachetne kamienie, pieczętki i biżuteria, jakby na wyspie Minosa życie było zabawą, grą nieco płytką, powierzchowną, beztroską, pozbawioną ekstazy, pasji i cierpienia.

Znawca świata kretańskiego, uczony angielski Moses I. Finley, pisze: „Jest tu jakiś paradoks: kiedy szło o zmobilizowanie ludzi i materiałów, budowniczy pałacu pracowali na szeroka skalę, podczas gdy wszystko inne poza tym było na skalę małą, zarówno w sensie materialnym, jak i emocjonalnym. Wydaje się, że ani religia, ani władza królewska nie wymagały niczego innego. Odnosi się także wrażenie, że od początku okresu środkowego życie było, jeśli chodzi o instytucje i ideologię, ustabilizowane, że znalazło równowagę, która nie zachwiała się w ciągu 500 czy 600 lat. Lata te były pod każdym względem latami bezpieczeństwa, dodajmy: bezpieczeństwa pasywnego, i nic nie pobudzało do zmian czy rebelii. Od tego czasu datuje się znaczne udoskonalenie techniki, wzrosła liczba ludności, stale powiększano pałace, lecz wszystko to odbywało się – aby tak rzec – w linii horyzontalnej.

I nagle przyszła wielka, naturalna katastrofa około roku 1400 przed Chr. – i niemal z dnia na dzień pałace całej Krety stały się ruinami, i to na zawsze. Niczego nie wiemy o szczegółach tej katastrofy; tablice z pismem linearnym B, pochodzące właśnie z tego czasu, zupełnie o tym milczą. Ale ruiny są dostatecznym i niezbitym dowodem: nikt nie potrafił już zmobilizować tego małego ludu i rządzić nim, jak to potrafili dawni królowie przez 600 długich lat”.

Najbardziej znaną legendą grecką, związaną z Kretą, jest opowieść o Minotaurze. Przypomnijmy ją w największym skrócie. Potężny król Minos dostał w darze od Posejdona pięknego byka. Lekkomyślna żona Minosa uwiodła byka. Z tego związku urodził się Minotaur, potwór o głowie zwierzęcia i ciele ludzkim. Aby ukryć swoją hańbę, król Krety kazał Dedalowi zbudować labirynt. Co dziewięć lat Ateńczycy, którzy byli wówczas pod władzą Krety, składali ofiarę z siedmiu dziewcząt i siedmiu chłopców z najznakomitszych rodzin. I Minotaur pożerał smacznie młódź ateńską.

Tezeusz, syn króla ateńskiego, został wysłany z ową ponurą daniną. Przybywszy na Kretę, uwiodł córkę Minosa, Ariadnę. Za pomocą ofiarowanego przez nią kłębka wdarł się do labiryntu i zabił Minotaura, po czym z Ariadną – nie ścigany przez Minosa – odpłynął do rodzinnego miasta.

Legendę o Tezeuszu można interpretować wielorako, jak wszystkie legendy łączące w sobie ludową opowieść z mitem religijnym. Jej bohater uosabia typową grecką admirację dla sprytu – czy inteligencji – tryumfującej nad ciemnymi siłami, zwycięstwo racjonalnego porządku nad chaosem. Niektórzy dopatrują się w opowieści transfiguracji faktów historycznych, a mianowicie procesu wyzwolenia Aten spod panowania kretańskiego. Przy takiej interpretacji Tezeusz awansuje do roli liberatora, bohatera politycznego, przywódcy ateńskiej rewolty, który wyzwala swój kraj spod obcego jarzma.

Jest to legenda grecka, antykreteńska i jak wszystko, co jest tylko anty – krzywdząca. Przecież Minos nawet w tradycji helleńskiej był symbolem sprawiedliwości, a nie okrucieństwa, i po śmierci bogowie uczynili go jednym z sędziów w cienistej krainie Hadesu.

W ikonografii kreteńskiej nie ma wyobrażenia Minotaura, natomiast byk – jest wszechobecny, ale nigdy nie był przedstawiony jako złowieszczy potwór, przeciwnie, raczej jako ofiara (na słynnym sarkofagu z Hagia Triada) lub zwierzę występujące w grach, igrzyskach i festynach (fresk w pałacu w Knossos z bezkrwawą tauromachią).

Także sztuka grecka nie przedstawia Minotaura w postaci odrażającej czy budzącej lęk i przerażenie. Pamiętam dobrze piękną amforę w stylu attyckim, czarnofigurowym, na której wyobrażona jest nierówna walka Tezeusza ze zwierzęciem: łatwe zwycięstwo człowieka. Minotaur jest na kolanach. Tezeusz obejmuje lewą ręką, zapaśniczym gestem, szyję przeciwnika, prawą zaś wbija mu w szyję krótki miecz. Minotaur jest piękny i bezbronny. Ma kształtne ciało młodzieńca o głowie byka. Z jego karku spływa na ziemię warkocz krwi.

Biedny Minotaur! Miałem dla niego, od zamierchłego dzieciństwa, więcej czułości niż dla Tezeusza, Dedala czy innych spryciarzy. Kiedy pierwszy raz ojciec opowiadał mi tę bajkę, uczułem bolesny skurcz serca i współczucie dla pół zwierza, pół człowieka, spętanego labiryntem i obcą sobie ludzką historią, pełną podstępów i toporów.

Przyczynił się zapewne do tego Maciuś, mój prywatny Minotaur, mieszkający pod schodami wiodącymi do piwnicy, któremu składałem ofiary z przysmaków, ofiary z mego poskromionego łakomstwa – czekolady i cukierki, nieprzydatne, jak procesje i bicie w dzwony. Dla niego musiałem przekroczyć surowe rodzicielskie tabu, zakaz zadawania się ze zwierzętami – nosicielami zarazków, choć przecież większą chorobą, ba, kalectwem jest zatamowanie zakorzenionego w nas, od paleolitu, uczucia czci i poddania się woli nieznanego. Maciusiowi zawdzięczam, że późniejsza lektura mistyków nie była dla mnie całkiem niezrozumiała; był dla mnie niedostępny, wypełniony obcym życiem, rzadko odpowiadał pomrukiwaniem na moje litanie miłosne, na moje strzeliste akty uwielbienia, patrząc obojętnie z wyżyn swojej kociej boskości.

Ale wracając do tematu – czy można w ogóle mówić o historii Krety starożytnej, skoro brak źródeł pisanych poza skąpymi przekazami greckimi albo egipskimi. Całym właściwie świadectwem długich dziejów są tylko ślady materialne – ruiny domów i pałaców, ceramika, freski, posążki z wypalanej gliny, sarkofagi. Nie znamy nawet imion królów minojskiej dynastii, nic nie wiemy o wojnach, jakie toczyli, ani o koloniach, jakie zapewne zakładali na sąsiednich wyspach. Ojczyzna Fedry, Ariadny, Minotaura, Androgeosa, kolebka Zeusa – wyspa uprzywilejowana przez mitologię – milczy wstydliwie o swojej przyziemnej historii polityczno-społecznej.

Odczytanie pisma linearnego B nie rzuciło wiele światła na dzieje Krety i jej mieszkańców.

W istocie genialne odkrycie Chadwicka i Ventrisa – ów zdobyty Mount Everest greckiej archeologii, jak mówiono – przyniosło ważne potwierdzenie podboju Krety przez Greków, a poza tym dość monotony inwentarz przedmiotów, tak jakby to pismo wymyślone było dla buchalterów, a nie dla poetów, proroków i królewskich kronikarzy.

Czy Minojczycy mieli swoich aoidów¹¹, Homerów i eposy, czy posiadali literaturę? Być może, zapisana była na materiale nietrwałym – papirusie, korze drzew i pochłoneń ją na zawsze pożary pałaców. Freski, pieczęcie i gemmy przedstawiają kapłanów, pieśniarzy, muzyków, ale na żadnym ze znanych dokumentów ikonograficznych nie dochował się portret trubadura czy choćby skryby.

O religii minojskiej pisano wiele, nic bowiem bardziej nie rozplómienia wyobraźni naukowców niż brak dokumentów i świadectw bezspornych. Religioznawcy zresztą – ci poeci humanistyki – ulegają często magicznemu myśleniu, którego cechą charakterystyczną jest przekonanie, że „wszystko łączy się ze wszystkim”. Za pomocą ryzykownych analogii – formalnych podobieństw symboliki – budują olśniewające teorie, kojarzące odległe w czasie i przestrzeni cywilizacje, wobec których laik staje onieśmielony i zafascynowany.

W muzeum archeologicznym w Heraklionie przykuł moją uwagę przedmiot narzucający się wyobraźni nie tyle dzięki walorom estetycznym, co tajemniczości przeznaczenia. Jest to znaleziona w Knossos tablica z kości słoniowej, wykładana kryształem górskim, niebieską pastą szklaną oraz blaszkami srebrnymi i złotymi. Obiekt ów stanowił, jak się przypuszcza, pole do gry w kości i nazwano go umownie „szachownicą”. Ale na czym polegała gra? Czy była czystym hazardem, czy też wymagała inteligencji i zdolności kombinacji? Czy brały w niej udział dwie, czy może więcej osób? I co interesowało mnie najbardziej: czym była w swojej istocie – bezmyślną igraszką, zabiciem czasu w deszczowe wieczory zimy, czy też współzawodnictwem wyzwalającym wielkie namiętności?

Podobnie ma się sprawa, gdy dotykamy zamierzchłych kultów i wiary, lecz niech ta analogia nie sugeruje niczego płochego. Wszyscy są bowiem zgodni co do tego, że podstawą starych cywilizacji, więc także minojskiej, była religia. Inspirowała nie tylko sztukę, ale także instytucje. Wszystkie inne dziedziny życia mogły się rozwijać tylko w harmonii z nią właśnie i pod jej przemożnym wpływem. Wykopaliska minojskie przekonują nas o tym. Odkryto sanktuaria, ogromną ilość przedmiotów kultu, a malowidła i ryty dają, jak się zdaje, dość wierny i szczegółowy opis ceremonii. Ale jest to, jak powiedział Picard, pięknie ilustrowana książka pozbawiona tekstu. Potrafimy niekiedy odczytywać pisma umarłych cywilizacji, nie potrafimy natomiast czytać w duszach ludzi, którzy odeszli dawno.

O religii Minojczyków da się jednak coś niecoś powiedzieć bez uciekania się do

¹¹ aoida – śpiewak, poeta, opiewający dzieje bogów i herosów.

ryzykownych hipotez. Rysem charakterystycznym tej religii jest predylekcja do symboli, które mają wywoływać nastrój świętości i obecności boga bez konieczności czynienia boga widzialnym. Ma to być dowód znacznego stopnia spirytualizmu, jak chcą znawcy.

Elementy fetyszyzmu – podobnie jak w innych religiach prymitywnych – są bardzo liczne, chciałoby się rzec, wszechobecne. Przedmiotem adoracji były głazy, stalaktyty w grotach, słupy drewniane i kamienie, tzw. betyle. Znaleziony w Fajstos złoty sygnet przedstawia taniec nagiej kobiety przed betylem – prototypem kolumny, która, zanim stała się prostym elementem architektury, stanowiła przedmiot kultu. Wielką rolę odgrywały siekiery o podwójnym ostrzu, które odnajdujemy na freskach, ceramice i gemmach, a były także często wykonywane w kamieniu, brązie, srebrze, a nawet złocie. Cóż oznaczał ów osobliwy topór? Czy był świętym instrumentem ofiar religijnych, czy też znakiem pioruna i jego władcy, czy może symbolicznym połączeniem bóstwa męskiego i żeńskiego? Zdania znawców są podzielone. Jedno zdaje się być pewne, że od jego nazwy – niegreckiej zresztą – labrys, pochodzi nazwa pałacu Minosa. „Labirynt” zatem znaczyłby „pałac toporów o podwójnym ostrzu”.

Przedmiotem kultu były również drzewa: pinie, palmy, oliwki i cyprysy, a także zwierzęta: węże, gołębie, małpy, lwy i oczywiście byk, zajmujący uprzywilejowane miejsce w kreteńskim bestiariusz.

Trudno odpowiedzieć na ważne pytanie, w jakiej to epoce pojawiły się tendencje antropomorficzne, kiedy, mówiąc inaczej, spoza amuletów, fetyszów i symboli bóstwo ukazało twarz podobną do twarzy ludzkiej? Jedno jednakże jest pewne: dominacja bóstw żeńskich, a w początkowej fazie ich wyłączność, podobnie jak w religiach starożytnej Anatolii. Nad niejasnym dla nas w wielu szczegółach Olimpem kreteńskim panuje potężne bóstwo przyrody, władczyni świata, ludzi, zwierząt i roślin, pani słońca i luny, ziemi, morza i piekła – Wielka Matka. Ogromna ilość jej wyobrażeń, pochodzących z różnych epok, pozwala śledzić jej rozliczne atrybuty. Pojawia się pod postacią posążków z terakoty jako symbol płodności, w otoczeniu lwów, węży i ptaków, na statkach jako protektorka nawigacji, a także w kasku i zbroi, gdyż była również boginią wojny. Niektórzy sądzą, że Wielka Matka była jedyną boginią religii minojskiej. Pogląd ten spotkał się z dość kategorycznym sprzeciwem badaczy religii. W basenie Morza Śródziemnego, z wyjątkiem religii żydowskiej – wszystkie inne były politeistyczne.

Minojczycy nie budowali świątyń jak Grecy czy Egipcjanie. Początkowo składali ofiary w grotach naturalnych, takich jak Kamares na zboczach Idy czy Psychro w masywie Dikte. Neolityczni mieszkańcy owych grot pobudowali sobie domy i ustąpili miejsca bogom. W pierwszej fazie epoki średniominojskiej pojawiają się niewielkie, odgródzone drzewami i niewysokim murem miejsca kultowe na szczytach gór, w otoczeniu skał, w pobliżu źródeł. Od tego okresu rozpoczyna się również budowa kaplic w zespołach mieszkalnych, a zwłaszcza pałacach.

Ceremonie religijne Kreteńczyków – sądząc z dochowanych przekazów na gemmach, wazach i sygnetach – musiały być widowiskiem zapierającym oddech. Rozpoczywały się zapewne od aktu puryfikacji, po czym następowała krwawa ofiara z kozłów, owiec i byków (na wielkich uroczystościach zabijano do dziewięciu byków) i te ofiary są częstym tematem sztuki minojskiej. Potem następowały libacje. Całość kończyła wielka kolorowa procesja, pełna tańca, muzyki i płynących z kadzielnic dymów, które powodowały ekstazę i ściągały na ziemię bóstwa i ich demony.

Uroczystościom kultowym przewodniczyli nie kapłani, ale kapłanki, co jest zrozumiałe w religii, która naczelnym bóstwem swego Panteonu uczyniła Wielką Matkę. Na malowidłach kreteńskich można je łatwo rozpoznać po charakterystycznym stroju: noszą staniki otwarte na piersi, długie spódnice ze skóry lub sięgające kostek suknie i tiary na głowach. Kapłani pojawili się późno i ich rola (z wyjątkiem oczywiście króla – wielkiego kapłana świętego Byka) wydaje się być niewielka.

Enigmatycznym lasem pytań jest zatem religia Minojczyków. Nie potrafimy wyjaśnić, w jakim stopniu była oryginalnym tworem ducha Kreteńczyków, a w jakim uległa wpływom innych religii. Domyślamy się, że istniały związki między egipskim Apisem i Minosem oraz azjatyckimi kultami płodności i Wielką Matką Kreteńczyków, ale natura tych związków jest niejasna.

Historyk grecki z czasów Juliusza Cezara, Diodor, pisze: „Kreteńczycy mówią, że hołd oddawany bogom, ofiary, wtajemniczenie, misteria są wynalazkiem mieszkańców Krety, a inne ludy zapożyczały je od nich”. To zdanie, wypowiedziane kilkanaście wieków po upadku kultury minojskiej, godne jest zastanowienia.

Grecy wiele zawdzięczają religii Minojczyków. Tam urodziła się legenda Zeusa, który długie wieki panował na Olimpie. I jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że kult Demeter, jej bestiarium, liturgia agrarna i święte igrzyska przybyły na kontynent grecki wprost z kraju Minosa.

VI

Później przyszły straszne trzęsienia ziemi i potopy, i nadszedł jeden dzień i jedna noc okropna...

*Platon, Timajos*¹²

W połowie drogi między Therą a Thirasią nagle wydobył się ogień z morza i

¹² 25d. Tłum.: W. Witwicki, Warszawa 1951, s. 32

utrzymywał się w ciągu czterech dni, tak że morze wokół płonęło i kipiało.

*Strabon, Geografia*¹³

Na środku placyku Venizélou jest wenecka studnia Morosiniego, wokół restauracje i kawiarnie – ulubione miejsca wieczornych spotkań. Jadłem tu zwykle kolację i rozmyślałem o katastrofie. Nic bowiem bardziej nie sprzyja dumaniu o końcu świata niż pogodna noc sierpniowa, niebo pełne spokojnych gwiazd i krzątanina wokół wieczerzy. Kataklizm przyszedł z pewnością nagle – jak w wierszu Miłosza – bez zapowiedzi i znaków niebieskich.

Zauważyłem (niepokoi mnie to trochę), że kiedy zastanawiam się nad dziejami odległych cywilizacji, bardziej interesuje mnie pytanie, jaka była przyczyna ich śmierci niż wszystkie kwestie dotyczące ich życia, wspaniałości i potęgi. Dzieje się tak zapewne dlatego, usprawiedliwiam swoje zafascynowanie katastrofą, że czynniki składające się na fenomen rozwoju dają się wytłumaczyć racjonalnie: dogodne położenie geograficzne, równowaga społeczna, mądrość monarchów i polityków. Natomiast w zniknięciu z mapy świata państw i narodów tkwi element tajemnicy losu i naturalną skłonnością umysłu jest poszukiwanie przyczyny jedynej, pierwotnego grzechu cywilizacji, decydującego momentu, kiedy nad ludem nieświadomym i zadufanym bóg podniósł rękę, aby cisnąć grom.

Uczeni są na ogół zgodni co do przybliżonej daty nagłego załamania się kultury minojskiej, mniej natomiast zgadzają się co do przyczyn. Jedni są zdania, że to rewolucja wewnętrzna położyła kres potędze minojskiej – teza co najmniej ryzykowna, ponieważ niewiele wiemy o społeczeństwie starożytnej Krety. Inni dopatrują się przyczyn klęski w inwazji Achajów. Najbardziej natomiast prawdopodobna wydaje się teoria wyjaśniająca zniknięcie tej cywilizacji potężną katastrofą sejsmiczną, połączoną z powodzią i z pożarem.

Stało się to nagle. Do portu wchodził właśnie statek z opuszczonymi żaglami, rolnik nawracał pług, matka kołysała dziecko, Minos dyskutował z doradcami nad zawiłym traktatem handlowym, a pałacowy sługa wdrapował się na maszt, aby zatknąć tam wieniec z kwiatów przed zbliżającym się świętem. Wtedy to się stało.

W czasie prac wykopaliskowych Evans odkrył ewidentne ślady zniszczeń spowodowanych wstrząsami ziemi. Kilka pomieszczeń pałacowych zostało „zbombardowanych” wielkimi blokami kamieni, które siła sejsmiczna przeniosła z odległej części pałacu. Sam zresztą odkrywca przeżywał w Knossos 26 VI 1926 serię wstrząsów, co nie pozostało bez wpływu na jego późniejsze przypuszczenia i wnioski. Od dawna starano się określić przybliżone rozmiary katastrofy, a także wyznaczyć kierunek, z którego przyszła śmierć.

Sto kilometrów na północ od Krety znajduje się wyspa Santoryn, zwana także Thera albo

¹³ I, 3, 15.

Thira. W dawnych czasach nosiła imię Kalliste, czyli Piękna, chociaż dzisiaj z pewnością nie należy do najbardziej ponętnych wysp archipelagu Cyklad. Jest niewielka, powierzchnia jej wynosi około 75 km² i ma osobliwy kształt odwróconej litery C, wypukłą stroną zwróconej ku wschodowi. Z lotu ptaka wygląda jak rzucona w morze żuchwa przedpotopowego potwora. Na zachód od Thery, w odległości 2 kilometrów, znajdują się dwie mniejsze wyspy Thirasia i Aspronisia. Ten mały archipelag ma wyraźnie zarys kolisty i nietrudno się domyślić, że stanowi brzegi dawnego wulkanu. Wskazuje na to zresztą budowa geologiczna. Skały wulkaniczne o kolorze sinoczarnym wyrastają z morza niedostępną ścianą. Księżycowy krajobraz wyspy przemienia się tylko we wschodniej części – w zielony ogród południowych drzew i winnic.

Działalność wulkanu Santoryn jest dobrze znana dzięki relacjom geografa greckiego Strabona, który z epicką siłą opisał gwałtowny wybuch w roku 198 przed Chr. Katastrofa ogarnęła swoim zasięgiem Cykladę, Eubeję, Fenicję i Syrię, a miasto Sydon zniszczone zostało niemal w dwóch trzecich. „Wśród ognia wyłoniła się wyspa rozżarzona [...] jak gdyby wydobyto ją za pomocą dźwigni”. Wyspa ta istnieje do dziś. Nazywa się Palea Kameni, czyli Stara Spalona. Kroniki notują także potężne wstrząsy tektoniczne przy końcu XVI i na początku XVIII wieku, którym towarzyszyło powstawanie nowych wysp.

Thera stanowi pasjonujące studium dla geologów i sejsmografów, ale nie spodziewano się, że przyniesie także archeologom materiały naprawdę rewelacyjne. Na wyspie znajduje się kopalnia miedzi i tufu wulkanicznego. Właśnie w jednym z szybów uczony grecki, Angelos Galanopoulos, w latach pięćdziesiątych naszego stulecia natrafił na ślady budynku kamiennego, szczątki ludzkich kości i kawałki zwęglonego drewna. Zaalarmowani archeolodzy rozpoczęli systematyczne badania. Odsłonięto osiedle kamiennych domów, szereg obiektów, ba, dobrze zachowane freski. Jeden z nich – wymyślono dla niego nazwę *Nadejście wiosny* – przedstawia czerwone kwiaty i stylizowanego ptaka w locie, z otwartym dziobem. Fresk ten znajduje się od paru lat w muzeum archeologicznym w Atenach i na podstawie prostej analizy techniki, rysunku i użycia koloru łatwo dojść do wniosku, że należy do kręgu kultury minojskiej. Analiza znalezionych w odkopanych budynkach na Therze resztek organicznych, dokonana w laboratorium amerykańskim metodą węgla radioaktywnego, pozwala je datować na początek wieku XV przed Chr.

Ale jaki to ma związek z pałacem Minosa na Krecie? Odpowiadamy: może to mieć związek kapitalny. Nie tylko odkryliśmy obecność Minojczyków poza Kretą, ale jest rzeczą wielce prawdopodobną, że Thera była epicentrum potężnego trzęsienia ziemi, które położyło kres cywilizacji minojskiej. To stamtąd, według uzasadnionych przypuszczeń, nadeszła zagłada.

Może wydawać się paradoksem, że warunki dla prac archeologicznych są na wyspie Thera daleko korzystniejsze niż na Krecie. Pałac Minosa pokryty był cienkim płaszczem ziemi i dlatego odkopane zabytki (zwłaszcza malarskie) były bardzo zniszczone. Lawa i popioły wulkaniczne

mają, żeby tak rzec, zdolność konserwującą, o czym świadczy świetny stan Pompei. „Gdyby mogły się spełnić pragnienia archeologów – mówi dobrodusznie odkrywca Ur, Leonard Woolley – wszystkie starożytne miasta powinny być zasypane popiołem przez jakiś wulkan”. Kopiąc na wyspie Thera, trzeba przedrzeć się wprawdzie przez trzydziestometrową warstwę produktów wulkanicznych, lecz rewelacyjny łup archeologów zmienia naszą wiedzę o najstarszej cywilizacji śródziemnomorskiej. Entuzjaści tego znaleziska idą w swych oczekiwaniach tak daleko, iż twierdzą, że tu właśnie, a nie w Knossos, znajdowała się stolica i centrum minojskiej potęgi. Te ryzykowne hipotezy pozostają w związku z legendą o zatopionej Atlantydzie – o czym powiemy za chwilę.

Czy jednak wybuch wulkanu na niewielkiej wyspie mógł spowodować tak przerażające spustoszenie? Zważmy bowiem, że katastrofie uległo nie tylko Knossos, ale także Fajstos, Hagia Triada, Tylissos, Amnisos, Malia, Pseira, Gurnia, a także Palaikastro i Zakro – cała więc Kreta. Homerowa wyspa o stu miastach stała się w ciągu jednego dnia posepną ruiną.

Sejsmografowie i geolodzy mówią, że było to najzupełniej możliwe. Thera przed erupcją – twierdzą – była trzykrotnie większa niż obecnie. Znajdowała się na niej góra wulkaniczna, wysoka na 1500 metrów. Sama katastrofa miała – ich zdaniem – przebieg podobny jak eksplozja wulkanu Krakatau w roku 1883.

W pracach naukowych, a także w codziennych gazetach naszych pradziadków, znajdujemy jej dokładny opis. Warstwy popiołu wulkanicznego wyrzucone w atmosferę okryły Jawę i Sumatrę nieprzeniknioną nocą, która trwała 48 godzin. W miejscu powstania wiru fala osiągnęła wysokość 40 metrów i zmyła z powierzchni ziemi 265 wiosek. Trzydzieści sześć tysięcy osób straciło życie. Deszcz popiołów spadał w odległości 2500 km od miejsca eksplozji.

Taka katastrofa porazić może nawet wyobraźnię autorów piszących o wojnie atomowej. Sejsmografowie wszelako twierdzą, że wybuch wulkanu na wyspie Thera był czterokrotnie silniejszy. Grzyb dymu i ognia widziany był w odległości setek kilometrów. Tygodniami padały krwawe deszcze. Popioły rozniesione zostały aż do Afryki Centralnej i na koniec Europy. Trzydziestometrowa fala zalała wybrzeże Krety kilkanaście minut po wybuchu wulkanu. Siła eksplozji przekroczyła wielokrotnie moc bomb zrzuconych na Hiroszimę i Nagasaki.

Nic dziwnego, że pamięć o tym kataklizmie szła z pokolenia w pokolenie. Odnajdujemy ją w legendach, świętych księgach, pismach starożytnych autorów. Pojawia się w greckim micie o potopie Deukaliona. W papirusie egipskim pochodzącym z XVIII dynastii czytamy o „długiej nocy, grzmotach i powodziach, i dniach, kiedy słońce na niebie było blade jak księżyc [...]. Nie było sposobu, aby wyjść z domu, szalały gwałtowne burze przez dziewięć dni. O, niechaj wreszcie zamilknie huk ziemi!”.

A wreszcie sama Biblia. Zdaniem uczonych, opis dziesięciu plag, które spadły na Egipt, opisanych w Księgach Mojżeszowych, zgadza się dość dokładnie ze zjawiskiem towarzyszącym

wielkim eksplozjom wulkanicznym: nagle przemiana dnia w noc, grzmoty i gradobicie, deszcz ognia, epidemia, woda o barwie krwi. Mądry Mojżesz wykorzystał to rozpętanie żywiołów i wyprowadził swój lud z ziemi Faraona. Cudowne przejście przez Morze Czerwone – według opinii Galanopoulou – było możliwe dzięki falom, tzw. *tsunami*¹⁴, które pędzą z szybkością kilkuset kilometrów na godzinę. Zważywszy, że spiętrzenie wód w czasie erupcji wulkanu na wyspie Thera wynosiło w miejscu wiru zawrotną wysokość wielu dziesiątków metrów, mogło to spowodować ruchy mas wodnych w zbiornikach odległych o setki kilometrów od miejsca katastrofy.

Odkrycia na wyspie Thera miały tak wielki oddźwięk, że przyczyniły się do powstania nowej teorii w atlantologii. Wprawdzie wielu uważa poszukiwaczy Atlantydy za łagodnych maniaków, a samą atlantologię za naukę wątpliwą, skoro od tylu wieków nie może znaleźć przedmiotu swoich badań. Jednak wzięwszy pod uwagę, że żyjemy w epoce urzeczywistnionych fantazji, warto chyba poświęcić chwilę i tej kwestii.

Wszystkiemu zawinił Platon. W dwóch dialogach pisanych pod koniec życia snuje „opowieść bardzo dziwną, ale ze wszech miar prawdziwą” o zatopionym kontynencie, opowieść, jaką jeden z siedmiu mędrców – Solon, miał usłyszeć od kapłanów egipskich.

Timajos i *Krytiasz* należą do najbardziej zagadkowych dzieł ateńskiego filozofa i wywoływały mnóstwo komentarzy, glos i objaśnień. Oba dialogi powstały zapewne z inspiracji pitagorejskich, a być może także egipskich i wschodnich. Są wielkimi poematami o wszechświecie, jego powstaniu i zamierzonych dziejach, ale już trzeźwy Arystoteles uważał, że są tworem fantazji Platona, pozbawionym jakiegokolwiek naukowego uzasadnienia. Atlantologom to wszakże nie przeszkadza. Wnoszą natomiast pewne korektury dotyczące chronologii i topografii domniemanej Atlantydy.

Niektórzy z nich sądzą, i to pod wyraźnym wpływem odkryć na wyspie Thera, że znajdowała się na Morzu Egejskim. Sam Platon wprawdzie umiejscawia ją na Oceanie Atlantyckim, lecz zwolennicy teorii Atlantydy na Morzu Egejskim mówią, że geografia starożytnych była pełna luk, sprzeczności i bałamutnych informacji. Ale jak ustosunkować się do stwierdzenia Platona, że Atlantyda była kontynentem raczej niż wyspą, większa od Libii i od Azji razem wziętych i że katastrofa wydarzyła się dziewięć tysięcy lat przed pobytem Solona w Egipcie? Na to ostatnie pytanie pada odpowiedź – że Solon nie będąc zbyt tęgim w hieroglifach odczytał symbol sto jako symbol tysiąc. Przyjąwszy zatem, że wizyta greckiego mędrca w Egipcie, zgodnie z tradycją, miała miejsce w roku 570 przed Chr., dodajmy 900 lat i otrzymamy rok 1470 przed Chr., a więc przybliżoną datę upadku kultury minojskiej i wybuchu wulkanu na wyspie Thera. Czy jednak

¹⁴ tsunami – (jap.); długie fale morskie wywołane trzęsieniem ziemi lub wybuchem wulkanów pod wodami.

owe platońskie milenia lub też stulecia można brać aż tak dosłownie i czy nie znaczą one tyle, co „bardzo dawno”?

W muzeum archeologicznym w Heraklionie znajduje się przedmiot, zwany dyskiem z Fajstos, przed którym spędziłem wiele czasu, a nawet sporządziłem jego szkic w skrytej nadziei, że może kiedyś zostanie nawiedzony i że uda mi się to, co nie udało się wielu uczonym; marzyłem o tym tak intensywnie, aż pewnej nocy śniło mi się, że mam ogłosić wynik mego rewelacyjnego odkrycia; stałem za wysokim pulpitem, przede mną grono wybitnych uczonych, bo i Humboldt, i Schliemann, i... wszyscy z XIX wieku, brązowi jak na dagerotypach; w pierwszym rzędzie siedział mój gimnazjalny profesor łaciny, którego zapewne zaproszono tu, aby był świadkiem tryumfu swego genialnego ucznia; wszyscy patrzyli na mnie, tylko mój nauczyciel miał wzrok utkwiony w ziemi, co zrozumiałem dopiero wtedy, kiedy wyjąłem swoje notatki i rozłożyłem przed sobą – były to białe, przeraźliwie puste kartki, bez żadnego znaku, bez jednej plamki; ukloniłem się i milczałem, potem znów się ukloniłem i milczałem jeszcze dłużej, aż z audytorium doszły do mnie szepty i stłumione śmiechy, więc zerwałem się do ucieczki tłumiąc krzyk grozy i gnałem przez łąki, mokradła, rów napełniony wodą, las, aż obudziłem się, mokry, na brzegu jawy. Odtąd zakazywałem sobie najsurowiej wszelkich marzeń o odczytaniu dysku z Fajstos, a nawet przestałem o nim myśleć, a jeśli już myślałem, to źle, że jest na przykład fałszyfikatem, złośliwym żartem jakiegoś odrażonego archeologa.

W istocie dysk z Fajstos, ta jeszcze jedna kretańska zagadka, jest płytą z wypalanej gliny w kształcie nie całkiem regularnego koła, o grubości 2 cm i osi 16 cm. Owa płyta po obu stronach pokryta jest spiralnie biegnącymi znakami hieroglificznymi. Na domiar trudności, owe hieroglify są różne od znanego nam, choć jeszcze nie odczytanego, hieroglificznego pisma Minojczyków. Byli oni, jak się zdaje, prekursorami Gutenberga, bowiem każdy znak odcisnięty jest odrębnym stemplem, prototypem czcionki.

Dysk z Fajstos znaleziony został w roku 1908 w ruinach pałacu. Jedni badacze uważają, że jest to zabytek pochodzący z Krety z okresu średniominojskiego, inni natomiast utrzymują, że jest on importem z Azji Mniejszej. Wyróżniono w dysku 45 odrębnych znaków. Są bardzo wyraźne i przedstawiają głowy ludzkie, całe postacie, narzędzia, naczynia, ptaki, kwiaty, ryby i szereg ideogramów trudnych do określenia: kropkowane pola, prostokąty, figury geometryczne, linie faliste. Co kilka znaków występuje pionowa kreska, lecz nie wiadomo czy jest to, jak się domyślają niektórzy, znak interpunkcji.

Francuski badacz Marcel F. Homet, opierając się na pewnym podobieństwie hieroglifów z Fajstos i indiańskich rytów skalnych z Ameryki Południowej, doszedł do wniosku, że ten zabytek kretański jest ni mniej, ni więcej tylko listem ostatnich mieszkańców Atlantydy, zawierającym opis katastrofy i los tych nielicznych, którym udało się ujsć cało. Poważni uczeni wszelako wkładają teorię pana Homet między bajki.

VII

Zbliża się pora wyjazdu z Krety. Jeszcze nigdy tak cierpliwie nie ścierałem kurzu historii, jeszcze nigdy tak łączywie nie łykałem starych kamieni, więc zaczynały się zacierać kontury czasu, przeszłości i teraźniejszości, bo tylko w tych dwóch żywiołach człowiek może żyć naprawdę, najpełniej; przekładałem datę wyjazdu, przezornie jak nigdy dzieląc topniejące drachmy, żeby wyłudzić od losu jeszcze jeden dzień, jeszcze dwa, tłumacząc sobie, że Kreta to nie tylko Heraklion i Knossos, że trzeba zobaczyć znacznie więcej, bo ujrzeć, to znaczy uwierzyć, a ja chciałem wierzyć w realność Wielkiej Matki, Evansa i śnieżnego szczytu Idy, i cytryn, które dojrzewały właśnie w dolinie Messara.

Tłukłem się tedy po Krecie zawsze pełnymi autobusami, z jazgocących głośników melodie ludowe sypały się chropawo jak kamyki, wędrowałem w tych skrzyniach hałasu od Zatoki Mirawelu aż po przylądek Spanda i z północy na południe od Egejskiego do libijskiego morza. Zwiedziłem wiele miejsc, a wśród nich Malię ze śladami minojskiego pałacu, Gurnię, ową, jak słusznie powiedziano, Pompeję biednych ludzi, Gortynię, gdzie, jak nigdzie na wyspie, zachowały się szczątki wielu kultur wraz z widocznymi śladami Rzymian, tablicą praw wypisaną na murze pewną antyką, resztki królewskiej willi w Hagia Triada i najpiękniejszą z ruin Krety – Fajstos.

Chwała włoskim archeologom, którym powierzono Fajstos. Jest to ruina czysta, bez pretensjonalnych rekonstrukcji, zupełne zaprzeczenie Knossos. Oprowadzał mnie po niej Alexandros, ten sam, którego opisał Henry Miller w najlepszej swej książce *Kolos z Maroussi*. Nie wątpię, że po długim swoim życiu Alexandros zostanie świętym patronem przewodników, *Sanctus Cicerone*¹⁵. Czyni cuda, potrafi bowiem wykrzesać życie z kamieni i entuzjazm z najbardziej zblazowanych.

– W naszym pałacu – mówi – pokoje były niskie, ponieważ Minojczycy byli, tak jak ja, niskiego wzrostu. Ja jestem Minojczykiem. – Uśmiecha się cały czas, ale kiedy to mówi, staje się najzupełniej poważny. – Mieliśmy tu urządzenia sanitarne nie gorsze niż w Knossos. A nawet, powiedziałbym, lepsze. – I już ciągnie nas ku śladom rowków kanalizacyjnych, każe schylać się, dotykać kamieni i cmokać. Na koniec prowadzi na szczyt wielkich schodów i nakazuje milczenie.

Więc milczymy na szczycie schodów. Chwila jest solenna. Alexandros wbija palec w powietrze i pokazuje stronę lewą. Wszyscy odwracają głowy: dolina, która prowadzi do morza, a za nią góra Ida z białą czapą śniegu na szczycie. – Tam była grotta Zeusa. W połowie góry. – I

¹⁵ Sanctus Cicerone (*santo Cicerone*) – święty Cicerone; *cicerone* – (łac.); przewodnik oprowadzający podróżnych, od imienia Cycerona.

rzeczywiście w połowie góry ciemnobłękitna plamka jak odprysk lustra. Alexandros pokazuje przed siebie: – A tam urodził się Zeus. – To już jest mniej wyraźne. Miejsce narodzin przesłania pasmo gór. Dlatego trzeba wierzyć.

Ach, Alexandrosie, Alexandrosie, gdybym cię miał stale przy sobie, mógłbym przynieść skały. Uczyłbym z tobą maluczkich i zadufanych w sobie – pokory wobec bogów. Może udałoby się nam dokonać rzeczy niezwykłych – sprzymierzyć czasy, pogodzić zmarłych z żywymi.

Teraz Alexandros stoi na szczycie schodów. Wszyscy milczymy. Domyślam się, że Alexandros jest woźnicą. Kamienny rydwan jego Fajstos zatrzymał się na chwilę.

Znów siedzę w Heraklionie na małym placu Venizélou i patrzę na fontannę Morosiniego. Porządkuję notatki i wrażenia. Chciałbym odpowiedzieć na pytanie, czym dla mnie jest Kreta, co poruszyło mnie tutaj najbardziej.

Nie ma innej drogi do świata, jak tylko droga współczucia.

Szczałki imperium, potężnych zamków i stolic nie wzruszają tak bardzo, jak ruiny pałaców minojskich. Wydaje się, że mieszkańcom starożytnej Krety obca była pycha wielkich cywilizacji. Nie wyzywali losu. Starali się przetrwać w swojej odrębności i w złudnym poczuciu bezpieczeństwa. Rozpętane żywioły były jakby zbyt wielkie i nieproporcjonalnie okrutne w stosunku do tego, co niszczyły. Ich ruiny to ruiny kołyski, ruiny pokoju dzieciennego.

Odjazd.

Kilkanaście kilometrów na wschód od Heraklionu lotnisko – wielka łąka bez kóz i owiec.

Samolot leci cały czas nad morzem, które z wysoka wydaje się twarde jak karbowany kamień. Wleczone za sobą szary cień kotwicy. Cyklady. Wyspy w dole jak rzucone na wodę płowe skóry dzikich zwierząt.

Próba opisanja krajobrazu greckiego

Magdzie i Zbyszkowi Czajkowskim

Do Grecji jechałem na spotkanie z krajobrazem. Sztukę grecką można poznać nieźle w muzeach europejskich. Duszna noc na pokładzie statku płynącego klasycznym szlakiem z Brundizjum¹⁶ do Pireusu pełna była pytań o kolor nieba, morza i gór.

Sądziłem, że będzie to przedłużenie krajobrazu włoskiego. Ale już rankiem, kiedy na horyzoncie zaczęły pojawiać się pierwsze wyspy, urwisty brzeg Peloponezu i wreszcie Zatoka Koryncka, zrozumiałem, że dane mi będzie poznać coś, czego nie zdołam porównać z niczym.

Jest to krajobraz wymykający się opisowi przez samą swoją naturę. Niepodobna znaleźć miejsca, które byłoby choćby w przybliżeniu sumą, syntezą doznań wzrokowych podróżnika, niepodobna wykroić z tego splątania błękitu, gór, wody, powietrza i światła żadnego widoku i powiedzieć – to jest Grecja. Można rzec naturalnie, że tak jest zawsze z krajobrazem różnorodnym, ale tu mamy do czynienia nie tylko z bogactwem. Jednym z najmocniejszych doznań, jakie nie opuszczało mnie w Grecji, było doznanie ruchu, jakby oczy otwierały się wciąż na bolesny dramat narodzin ziemi.

Góry powinny nasycić krajobraz majestatyczną ciszą. Ale, inaczej niż w Alpach, mamy tutaj niespokojne spiętrzenie, gwałtowne starcia mas ziemi, ostre przepaście, nagle przełęczce, a między tym doliny, rzadko rozległe, najczęściej wąskie, wężowe. Na urwistych stokach wypisały swe imiona przemoc i gwałt.

Geolog mówi: przeważające w Grecji wapienie i dolomity świadczą, że kraj ten przez setki milionów lat zalany był morzem zwanym Tetydą. Morze to oddzielało blok lądowy północny określany jako Angara (środkowa Europa, Azja, północna Ameryka) od bloku południowego – Gondwany (Afryka, południowa Azja i południowa Ameryka). Dzisiejsze Morze Śródziemne jest tym, co pozostało z dawnej Tetydy.

Z jej odmetów wydobyła się siłą wybuchów wulkanicznych dzisiejsza Grecja. Zarysy lądów i mórz uformowały się dopiero w ostatniej epoce historii ziemi. Jest to jeden z najbardziej sejsmicznych obszarów naszego globu. Na półwyspie i na wyspach Hellady zdarzyło się w czasach historycznych ponad 300 trzęsień ziemi.

¹⁶ Brundizjum – starożytna nazwa Brindisi.

Z każdego niemal wzniesienia widać morze. Zamyka horyzont płaską linią, która powinna dawać uciszenie. Ale nawet gdy jest ono spokojne, gdy nie szturmuje ziemi, jego głęboki kolor przypomina, że jest przepaścią przykrytą lustrem.

Ten, który by przyjechał tutaj z paletą włoskiego pejzazysty, porzucić będzie musiał wszystkie słodkie kolory. Ziemia jest spalona słońcem, ochrypła od posuchy, ma kolor jasnego popiołu, niekiedy szarego fioletu lub gwałtownej czerwieni. Krajobraz znajduje się nie tylko przed oczami, ale także z boku, za plecami, czuje się jego natarcie, obłężenie, jego intensywną obecność. Wysokie drzewa są rzadkie; czasem tylko wyniosły dąb – Zeus drzew. Do stoków przyczepione są grudki zieleni, małe, zajadle walczące o życie krzewy. Przy drogach, na łagodniejszych wzniesieniach – dzika oliwka o wąskich, palczastych, ruchliwych liściach, zielonosrebrnych od spodu. Przy samej ziemi macierzanka, tymianek, mięta – aromaty upału.

Między światłem i cieniem ostra, diamentem wyrysowana linia, bez całej gamy szarości i półcieni, znanych z krajów Północy. Grecy pokrywali kamienie swoich świątyń malowidłami, aby nie oślepnąć. Ale zanim ich sanktuaria podniosły się w słońcu, serce Grecji biło pod ziemią. Od grot, labiryntów, rozpadlin trzeba rozpocząć wędrówkę.

Będzie to próba opisanego krajobrazu i tego, co zeń wydaje się bezpośrednio wynikać.

I

Wioska nazywa się Psychro. Leży u stóp jednej z najwyższych gór Krety – Dikte. Na nielicznych przyjezdnych czeka przewodnik, rośły, czarny chłop; prowadzi ich ostrą serpentyną pod górę, aż do miejsca, gdzie otwiera się grotka, w której według jednej z legend miał urodzić się Zeus.

Nasłoneczniony stok góry rozwiera się nagle czarną jak węgiel jamą. Przewodnik zapala świece. Nachylenie poziomów jest gwałtowne. Już po paru krokach ciemności gęstnieją; ogarnia zimno i przenikliwa, kamienna wilgoć. Czarne stalaktyty – kolumnada szalonego architekta, wąskie korytarze, zakamarki potęgują wrażenie lepkiej, biologicznej tajemnicy narodzin.

Grotka dzieli się na dwie części, z których wyższa była miejscem ofiar. Zachowały się resztki czegoś, w czym archeolodzy dopatrują się śladów ołtarza. Naturalne stopnie wiodą do części drugiej, położonej kilkanaście metrów głębiej, na dnie której zastygła ciemna woda. Odkryto tutaj *ex vota*¹⁷ pochodzące z epoki minojskiej i mykeńskiej.

Gdy schodzi się w dół, aż do małego podziemnego jeziora, od którego blask świecy odbija

¹⁷ *ex vota* (*ex voto*) – ze ślubowania (łac.); wotum, symboliczny dar.

się twardo jak od czarnego marmuru, mrok gęstnieje, zaciska się wokół ciała, coraz bardziej materialny, duszny, aż chciałoby się jego groźną obecność spłoszyć krzykiem.

Dlaczego to właśnie miejsce wybrane zostało jako kolebka boga niebios? Czy nie powinien on raczej urodzić się na szczycie góry lub w rozległej dolinie pełnej słońca? Dlaczego jego początek wtłoczono w głąb pieczary?

Religia grecka była syntezą ziemi i nieba. Wchłonęła przedgreckie – kreteńskie, azjatyckie, egipskie elementy. Zasympiowała starą śródziemnomorską tradycję kultów rolniczych o mocnym piętynie mistycyzmu, z całą plejadą żeńskich bóstw ziemi i Wielką Matką – patronką płodności i urodzaju. Zeus – zdawałoby się najbardziej grecki z greckich bogów – nie był wolny od tych wpływów. Urodzony w rozpadlinie ziemi, wychowany przez nimfę czy kozę Amalteę, był zrazu bóstwem drugorzędym. Jego późniejszy kult i osadzenie na olimpijskim tronie wiąże się z nowym, już greckim prądem religijnym, wprowadzonym przez pasterzy (a nie rolników). Cechą tego kultu był jeśli nie zanik, to na pewno ograniczenie agrarnego pierwiastka mistycznego, przewaga bóstw męskich, przeniesienie siedziby władców świata z głębi ziemi na kręgi niebieskie. Grota Zeusa (*Diktaion antron*¹⁸) jest ciemną kołyską nowej religii światła.

Wyjście z grotty jest wyzwoleniem od dusznych ciemności. Przed oczami wielka równina Lassithi – radosna geometria uprawnych pól. Rozpięte płócienne skrzydła wiatraków jak białe słoneczniki obracają się w słońcu. Intensywne migotanie bieli, żółci, zieleni. Dolina życia zakuta ze wszystkich stron przez jałowe góry.

II

Epidauros umieszczano na mapach – Bóg wie dlaczego – nad brzegiem morza. W rzeczywistości oddalony jest od niego o trzy godziny marszu. Zanim dotrze się do sanktuarium Asklepiosa, trzeba przejść przez zielony przedsionek, nieprawdopodobny w tym spalonym kraju ogród wysokich drzew i zielonej soczystej trawy. Nie ma chyba w całej Grecji skrawka ziemi nadającego się lepiej na miejsce kultu najbardziej dobrotliwego boga Olimpu greckiego, który, jak przedstawiają go rzeźbiarze, uśmiechał się i kładł uzdrowicielską rękę na ciele strapionych, chorych i szukających pomocy.

Sanktuarium jest rozległe; na gęstej trawie, w cieniu drzew rozsiane są resztki ołtarzy, portyków i świątyń. Najbardziej interesującą i zagadkową budowlą jest *thólos*¹⁹ – znajdujący się

¹⁸ *Diktaion antron* – Diktejska jaskinia (gr.).

¹⁹ *thólos* – tolos (gr.); starożytna budowla grobowa na planie koła, często z kolumnadą.

w pobliżu świątyni Asklepiosa. Była to bogato zdobiona rotunda z różnobarwnego wapienia i marmuru, podtrzymywana przez dwa kręgi kolumn (26 kolumn doryckich na zewnętrznej stronie i 14 kolumn korynckich tworzących krąg wewnętrzny). Prawdziwą zagadkę stanowi głęboki, znajdujący się pod tolosem labirynt, zawikłana partia podziemna.

Poprzeczny przekrój owego labiryntu przypomina kretowisko. Wiadomo, że płazy i zwierzęta żyjące pod ziemią były dla Greków wcieleniem sił chtonicznych. Zanim Asklepios przyjął łagodną twarz ludzką, był kretem. Labirynt pod tolosem w słonecznym Epidaurze jest ciemnym korzeniem tego mitu.

Rytuał, jakiemu poddani byli chorzy oczekujący pomocy boga, był prosty. Po złożeniu ofiary wprowadzani byli do świątyni, gdzie mieli spędzić noc na okrwawionych jeszcze skórkach zwierząt ofiarnych. Najważniejszą częścią zabiegów była inkubacja – oczekiwanie na sen, w czasie której bóg wchodził w bezpośredni kontakt z pacjentem. Przedtem zalecano post i wstrzemięźliwość cielesną, aby zapewnić maksymalnie korzystne warunki inkubacji.

Liczba chorych przebywających jednocześnie w Epidaurze dochodziła do ośmiuset. Dopiero w III wieku przed Chr. powiększono portyk, będący jak gdyby przedsionkiem świątyni. Najbliższa wioska była odległa o godzinę drogi. Pielgrzymi tedy spali *sub Iove*²⁰. Dopiero w II wieku przed Chr. zbudowano dla nich zajazd.

Teksty autorów starożytnych niewiele mówią o Epidaurze. Klasycy mało interesowali się sprawami indywidualnymi i wydaje się, że nie poświęcali zbyt wiele uwagi małym chorobom małych ludzi. Pozostają zatem źródła bezpośrednie – *ex vota* – dziękczynne napisy, ale nowsi badacze zachowują wobec nich daleko idącą rezerwę.

Trudno bowiem uwierzyć – mając nawet należyty respekt dla cudów – w pięcioletnią ciążę Cleo, zakończoną szczęśliwym rozwiązaniem, po którym wydana na świat córka sama wykapała się w źródle i w dodatku poszła na przechadzkę z uradowaną matką. Bardziej prawdopodobne jest uleczenie niemej dziewczynki, która na widok węża wydała okrzyk trwogi i zaczęła mówić. (Okolice Epidauru pełne były dużych, żółtych, łagodnych węży – pomocników Asklepiosa – które wałęsały się wszędzie i gnieździły się w inkubatorium). Historie opowiedziane w napisach dziękczynnych nie pozbawione są humoru i uroku. Oto pewien niewolnik rozbił ulubiony puchar swego pana. Przerażony udał się do Epidauru ze skorupami cennego naczynia w worku. I dobry Asklepios uleczył tym razem puchar.

Zapewne przypadki i choroby pacjentów Asklepiosa były różne i nie zawsze urojone. Zdarzały się też ciężkie schorzenia, o czym świadczy milcząca galeria odtworzonych w kamieniu części ludzkiego ciała, ofiarowanych bogu.

Słuszne wydaje się przypuszczenie, że terapia uśmiechniętego Asklepiosa polegała na

²⁰ *sub Iove* – pod Jowiszem (łac.); pod gołym niebem.

rozsądnym – nic wspólnego z magią nie mającym – połączeniu diety i higieny. Bóg zalecał chronić głowę przed słońcem, pić mleko z miodem w celach przeczyszczających, chodzić na spacer, dbać o czystość ciała. „Klinatas z Teb – głosi jeden z napisów – miał na całym ciele ogromną liczbę pcheł; przybył do hieronu²¹, gdzie miał takie oto widzenie: śniło mu się, że bóg rozebrał go, wziął szczotkę i oczyścił ciało z pcheł. Następnego dnia Klinatas wyszedł uleczony z inkubatorium”.

Powszechnie sądzi się, że medycyna grecka urodziła się w świątyni. Ale wiele dowodów przemawia za tym, że obie dyscypliny – cudotwórstwo i wiedza lekarska – rozwijały się niezależnie, w warunkach – rzecz by można – pokojowej współpracy. Przecież Hipokrates – prekursor psychoterapii – przestrzegający zresztą przed szarlatanami, zalecał ofiary i modlitwy, zwłaszcza przeciwko melancholii i koszmarom sennym. Asklepiejon²² w Epidaurze miał szereg filii w wielu miastach greckich i wiemy, że w filii ateńskiej pracował kapłan obok lekarza. Nie, nie ma chyba racji Arystofanes, który wyśmiewał greckich medyków. Komedia i jej nieodzowna przesada nie jest najlepszym źródłem do poznania problemów epoki. Asklepios nie był bogiem szarlatanów, to pewne.

Z Grecji kult Asklepiosa przeniósł się do Rzymu, gdzie uległ wulgaryzacji i zmańczeniu przez magiczne praktyki Egiptu i Azji. Swoją pierwotną czystość uzyskał – rzecz zdawałoby się paradoksalna – w czasach chrześcijaństwa. Groby męczenników zaczęły spełniać rolę inkubatorów. Zmieniły się nazwy, ale metoda stosowana przez świętych: Teklę z Seleucydy, Jana z Egiptu czy Kosmę i Damiana w zasadzie została ta sama.

W Epidaurze znajduje się najpiękniejszy teatr antycznego świata. Jego bezpośrednie sąsiedztwo ze świątynią Asklepiosa zdaje się świadczyć o leczniczej roli dramatu greckiego.

Nikt chyba lepiej od Greków nie potrafił uczynić architektury częścią pejzażu, jego dopełnieniem i ukoronowaniem. Jeśli świątynię porównać można do grupy drzew, teatr przypomina skalistą kotlinę. Architekt nie wkraczał w naturę z tępą geometrią i zimną skalą. Oparty plecami o zbocze góry, teatr w Epidaurze jest dziełem godnym Partenonu.

Aby uniknąć monotonii rytmów, podobnie jak na Akropolu zastosowano tutaj subtelne korektury optyczne. Półkole widowni podzielono na dwie części przejściem zwanym *diazoma*²³. Otóż górna część widowni nachylona jest pod innym kątem, jest – by tak rzec – bardziej stroma niż partia dolna. Także dolna granica *koilonu*²⁴ w stosunku do kręgu *orchestry*²⁵ nie tworzy

²¹ hieron – święte miejsce (gr.).

²² Asklepiejon – świątynia Asklepiosa

²³ diazoma – miejsce przepasania; w teatrze przejście wzdłuż widowni (gr.).

²⁴ koilon – zagłębienie, wydrążenie (gr.).

²⁵ orchestra – okrągły plac, otoczony widownią, miejsce występów aktorów (gr.).

koncentrycznych kół, jakby chciano złagodzić zetknięcie się dwu takich samych figur geometrycznych.

Przewodnicy drą papiery, szepczą w półkolu sceny, żeby zademonstrować doskonałość akustyki budowli; kiedy to ucichnie, trzeba zagłębić się w gorące kamienie i poddać wiecznemu festiwalowi gór, drzew i obłoków. Widoczna na kilkanaście kilometrów równina argolidzka, pofalowana wzgórzami, które łagodnieją w przeczuciu bliskiego morza.

III

„Oto Mykeny bogate w złoto i skrwawiony pałac Pelopidów”²⁶.

Resztki złota znajdują się teraz w ateńskim muzeum. Pałac jest raczej posępną fortecą. Została tylko krew i kamienie. Kiedy szosa skręca nagle, ukazuje się oczom grecka stolica zbrodni. Nawet jeśli nasz bagaż mitologicznych reminiscencji jest skromny – Mykeny wywierają nieodparte wrażenie miejsca nawiedzonego tragedią.

Akropol ma kształt niezgrabnie zakreślonego trójkąta o podstawie wynoszącej około dwieście metrów i o dwu trzystumetrowych bokach, wzniesiony na garbie ziemi, otoczony cyklopowymi murami. Po obu stronach urwiste wąwozy oddzielają fortecę od sąsiednich nagich stoków.

Całość sprawia wrażenie surowego ogromu, choć nie w gigantycznych rozmiarach leży siła Myken. Dzięki gwałtownej rzeźbie terenu wszystko wydaje się większe, niż jest w istocie. Pejzaż jest dziki, zamknięty. Postrzępione wierzchołkami gór niebo wisi nad Mykenami zakrzepłą chmurą nieszczęścia.

Cyklopowe mury są arcydziełem konstrukcji, skoro przez trzy i pół tysiąca lat opierały się nawałnicom historii. Ich nazwa jest trafna, gdyż zdają się być raczej dziełem przyrody niż człowieka. Przypominają skały naniesione przez czoło lodowca w tę wąską, porytą wąwozami dolinę, zatrzaśniętą z dwu stron górami.

Bezimienni budowniczości mykeńskich murów byli na pewno genialnymi architektami. Posiadali wiedzę o naturze kamienia, która przywodzi na myśl niewiele porównań. Bloki są pozornie tylko nie ociosane, mają nieregularne boki. Szczeliny wypełnione są drobniejszym kamieniem zapewniającym konstrukcji elastyczność, naturalną muskulaturę, co tłumaczy tajemnicę długowieczności.

*Genius loci*²⁷ – odpowiada dokładnie temu, co wiemy o władcach Myken.

²⁶ Homer, *Iliada*, VII, 180; XI, 46.

Bandy Achajów, pierwszych indoeuropejskich najeźdźców Hellady, zaczęły przenikać do Grecji od 2000 r. przed Chr. Szybko opanowali Półwysep Peloponeski. Ich wilcze apetyty zaprowadziły ich dalej na południe – do Krety, która ołśniła barbarzyńców. Powstała cywilizacja mieszana, łącząca elementy obce jak ogień i woda – nordyckie i śródziemnomorskie. Cała nieomal *art mineur*²⁸ Mykeńczyków jest kopią sztuki egejskiej. Wyrafinowane złotnictwo o kunsztownym rysunku, rytony z gołębiami (w miejscu, gdzie wyobrazić sobie można sępa), szeleszczące naszyjniki ze złotych liści – wszystko to sugeruje słodycz życia mykeńskich feudałów. Dlatego trzeba zagłębić się w pierścień grubych murów, stłoczonych domów, ciasnego i ciemnego zapewne pałacu, kolistego ponurego cmentarzyska wewnątrz fortecy, aby zrozumieć przepaść dzielącą zaciągniętą z północy cytadelę od słonecznych pałaców Kreteńczyków.

Achajowie przedsięwzięli wyprawy łupieżcze o isticie normandzkim rozmachu, obejmujące Azję Mniejszą (nie tylko Troję, bo i teksty hetyckie przechowały ich imię), Kretę, Italię. Wracali z bydłem, złotem i niewolnikami. Zatrząskiwała się Brama Lwów, której płaskorzeźba porazić mogła tych, którzy zechcieliby szukać sprawiedliwości. Zauważono słusznie, że mapa mitów heroicznych Grecji (powody wojen w mitologii uległy poetyckiej sublimacji) zgadza się dokładnie z centrami mykeńskimi.

Kiedy się zmierzcha, najlepiej usiąść przy drodze prowadzącej do grobu Agamemnona (kamienny ul z ciosanego kamienia) i raz jeszcze rzucić okiem na cyklopowe mury i spiętrzone ruiny Myken. Noc schodzi z gór, ale gniazdo Atrydów świeci jeszcze rudym kolorem starego złota i starej krwi.

IV

Krajobraz grecki przemówił do mnie wtedy patetycznym głosem mitu i tragedii. Było to wrażenie dominujące. Natarczywa obecność nagiej ziemi, mocno rzeźbionych mas skalnych spotęgowana jest nikłością szaty roślinnej. Wielkie drzewa – topola, cis, dąb rosną w dolinach, ale las cofa się wszędzie przed natarciem małych kolczastych krzewów, które przetrwają wszystko.

Z przekazów historycznych wiemy, że łyse teraz zbocza gór kreteńskich pokrywały kiedyś lasy cedrów i cyprysów. Okolice Olimpii bogata była w topole, ale padły one ofiarą przepisu głoszącego, że jest to jedyne drzewo, którego wolno używać przy ofiarach. Dzisiejszy krajobraz

²⁷ Genius loci – duch opiekuńczy miejsca (łac.).

²⁸ Art mineur – sztuka użytkowa (fr.).

grecki jest zatem dzikszy i bardziej odarty z zieleni niż w czasach starożytnych.

Wszelako nie bez małych stref zaciszności – gajów, wśród których wyobrazić sobie można Sokratesa rozmawiającego z Fajdrosem. Nawet w środku Aten, miasta pełnego krzyku i gorączkowego dreptania, skrócić można od ruchliwej Leofóros Dioniziou Areopagitou, która biegnie u stóp Akropolu, i zagłębić się w kręte ścieżki Wzgórza Muz. Dobrze jest przyjść tu wieczorem i pobłądzić wśród mirtów, laurów i cyprysów. Drzewa są niewielkie, niezbyt odbiegające od wzrostu wysokiego mężczyzny, a w mroku tak człekokształtne, że ma się ochotę pozdrowić je, przystanąć i porozmawiać.

Tego osobliwego uczucia zbratania z przyrodą, naturalnej łatwości, z jaką daje się przemienić w kształty ludzkie, nie doświadczyłem w żadnym innym kraju. Dlatego wydaje mi się, że metamorfoza drzew w driady²⁹ była nie tyle wynikiem wybujałej wyobraźni Greków, ile bystrej obserwacji i trafnego uchwycenia znaków wysyłanych przez otaczający świat.

Niedaleko Aten, w stronę przylądka Sunion, znajduje się jedno z najstarszych sanktuariów Attyki – Brauron. Droga wiedzie wśród pól i rozpada się w piaszczyste bezdroże, dlatego zapewne miejscowość ta nieczęsto odwiedzana jest przez turystów, którzy z roku na rok coraz bardziej tracą cechy pielgrzymów.

U stóp braurońskiego akropolu – portyk w kształcie litery „pi”. Niewysokie doryckie kolumny z jasnozłotego piaskowca, proporcjonalne do niewysokich wzgórz okolicy, zapach żniwa i cykady – stwarzają osobliwą atmosferę sanktuarium na odludziu.

Obok portyku, który jest budowlą dominującą i zamyka architektoniczna całość, odkopano fragmenty dwu niewielkich świątyń – Artemidy i Ifigenii oraz dom kapłanek. Herodot opowiada, że co cztery lata odbywała się tu dziwaczna ceremonia. Młode dziewczęta, odziane w suknie szafranowe, poświęcano bogini. Nosiły one osobliwe imię niedźwiedzic. Starożytni tłumaczyli tę ceremonię tym, że w zamierzchłych czasach zabito w Brauronie niedźwiedzicę poświęconą Artemidzie, za co mściwa bogini zesłała na okolicę zarazę. Intencją ofiary dziewcząt było przebłaganie bogini lasów.

Interpretacja ta nie posuwa się zbyt głęboko. Wykopaliska z ostatnich czasów, odkrywające resztki osady prehistorycznej, pozwalają przypuszczać, że braurońskie uroczystości są dalekim echem obrzędów totemicznych jakiegoś przedgreckiego klanu, którego zwierzęciem opiekuńczym był niedźwiedź.

Niedźwiedź w Grecji? Jakkolwiek ostatnie egzemplarze tego gatunku żyją jeszcze w wysokich górach na północy – Grecja dzisiejsza wydaje się wyjątkowo uboga w zwierzyne.

W pierwszej połowie XIX wieku, w miejscowości Pikermia w pobliżu Aten, w czasie prac inżynierskich odkryto przypadkiem... cmentarzysko zwierząt! Odkrycie to stało się sensacją dla

²⁹ driady – boginie leśne, żyjące w drzewach.

przyrodników całej Europy.

Na podstawie tego znaleziska uczeni doszli do wniosku, że w czasach bezpośrednio poprzedzających okres historyczny, Grecja była obszarem niezwykle bogatej i różnorodnej fauny. Żyły tu zwierzęta klimatu umiarkowanego: kozice, sarny, niedźwiedzie, obok zwierząt strefy gorącej, jak antylopy, słonie, hieny, nosorożce, małpy, a także gatunki charakterystyczne dla krajów zimnych, na przykład wół piżmowy. Nie brak było potężnych drapieżników, jak tygrys szablisty i lew – tak często przedstawiany w rzeźbie, a więc nie był, jak by się zdawać mogło, czystym importem wyobraźni.

Cmentarzysko w Pikermii było wynikiem jakiegoś gigantycznego pożaru lasów, przed którym uciekały stada zwierząt i ginęły, staczając się ze stromych ścian wąwozów.

W *Ifigenii w Taurydzie* Eurypidesa znajdujemy wzmiankę o Brauronie. Tekst brzmi: „A ty, Ifigenio, na świętych wzgórzach Brauronu, będziesz kluczniczką świątyni, gdzie pochowają cię po śmierci. Poświęcą ci wspaniale tkaniny, które pozostawiły po sobie kobiety zmarłe w połogu”³⁰.

W czasach Eurypidesa Ifigenia była już tylko śmiertelną heroiną. Ale wcześniej zaliczono ją w poczet istot nieziemskich jako boginię płodności. Ustąpiła miejsca Artemidzie, podobnie jak Helena, pierwotnie bogini, zdegradowana została do roli żony Menelausa – sprawczyni nieszczęsnej wojny trojańskiej. Co oznaczały te detronizacje? Prawdopodobnie w czasach poprzedzających bezpośrednio narodziny tragedii zaistniała potrzeba skodyfikowania legend i szereg bóstw lokalnych musiało ustąpić miejsca bóstwom ogólnogreckim.

Brauron ma leniwą atmosferę starych, opuszczonych, wiejskich dworów. Ze zbocza akropolu wypływa źródło i bystry strumień ginie pod fundamentami portyku. Chociaż na braurońskie sanktuarium nakładają się warstwy wielu legend i zamierzchłych wierzeń, wydaje się, że zbudowano tutaj świątynię na cześć wody – w kraju, gdzie źródło jest objawieniem.

V

Rozkołysany poza granice wyobraźni i daleko poza granice wszelkiego opisu – krajobraz Delf. Powiedziano o nim wiele ładnych zdań: „miejsce, które ma w sobie tajemniczość, wielkość i trwogę rzeczy boskich”; „w środku kolosalnego spiętrzenia nagich skał świątynie królują wspaniale w pustkowiu tragicznym i wyniosłym”; „ogromna dekoracja ziemi torturowanej gniewem boga gromowładcy”. Jak pierścionek wobec widnokregu są te zdania małe i potoczyste;

³⁰ W. 1462-1467.

nikt nie potrafi zamknąć w słowach wspaniałości tego miejsca.

Człowiek przyszedł na górskie pustkowie, by wydrzeć tajemnicę bogom. Uczepił się ostatniego stoku Parnasu – niewidocznego stąd zresztą – tak dzikiego, że do dziś jeszcze przechadza się tam pewnie nie płoszony Dionizos. Skały zwane Fedriadami opadają niemal prostopadle z wysokości 300 metrów. Z wąskiej szczeliny wypływa Źródło Kastalskie. Droga wyrębana jest tuż nad przepaścistym wąwozem Plejstos, który prowadzi na zachód w głąb gór, na południe zaś w stronę zatoki Itea. Z daleka, bardzo nisko, widać morze, połyskliwe jak skóra węża.

Trudno dociec, jakie były początki sławy i znaczenia Delf, duchowej stolicy Grecji. Niektórzy badacze utrzymują, że przyczyniła się do tego instytucja tyranów. W momentach kryzysu autorytet wyroczni podpierał ich chwiejące się trony. Rzecz znamienita: byli to nie tylko władcy helleńscy, ale także królowie barbarzyńscy z Frygii i Anatolii – Giges, Krezus, Midas. Ten ostatni podarował Delfom około roku 740 złoty tron. Czy był to objaw pobożności? Maria Delcourt zauważa słusznie, że azjatycki książę traktował boga jak potężnego władcę, którego należało przekupić.

W epoce Homera Delfy były już sławne i bogate. Mit poucza, że na początku nazwa miejsca brzmiała Pytho i panowała tu Gea, bogini ziemi. Apollo zapragnął mieć tu swoją świątynię. Przedtem należało zabić smoka żeńskiego Pythona – wcielenie mocy chtonicznych. Hymn homerycki z końca VII wieku przed Chr. opisuje zapasy owych dwu elementarnych sił religii greckiej.

Niedaleko pięknie falującego źródła bóg, syn Zeusa, zabił ze swego potężnego łuku smoka, olbrzymie zwierzę, dziką bestię, która tyle cierpień wyrządziła ludziom, a także ich owcom o cienkich nogach. Ten, kto ją napotkał, był stracony aż do dnia, kiedy Apollo – bóg Łucznik wraził w nią swą potężną strzałę. Rozdzierana srogim cierpieniem bestia zwinęła się na ziemi, wydając wielkie rżenie... i oddała ducha, wyzionąwszy skrwawiony oddech. Wtedy Apollo Fojbos rzekł dumnie: „Teraz gnść będziesz tu na ziemi, która jest żywicielką ludzi”³¹.

Hymn homerycki mówi dalej, że zwycięzca udał się na poszukiwanie kapłanów, którzy byliby strażnikami jego nowej świątyni i nowej religii. Popłynął na Kretę pod postacią delfina. Odtąd to miejsce nazywano – Delfy.

Ta druga część mitu nie jest jasna i niektórzy interpretują ją jako dowód wpływu minojskiego na ośrodek nowego kultu. Obecnie sądzi się raczej, że apollinińska rewolucja religijna odbyła się w wieku VIII przed Chr. albo niewiele przedtem, a zatem w czasie, kiedy Kreta była już od paru wieków domeną Greków. W bliskim sąsiedztwie sanktuarium Apollona, w miejscu zwanym Marmaria, bóstwa ziemi zachowały swoją suwerenność, o czym świadczą sfinksy i inne symbole

³¹ Do Apollina Pytyjskiego, w. 185-187.

obce Fojbosowi. Najprawdopodobniej jeszcze przed przybyciem Apollona Pytho było siedliskiem wyroczni.

Chociaż tyle napisano książek o delfickiej wyroczni i wszyscy badacze podkreślają jej ogromne znaczenie – zarówno jej funkcjonowanie, jak i rola polityczna wciąż jeszcze są w sferze domysłów i hipotez. Emil Bourguet mówi: „Niezależnie od tego czy byli to ostatni poganie, czy pierwsi chrześcijanie, którzy z bardzo różnych powodów chcieli, aby zniknęły wszelkie ślady tego, co można nazwać mechanizmem i stroną materialną wyroczni – rezultat jest ten sam: ostatnia Pytia zabrała do grobu swą tajemnicę”.

Jako oblubienica boga, Pytia musiała być początkowo dziewicą. Potem wybierano ją spośród grona mężatek, które odtąd wiodły życie zakonne. Pytano wyrocznię raz w roku, następnie co trzy miesiące, ale w okresie największego autorytetu Delf zdarzały się też konsultacje wyjątkowe. Wzrosła też liczba wieszczek, nie przekraczała jednak nigdy liczby trzech.

Potoczne wyobrażenie kapłanki Apollona: kobieta z rozwianym włosiem, otwartymi ustami siedzi na trójnogu, odurzona wyziewami ziemi. Ta historyczna wizja nie ma wiele wspólnego z realiami. Nie odkryto bowiem w Delfach żadnej rozpadliny skalnej, z której miały się wydzielać owe podniecające wyziewy. Całą tę legendę przypisać należy późniejszym chrześcijańskim interpretatorom – Orygenesowi i Janowi Chryzostomowi, którzy pragnęli przydać wrogiej instytucji diabelskiego zapachu siarki.

Pytanie wyroczni odbywało się w części świątyni zwanej *ádyton*³² (miejsce, do którego nie ma dostępu). Osoby konsultujące oczyszczały się w Źródle Kastalskim, składały przepisaną opłatę oraz asystowały przy ofierze. Jeśli ofiara okazywała się pomyślna, wchodziło do adytonu. Pytia, niewidoczna za zasłoną, udzielała odpowiedzi na stawiane pytania.

Przysłowiowa niejasność proroctw wymagała pomocy egzegetów. Tak więc odpowiedzi wieszczki były zawsze interpretowane. Delfy były skomplikowaną instytucją, której – jeśli tak wolno powiedzieć – honorowym prezesem był Apollo, ale oprócz pomocników Pytii, kapłanów zwanych świętymi, działali tutaj ambasadorowie poszczególnych państw, pośredniczący między rezydencją boga a rodzinnym miastem.

Nie znamy niestety ani metod działania, ani hierarchii poszczególnych godności, ani nawet nazwisk owych pośredników. Dociekliwi badacze wydarli tej zamierchłej konspiracji nazwisko wieszczka ateńskiego i egzegety z V wieku przed Chr. Nazywał się Lampon, urzędował w Delfach, ale nie wiadomo czy był akredytowany, czy działał na własny rachunek. Wiadomo o nim jednak, że odegrał poważną rolę, opowiadając się po stronie Peryklesa przeciwko Tucydidesowi. W okolicach Delf pojawił się baran o jednym rogu. Lampon oświadczył i nadał temu oświadczeniu odpowiedni rozgłos, że wkrótce państwo ateńskie przestanie oscylować

³² ádyton – miejsce niedostępne (gr.).

między dwoma systemami politycznymi i że Tucydides, szef partii arystokratycznej, będzie musiał ustąpić Peryklesowi.

Z tego pojedynczego faktu nie można jednak wyciągnąć żadnego ogólnego wniosku, takiego choćby, że Delfy popierały zawsze siły demokratyczne. Arystoteles mówi, że ambasadorowie państw greckich w Delfach byli podporami tyranii. Z powodu fragmentaryczności źródeł i ku rozpaczy amatorów wiedzy pewnej (nawet w dziedzinie spraw boskich), jesteśmy skazani na hipotezy i każdej tezie można przeciwstawić silne kontrargumenty.

Waga rozpatrywanych przez wyrocznię pytań była bardzo różna: od kwestii osobistych aż do spraw wojny i pokoju. Pindar przytacza następującą historię, która być może jest tylko anegdotą. Otóż obywatel wyspy Thera, niejaki Battos, cierpiący na wadę wymowy (jąkanie), zasięgnął rady bóstwa, co ma czynić, aby pozbyć się tej kłopotliwej dolegliwości. Pytia odpowiedziała, że ma wyjechać do Afryki i tam założyć kolonię. Posłuszny Battos udał się do Afryki, spotkał na pustyni lwa i nagle przerażenie sprawiło, że zaczął mówić płynnie. Czy ta opowieść prawdziwa, czy nie, jest rzeczą chyba pewną, że Delfy popierały ekspansję kolonizacyjną Greków i do tego celu nie wahały się używać nawet jąkałów³³.

Najbardziej znana, dzięki Herodotowi, jest sprawa wyroczni w dramatycznych dniach poprzedzających drugą wojnę z Persami. Panika ogarnęła wszystkie miasta greckie. Odpowiedź Pytii na pytanie Ateńczyków, co należy czynić, bynajmniej nie dodawała odwagi.

„Nieszczęśni, dlaczego pozostajecie beczynni? Opuśćcie swoje domostwa i wysokie wzgórza waszego kolistego miasta. Nie ocaleje bowiem ani głowa, ani ciało; wszystko zostanie doprowadzone do żalosnego stanu, strawione przez pożar i gwałtowność Aresa na syryjskim rydwanie. Zniszczy on także wiele innych zamków, nie tylko twój; odda na pastwę ognia многие bogów świątynie, których widok przejmuje strachem i drżeniem trwogi, albowiem z ich dachów spływa czarna krew, zapowiedź nieuniknionej klęski. Ale wyjdźcie z miejsc świętych i odpowiedzcie nieszczęściu – odwagą”³⁴.

Poza ostatnim zdaniem, w którym dźwięczy nuta laickiego tragizmu (jak byśmy powiedzieli dzisiaj), wizja totalnej zagłady porazić mogła nawet najodważniejszych. Za radą tedy Temistoklesa poproszono wyrocznię o drugie prorocstwo, które brzmiało enigmatycznie: drewniany szaniec ocali Ateny. Zbudowano flotę i jej zwycięstwo pod Salaminą uratowało w istocie Grecję.

W Delfach ścierały się różne interesy i siły polityczne, ale przesadna wydaje się opinia, iż stolica duchowa Hellady była tradycyjnie konformistyczna i w momentach krytycznych przemawiała po persku, po spartańsku czy w końcu po macedońsku, sprzymierzając się zawsze z

³³ *Ody Pytyjskie*, IV.

³⁴ *Dzieje*, ks. VIII.

tymi, którzy byli lub wydawali się silniejsi. Wyrocznia niewątpliwie była nadużywana, ale dziś trudno rozstrzygnąć, co było faktem, a co fantazją interpretatorów lub osób, które starały się znaleźć usprawiedliwienie, powołując się na głos boga. Tak na przykład Argos i miasta kreteńskie, które zaniechały udziału w obronie Grecji, zasłaniały się wyrocznią odradzającą walkę z Persami, ale prosta znajomość natury ludzkiej każe przypuszczać, że motywem decydującym tego zaniechania był raczej pospolity strach niż ślepa wiara prostaczków.

Religijna i moralna rola centrum duchowego Hellady nastęcza wiele kłopotów interpretatorom. Na ogół można powiedzieć, że w tej dziedzinie stolica religii greckiej wykazała dużo zdrowego rozsądku, popierając między innymi obce kultury i stosując rozsądną zasadę tolerancji. Zdarzały się jednak wyjątki od tej zasady. Po zdobyciu Troi Ajas Lokryjczyk zniewazył kapłankę Ateny Kasandrę i prześlaniem tego czynu miało być wysyłanie Trojanom przez okres 1000 lat dwu dziewcząt lokryjskich, które, otoczone powszechną nienawiścią, wiodły pożałowania godny żywot, zamknięte w świątyni Ateny, nie opuszczając tego miejsca i nie rozmawiając z nikim do końca dni swoich. W wieku IV przed Chr. Lokryjczycy postanowili zaniechać tego barbarzyńskiego procederu. Delfy jednakże polecały kontynuowanie ofiary, która była rodzajem odpowiedzialności zbiorowej, rozciągniętej na pokolenia.

Jest rzeczą więcej niż prawdopodobną, że humanizacja religii greckiej dokonała się w znacznie większym stopniu za sprawą poezji tragicznej niż za sprawą kapłanów. To właśnie Ajschylos i Sofokles z mocą, godnością i odwagą walczyli ze zwyczajem zemsty rodowej, ciężkiej złowrogo nad życiem greckim. Ich wycucie istoty religii – szafarki wybaczenia – było daleko większe niż oficjalnych przedstawicieli kultu.

Delfy przypominają wielkie kamienne schody, wykute w skale. Święta droga wije się ostrymi zakosami wśród niebywałego stłoczenia wotywnych kaplic, portyków, skarbców i świątyń. Nad tym spiętrzeniem budowli dominuje dorycka świątynia Apolla. Wyżej, na najwyższym już wzniesieniu – stadion i teatr.

Podobnie jak katedry gotyckie, Delfy były dziełem zbiorowym. Gdy w VI wieku przed Chr. świątynia Apollona uległa pożarowi, zarządzono międzynarodową subskrypcję. Kapłani delficy wędrowali z miasta do miasta, zbierając datki. Nie ominęli Egiptu. Faraon Amasis dał na ten cel tysiąc talentów. I kiedy z kolei także tę świątynię zniszczyło trzęsienie ziemi, ofiary na nową budowlę zaczęły napływać z całej Grecji, także od najuboższych, którzy dawali swego przysłówiowego obola.

Z powodu oddalenia i karkołomnego usytuowania koszty budowy, a zwłaszcza transportu były niezwykle wysokie i tylko przywiązaniem do świętego miejsca należy tłumaczyć fakt, że Grecy nie szukali dogodniejszej lokalizacji. Cena bloku kamienia w kopalni wynosiła 60 drachm, na miejscu zaś budowy ośmiokrotnie więcej. Architekt zarabiał w tym czasie dwie drachmy dziennie.

Poniżej świątyni Apollona znajdują się *ex vota* i skarbcce – małe budowle sakralne, a jednocześnie magazyny najcenniejszych ofiar wiernych, których na wszelki przypadek bezpieczniej było nie zostawiać na wolnej przestrzeni. W miniaturowej skali śledzić można tutaj rozwój architektury greckiej od najstarszego (prawdopodobnie koniec VII wieku przed Chr.) skarbcza korynckiego – prostej, wydłużonej sali, bez podziałów i architektonicznych ozdób, aż do skarbcza Cyreny – który jest kamiennym wykładem głównych problemów matematycznych IV wieku przed Chr. Geometria helleńska składa hołd bogowi miary i harmonii.

Ex vota są natomiast świadectwem krwawej rywalizacji miast greckich. Wybudowano je nie tyle na chwałę bogom, ale aby upamiętnić własną wojenną glorię i przypomnieć przeciwnikom ich klęski. Mieszkańcy Argos poświęcają swoje *ex vota* uczczeniu zwycięstwa nad Spartą pod Ojnoe. Kiedy Spartanie pokonali Ateńczyków pod Ajgospotamoj, zbudowano *ex vota* pełne posągów spartańskich generałów i admirałów, i to tuż w pobliżu *ex vota* Aten. Jeśli dodamy, że materiał użyty na budowę tych małych świątyń pychy pochodził z grabieży dokonanej w miastach pokonanych, będziemy mieli pełną miarę upokorzenia zwyciężonych.

Antagonizmy i wymowne przykłady skłócenia miast nie powinny przesłaniać faktu, że mimo wszystko Grecja, i to w głównej mierze za sprawą Delf, stanowiła jedność duchową. Przychodzili z najdalszych kolonii na święte zbocza, aby dostąpić łaski pojednania pod świetlistą władzą tego, który, jak mówi Pindar – dał nam lutnię i natchnienie, wlewa do serca miłość pokoju i nienawiść wojny domowej³⁵.

Skały otaczające Delfy są pokryte rzadką zielenią, są krwistorude i sine, stale grożące obrywem. Na tym dramatycznym tle wieczorem zauważyć można wolno sunący cień orła.

Delfy – kamienna korona greckiego krajobrazu.

VI

Sparta nie dostarcza prawie żadnych (właściwie żadnych) przeżyć estetycznych. Miasteczko – siedziba ongiś greckiej potęgi – jest małe, prowincjonalne i źle zabudowane. Żywy mur piersi spartańskich, o którym mówiono z przechwałką, zszedł już dawno pod ziemię. Resztki żalonych ruin, pochodzących zresztą z późniejszych czasów, są bez śladu wielkości i piękna. Muzeum jest ubogie – jedna tylko rzeźba godna uwagi, popiersie Leonidasa, wyłaniające się z surowego kamienia niby nie dokończona rzeźba Michała Anioła. Sprawdziła się przepowiednia Tucydidesa – nic nie zostało z dumnej Sparty.

³⁵ *Ody Olimpijskie*, IX i in.

Nie dostarcza przeżyć, ale pobudza do refleksji. Nie zdołano zatrzymać czasu, chociaż cała konstrukcja państwa i obyczajów spartańskich była próbą jego zatrzymania. Do końca (to znaczy do klęski zadanej Spartanom przez Teby w roku 371 przed Chr.) dzieliła Równych od helotów – wyjętych spod prawa – socjalna przepaść. Ci ostatni byli ofiarą ohydnych masakr, dokonywanych przez młodzieńców spartańskich nie z nienawiści tylko, ale (co gorsze) jako trening, zaprawa bojowa. Władza w tym najbardziej oligarchicznym państwie greckim pozostawała w ręku garstki obywateli. Działalność ekonomiczna wolnych obywateli była zakazana. Wojaczka stanowiła jedyne godne zajęcie Równych. Patronem sztuki był Tyrteusz – autor hymnów i ód – dwu rodzajów literackich, które po wiekach znalazły uznanie w oczach Saint-Justa.

Sparta miała jednak swoich wielbicieli. Byli to oczywiście intelektualiści – Platon, Ksenofont, którzy, jak to oni, wołają państwa rządzone przez ideę niż przez nieobliczalne i podejrzaną prawa życia.

VII

Olimpia nie sprawiła na mnie zrazu większego wrażenia. Teren jak rzadko w Grecji jest płaski i mocno zadrzewiony. Sławny stadion jest właściwie sporą łąką. Jedyne wzniesienie w pobliżu to regularne jak kopuła wzgórze Kronosa, pokryte piękną szczeciną drzew. Światło jest tu łagodne, zielone, przesiane przez liście i odbite od traw. Zupełna antyteza krajobrazu delfickiego.

Już z początkiem XVIII wieku Olimpia była przedmiotem archeologicznych sondaży. Systematyczne wykopaliska podjęli Niemcy. Prace trwają do dziś. Może właśnie ta chłodna naukowa systematyczność utrudnia estetyczną kontemplację Olimpii. Dopiero w muzeum odczuć można, czym była naprawdę, gdy oglądamy najpiękniejszy zbiór metop greckich i najwspanialsze dwa frontony ze świątyni Zeusa.

Problemem trapiącym archeologów nie od dziś jest to, iż zasady konserwacji i zasady rekonstrukcji nie zawsze dają się z sobą pogodzić. Poza tym jak najprędzej ze względów komercyjnych starano się udostępnić wykopaliska, co często hamuje prace naukowe. Ale chyba nie będzie przesadnym pięknoduchostwem, jeśli się powie, że ruiny powinny posiadać moc ewokacji. Nie idzie, rzecz oczywista, o dorabianie brakujących kolumn, dolepienie metop i odbudowę sklepień. Resztki świątyni Posejdon na przylądku Sunion (dzięki znakomitemu położeniu – jak latarnia morska – nad skarpą spadającą w morze) posiadają idealne cechy rekonstrukcji niepełnej, ale poruszającej wyobraźnię. Olimpię zwiedza się z przewodnikiem w

ręku, jakby odrabiało się zadaną lekcję: tu był Herajon, tu ołtarz Zeusa: jego świątynia (potężne bębny kolumn, leżące jak pnie drzew), a tam pracownia Fidiasza. Prawdziwa łaska piękna spływa dopiero w muzeum.

Igrzyska – uważane w Grecji za najstarsze – odbywały się co cztery lata z początkiem lipca lub września i stanowiły od VI wieku przed Chr. podstawę chronologii greckiej. Trwały pięć dni, a ich organizacja i program są od dawna dość dobrze znane. Nowsi badacze próbują doszukać się źródła i odczytać ukryty sens tych uroczystości.

Olimpijskie zapasy sportowe są zapewne echem bezlitosnych walk o władzę między ojcem i synem (Kronosem i Zeusem, Zeusem i Heraklesem – patronami igrzysk) czy teściem i zięciem (Ojnomaosem i Pelopsem) – odwieczny temat niezliczonych baśni całego świata. Kandydat na króla musiał wykazać swoją wyższość i fizyczną przewagę – a najlepszym i bezapelacyjnym sposobem było zabicie przeciwnika. U źródeł bezinteresownych zapasów sportowych leżał mord i zagarnięcie tronu.

Achilles po śmierci Patroklesa – jak wiadomo z *Iliady* – wyprawił igrzyska. Nie było to tylko sposobem uczczenia poległego bohatera. Znaczenie tej uroczystości było magiczne. Chodziło o zastrzyk energii witalnej, którą zawodnicy przynosili na zmarłego.

Jedyną materialną nagrodą dla zwycięzcy był wieniec z gałązek oliwki – nie jakiegokolwiek przydrożnej – lecz zerwanych z drzewa *kallistefanos*³⁶, które Herakles przywiózł z kraju Hiperborejczyków. To wskazuje na związek igrzysk z kultami roślinności. W szczególności bieg, rytmiczne uderzanie nagimi stopami o ziemię miało pobudzić uspione jej siły rozrodcze. Była to pierwotnie uroczystość ku czci Heraklesa – nie doryckiego, tego znanego z legend, ale znacznie starszego jego wcielenia – Heraklesa chtonicznego – demona przyrody.

Pierwotnym źródłem igrzysk były zapasy na śmierć i życie. Nie należy sobie jednak wyobrażać, że w epoce klasycznej zniknął zupełnie element ryzyka. Zawody nie były tylko pokazem siły i piękna, ale także grą o najwyższą stawkę. Szczególnie niebezpieczne były wyścigi kwadryg; w czasie igrzysk pytyjskich w 462 r. przed Chr. tylko jedna doszła cało do mety. Oślepiające słońce, ostre wiraży i długość trasy były przyczyną wielu śmiertelnych wypadków, które – podobnie jak w corridzie – stanowiły część widowiska.

Olimpia obok Delf była symbolem braterstwa wszystkich Hellenów. Na czas trwania zawodów ambasadorowie zwani *theoroi*³⁷ ogłaszali pokój i skłócone miasta o różnych ustrojach, dialektach i obyczajach oddychały szeroko powietrzem wspólnej, odnalezionej ojczyzny.

Igrzyska były agonem, to znaczy konkursem albo lepiej walką, która stanowiła jeden z

³⁶ kallistefanos – pięknie uwieńczony (gr.); dzika oliwka w Olimpii, z jej listowia sporządzano wieńce.

³⁷ theoroi – (gr.); wysłannicy do wyroczni lub na igrzyska.

istotnych elementów cywilizacji greckiej. Z walki miał się wyłonić nie taki sobie dobry i taki sobie dzielny człowiek, ale najlepszy – bohater. Była zatem Olimpia szkołą energii i pokazem wzorców osobowych.

A także szkołą rzeźby. Zawodnicy wypożyczali swoje ciała bogom i herosom. Najwybitniejsi artyści greccy: Fidiasz, Myron, Poliklet (twórca nowego kanonu) pracowali dla Olimpii.

Grekom nie znane były zapasy zespołowe. Zwycięstwo było indywidualne, o czym świadczą zachowane nazwiska triumfatorów igrzysk. Początkowo w wieku VIII przed Chr. byli to bez wyjątku Peloponezyjczycy, później pojawiają się nazwiska zawodników z Aten, Smyrny, Teb, Krotony, Syrakuz i Samos. Nagrodzony wieńcem laurowym miał wszelkie szanse, by po śmierci stać się mieszkańcem Wysp Szczęśliwych, chłodzonych wiatrem oceanu, gdzie pod ogromnymi drzewami, przybranymi w girlandy kwiatów, przechadzają się wybrani pod łagodnym wzrokiem Radamantysa i jego małżonki Rei, królującej na najwyższym z tronów.

VIII

Do pełnego obrazu Grecji niezbędny jest obraz wysp. Z samolotu lecącego z Heraklionu do Aten widać, jak wyłaniają się z morza. Mają postrzępione brzegi i płowy kolor, niby skóra lwa rzucona na fale. Ujrzone z pokładu statku mają twarz ludzką: domy pokryte wapnem, o płaskich dachach, kręte uliczki, dymy, krzątająca czarnych postaci wokół wydobytej właśnie z morza sieci.

Wybrałem Delos. Statek płynie dwanaście godzin z Pireusu aż do wyspy Mykonos. Zarzuca kotwicę na pełnym morzu. Motorówka przywozi pasażerów do małego rybackiego portu. Chociaż przyjechałem nocą, domy, zlepione z sobą jak plaster miodu, parowały bielą.

Mykonos jest modne, ale na szczęście dzięki trudnościom komunikacji nie osiągnęło stanu Capri. Rankiem najlepiej wyjść do portu i przechadzać się wzrokiem od domu do domu, układając w myśli barokowy sonet składający się z porównań do kredy, piany, marmuru, alpejskiego śniegu. Istna orgia bieli – jeśli słowo orgia jest stosowne do tego najcichszego z kolorów.

Od wieków Mykonos żyło z darów morza. Takie zdanie można wyczytać w turystycznych prospektach, w których znaleźć można często prawdziwe perły poezji stosowanej. Ściśle mówiąc, zawodem mieszkańców było rybołówstwo i piractwo. Miasteczko słynne jest z tego, że na dwa domy przypada jedna wotywna kaplica, ufundowana przez przedstawicieli obu tych profesji, co świadczy, że morze istotnie bywa tutaj groźne, a pożądanie dóbr bliźniego – nieprzeparte.

Z portu jedzie się rozklekotaną motorówką na Delos. Doświadczyłem gniewu Posejdon;

prawdę mówiąc, nie był to pełny gniew, ale po prostu pomrukiwanie i zły humor. Wystarczył jednak, aby przekonać, że Morze Egejskie nie jest sadzawką.

Właściciele motorówki przestrzegali zresztą lojalnie turystów, wystawiając w pobliżu kosza na śmieci bardzo starą tablicę, pokrytą nieczytelnym pismem, z której filolog, człowiek nawykły do czytania zawiłych rękopisów, mógłby wywnioskować, że tym razem podróż odbywa się na ryzyko podróźnych.

Podróżni: grupa angielskich studentów – zachowali piękną obojętność wobec przeciwności losu. Rozwijali wielkie płachty gazet, które jednak w tym przypadku nie stanowiły przedmiotu lektury, ale naśladowały togę, którą stoicy zakrywali twarz, by ukryć cierpienie; Niemcy pohukiwali zrazu ochoczo, lecz prędko stali się ociężali i melancholijni; jasna, czarno ubrana Szwedka przez cały czas miała zamknięte oczy i po twarzy sączyły się jej ogromne, piękne łzy. Jedyne przedstawiciel załogi poza sternikiem – majtek, jeśli to słowo jest odpowiednie dla wiekowego staruszka, usiłował małym czerpakiem wylać wodę, którą nanosiły przewalające się fale. Doświadczenie trudności tej podróży wydawało mi się konieczne dla zrozumienia niektórych fragmentów *Odysei*.

Wreszcie Delos. Ziemia jałowa, ziemia bez pól uprawnych, skała wyniesiona przez fale dla mew raczej niż dla ludzi, otwarta na wszystkie wiatry, pełna rytmu morza. Ma zaledwie 16 kilometrów kwadratowych. Z największego wzniesienia z góry Cynt widać wieniec Cyklad: Tenos, Andros, Syros, Kythnos, Serifos, Andîparos, Paros, Ios, Naksos, Amorgos, Mykonos, Ikaros. Jest to pewna przesada: wszystkich tych wysp nie widać, ale nazwy są tak piękne, że trudno nie ulec pokusie ich wymienienia. Delos leży w środku Cyklad i to tłumaczy wyjątkowe znaczenie tej wyspy-sanktuarium, która już w czasach mykeńskich była sławną siedzibą bóstw ziemi, opiekunek płodności i położnic. Herodot opowiada o pielgrzymkach, które przybywały tutaj z dalekiej Scytii.

Do mitologii greckiej Delos weszło jako miejsce urodzin Apolla i Artemidy. W pięknym hymnie homeryckim zwraca się ich matka Latona nie do Posejdona, który dał ściganej gniewem Hery to kamienne schronienie, ale wprost do wyspy. Mówi, jak wygnana księżna do ubogiej wieśniaczki, przyrzekając jej przyszłą nagrodę – hekatombę na ołtarzach, wozy pełne tłustego mięsa. „Delos, jeśli zechcesz być siedzibą mego syna Apolla... będą cię żywiły ręce innych”³⁸.

Dziewięć dni i dziewięć nocy klęczała Latona obejmując pień świętej palmy (prymitywna technika położu), zanim wydała na świat Artemidę i Apolla. Wtedy to wyspa z pospolitej Ortygii (wyspy kamyków) stała się świetlistą Delos. Podobnie jak w przypadku Delf, zmiana nazwy oznaczała pojawienie się nowego kultu. Chociaż w ciągu wieków wprowadzono tutaj coraz to innych i nowych bogów, nie odbywało się to kosztem poprzedników, obowiązywała bowiem

³⁸ Do Apollina Delijskiego, w. 51-60.

piękna zasada, że nie należy wyrzucać starych rodziców z ich domostw. Było to niewątpliwie zasługą Jończyków, którzy, nie tracąc ze swojej indywidualności, potrafili na własny użytek przyswoić pierwiastki obce. Zresztą nie należy zapominać, że cała apollińska triada – Latona, Artemida i Apollo (ze swym nieodstępnym azjatyckim łukiem występujący pod Troją jako przeciwnik Greków) – pochodziła ze Wschodu.

Z epoki archaicznej świetności (Delos obok Olimpii i Delf należało do najświetniejszych sanktuariów Grecji) zachowało się sporo pamiątek. Ogromny tors Apollona, zespół pięknych korynckich i wreszcie słynny taras lwów. Zwierzęta wsparte na przednich łapach oszczekują północ. Mają wydłużone ciała psów. Artyści z Naksos, którzy je rzeźbili około roku 600 przed Chr., znali zapewne lwy tylko z opowieści.

Ateny w wieku VI przed Chr. stały się jedną z pierwszych potęg Grecji. Zazdrościły Delos znaczenia politycznego i moralnego. Puszczono w ruch stare mity, aby wykazać zamierzone filiacje attycko-delijskie. Tyran ateński Pizystrat dokonał oczyszczenia wyspy, usuwając z niej wszystkie groby. Odtąd nie wolno było na Delos ani rodzić, ani umierać. Matki w połogu i konających transportowano na pobliską wyspę Reneję. W V wieku przed Chr. Delos i Ateny były stolicami antyperskiej konfederacji, ale przeniesienie skarbcza delijskiego do Aten oznaczało nieuchronnie zmierzch kolebki Apollona.

Powtórny renesans wyspy nastąpił w epoce hellenistycznej i rzymskiej. Nie tracąc charakteru sanktuarium, Delos stało się także metropolią kupiecką Morza Egejskiego. Zwłaszcza po zburzeniu Koryntu i Kartaginy przez Rzymian w roku 146 przed Chr. centralnie położona między Azją, Europą i Afryką wyspa przeżywała okres prosperity.

Nowi ludzie – nowi bogowie. Delos było zawsze jak gościnny zajazd. Na wznoszącym się łagodnie zboczach góry Cynt – taras cudzoziemskich bóstw. Trzy świątynie Serapisa, świątynia Izidy w sąsiedztwie bóstw dawnych triady apollińskiej oraz Zeusa i Hery. I nowa legenda, którą rozwija Kallimach: mały potok delijski Inopos miał być napełniony wodami Nilu. Wody świętej egipskiej rzeki pielgrzymujące do Apollona – wymowny przykład zbratania religii u schyłku antycznego świata.

Często porównuje się Delos z Pompeją. Podobieństwo leży raczej w atmosferze niż w wyglądzie i szczegółach. Zwiedzanie delijskiej dzielnicy teatru nie jest bynajmniej przechadzką po cmentarzu. Wykładane kamieniem ulice zachowały ślady wozów i kroków. Na podłodze domu Kleopatry, Dionizosa czy Pod Delfinami – rozbłyskują nagle mozaiki. To umarłe miasto jest żywe. Ślady codzienności jak odcisk ręki odczytać można na ścianach świątyni i magazynów, pałaców i lupanarów.

Zdaję sobie sprawę, że to, co napisałem, nie odpowiada tytułowi. Z tematu pejzażu pióro zbyt często ześlizgiwało się w sferę legendy i historii. Nie potrafię nawet dla siebie wytłumaczyć

tego związku, jaki istnieje między krajobrazem Grecji a jej sztuką i wierzeniami. Tylko mocna intuicja mówi, że grecka świątynia, rzeźba i mit wyrastają organicznie z ziemi, morza i gór.

Pokusa opisywania i porażki opisywactwa. Nie udało mi się nawet wyrazić kształtu i koloru oliwki. A przecież znam dokładnie przynajmniej jedną tuż koło muru ogradzającego pałac Minosa w Knossos. Policzyłem wzrokiem wszystkie jej liście i noszę w sobie dokładnie jej kontur. Ale trzeba być Dürerem, żeby z tego doświadczenia zrobić przedmiot.

Opisać jeden stok góry: u spodu srebrna poszarpana zieleń krzewów. Trzy białe domy. Winnica przypominająca wydłużone, niskie altany. Z wierzchu zieleń przyprószone z dodatkiem błękitu, ale między szpalerami winorośli jest zimny, szafirowy chłód. Mały prostokąt bardzo dźwięcznego brązu, jaki mają jesienią liście grabu. Wreszcie wyżej łuszczący się kamień i rzadkie trawy.

Chciałem opisać.

Duszyczka

Zdzisławowi Najderowi

Nie widzę, żeby Freud gdziekolwiek wznosił się ponad własną psychologię, i nie wiem, w jaki sposób chce on uwolnić chorych od tego cierpienia, które dręczy jego samego jako lekarza.

Carl Gustav Jung

Nie pamiętam już dokładnie, jaki to przypadek sprawił, że natrafiłem na ten tekst. Było to według wszelkiego prawdopodobieństwa w okresie, kiedy pisałem szkic o Akropolu, a ponieważ praca szła opornie, więc jak zwykle w takich razach uciekałem w lekturę, czytałem rozprawki, przyczynki, artykuły rozproszone w archeologicznych pismach fachowych i sporządzałem z nich notatki, z góry wątpiąc, czy przydadzą się na cokolwiek. Oszukiwałem sam siebie najoczywiściej. Chciałem się jakby usprawiedliwić, że nie próżnuję przecież, że nie popadam w prostrację duchową, więc wykonywałem pracę zastępczą, jałową i nudną w nadziei, że z tej jałowości i nudy wybłyśnie nagle czysty promień inspiracji. A tymczasem każda szuflada katalogu działowego w odwiedzanych bibliotekach ziała setką tytułów w różnych językach i zdawała się mówić: „Po co się trudzisz, wszystko zostało już napisane, nie ma w tej dziedzinie nic do dodania. Jedyna rola, jaka może ci przyspaść w udziale, to rola kompilatora”.

I właśnie w tym czasie niepokoju i rozterki wpadł mi w ręce list Zygmunta Freuda do Romain Rollanda, pisany z okazji jego 70. rocznicy urodzin i, jak wynika z charakteru owego listu, przeznaczony do księgi pamiątkowej, którą przyjaciele wydali na cześć wielkiego pisarza.

Pomijając epistolarną formę wstępu i zakończenia, można traktować ów fragment Freuda jako esej, tym ciekawszy, że twórca psychoanalizy stosuje tę metodę do samego siebie, ściśle mówiąc, do pewnego epizodu przeżyć własnych. Epizod ów odległy jest od piszącego o lat trzydzieści kilka i z pozoru najzupełniej banalny, pojawia się – jak to wyznaje – uporczywie w polu świadomości, i to bez wyraźnej racji czy przyczyny.

Otóż w roku 1904, jak co roku z końcem sierpnia lub na początku września, Freud wraz ze swoim młodszym bratem postanawiają spędzić wakacje nad Morzem Śródziemnym. Tym razem jednak ich urlop był krótszy, rezygnują więc z tradycyjnej podróży do Włoch, jadą natomiast do

Triestu, skąd mają zamiar udać się na wyspę Korfu, żeby tam spędzić kilka dni. Przypadkowo spotkany w Trieście znajomy żywo odradza im ten projekt. Na wyspach o tej porze roku jest bardzo gorąco – argumentuje – znacznie przyjemniejsza natomiast byłaby wycieczka do Aten. Połączenie statkiem jest szczególnie korzystne, bo pozostawia podróżnym trzy dni na zwiedzanie miasta.

Ta, zdawałoby się, rozsądna i ponętna propozycja wprawia obu braci – rzecz dziwna – w dość ponury humor. Błądzą po mieście niezbyt zdecydowani i bez entuzjazmu dyskutują projekt podróży do Aten, dostrzegając same tylko przeszkody. Ale kiedy nadchodzi godzina otwarcia biur Lloyda, zjawiają się przy okienku i kupują bilety, jakby zapominając na chwilę o niedawnych obiekcjach.

„Po południu w dzień naszego przybycia, gdy znalazłem się na Akropolu i kiedy objąłem spojrzeniem krajobraz, nagle przyszła mi ta dziwna myśl: «A więc to wszystko istnieje naprawdę, tak jak tego uczyliśmy się w szkole»³⁹. Jest to uwaga niezbyt oryginalna, ale wyrażająca trafnie odczucia wszystkich tych, którym dane było po raz pierwszy stanąć przed Koloseum, posągiem Wenus z Milo czy portretem Mony Lizy. I właśnie w głąb tego przeżycia czy odczucia Freud zapuszcza analityczną sondę, aby wykazać, że nie jest ono tak proste i pospolite, jak by się mogło wydawać.

Zdaniem twórcy psychoanalizy, zachodzi tu szczególny przypadek współistnienia w tej samej psychice dwu sprzecznych postaw i wynikających z nich dwu diametralnie różnych reakcji wobec rzeczywistości. Oczywiście nie jest to jakieś patologiczne rozdwojenie jaźni, ale w osobowości powstaje niepokojąca szczelina i zmacony zostaje prosty stosunek między percypującym podmiotem a przedmiotem. Przyjrzyjmy się bliżej temu zjawisku.

Charakterystyczną reakcją, wynikającą z pierwszej postawy, jest zdziwienie, że widziany Akropol istnieje naprawdę, jakby przedtem wąpiło się w jego realne istnienie; natomiast znamienne reakcją postawy drugiej jest „dziwienie się temu zdziwieniu”, bowiem rzeczywistość Akropolu nie była nigdy przedmiotem wąpliwości.

Aby zilustrować postawę pierwszą, Freud mówi, że z pewną przesadą można by ją porównać do reakcji człowieka, który przechadzając się w Szkocji nad jeziorem Loch Ness widzi nagle ciało słynnego potwora wyciągnięte na brzegu i jest wówczas zmuszony wyznać: ależ on istnieje naprawdę, ten potwór morski, w którego nigdy nie wierzyliśmy. Druga natomiast postawa, dodajmy od siebie, bliska realizmowi naiwnemu, akceptuje bez zastrzeżeń świadectwo zmysłów, cała otwarta na nie zmacony żadną refleksją zachwyty czy przerażenie.

Najbardziej naturalną interpretacją tych dwu „konkurencyjnych” odczuć byłoby

³⁹ List Freuda – Sigmund Freud, *Un trouble de mémoire sur l'Acropole. (Lettre à Romain Rolland)* [z datą: Janvier 1936, tłum.: M. Robert; zszywka]. W papierach Autora.

stwierdzenie, że jest zasadnicza różnica między tym, co przeżywamy bezpośrednio, a tym, co znamy z lektury czy ze słyszenia i że to właśnie nakładanie się wiedzy i widzenia powoduje ową sprzeczność odczuć i zamącenie poczucia rzeczywistości. Ale Freud odrzuca taką wykładnię jako zbyt banalną i nie tłumaczącą niczego.

Stara się wytropić, dlaczego w Trieście odpychał tak przecież pociągającą perspektywę wyjazdu do Aten i dlaczego na Akropolu jego radość płynąca z bezpośredniego obcowania z arcydziełem architektury była przesłonięta głębokim cieniem sceptycyzmu. „Zgodnie ze świadectwem moich zmysłów jestem teraz na Akropolu, tylko nie mogę w to uwierzyć” lub to samo odczucie, wyrażone w sposób bardziej kategoryczny: „To, co teraz widzę, nie jest rzeczywiste”.

Sceptycyzm – oto właściwe słowo. Nie tylko słowo – ale zdaniem Freuda – coś znacznie więcej, bo zakorzeniony głęboko w człowieku mechanizm psychiczny. Działanie owego mechanizmu psychicznego znamy dobrze z potocznego doświadczenia. Ilekroć spotyka nas nieszczęście, odpychamy je okrzykiem „nie, to niemożliwe”, staramy się jakby zlikwidować tę część rzeczywistości, odrzucić ją poza zakres naszej świadomości. I autor podaje ładny przykład literacki – fragment poematu *Ay de mi Alhama*⁴⁰, w którym wyraża się jasno ta reakcja obronna. Król Boabdil otrzymuje wiadomość o upadku Alhamy. Wie dobrze, że oznacza to koniec jego panowania. Ale ponieważ nie chce tego wiedzieć, traktuje hiobową wieść tak, jakby nie dotarła do niego, jakby odrzucenie jej mogło zmienić bieg wypadków.

*Cartas le fueron venidas,
de que Alhama era ganada
Las cartas echó en el fuego
y al mensagero mataba*⁴¹.

Można łatwo zrozumieć zachowanie i nastrój króla. Próbuje on po prostu przewyciężyć swoją bezsilność, poczuć, że jego władza jest tak jak dawniej nieograniczona, więc list o klęsce rzuca w ogień i rozkazuje zabić posłańców. Nie mogąc zmienić losu, niszczy narzędzia informacji.

Ta reakcja defensywna jest nietrudna do wytłumaczenia i można przytoczyć szereg przykładów mniej skrajnych, wyszukanych czy literackich, a bardziej bliskich powszechnemu doświadczeniu. Uwagę Freuda pociąga druga strona działania tego samego, jak twierdzi, mechanizmu psychicznego, strona ciemna, illogiczna, sprzeczna z instynktem

⁴⁰ „Ay de mi Alhama” – Och, biedna Halamo.

⁴¹ Wieść mu dostarczono, / że Alhamę zdobyto / List do ognia wrzucono, / a posłańca zabito. (Hiszp.)

samozachowawczym. I stara się wykazać, że człowiek reaguje podobnie jak w przypadku nieszczęścia – to znaczy odrzucając rzeczywistość – gdy spotyka go nagle szczęście, wielka nagroda, wygrany los, ręka skrycie kochanej dziewczyny. Tę reakcję dobrze wyraża potoczny zwrot, istniejący we wszystkich niemal językach europejskich: „zbyt dobre, aby było prawdziwe”. Podczas gdy obrona przeciw złemu przeznaczeniu jest czymś oczywistym, dlaczego – pyta Freud – reagujemy odruchem sceptycyzmu i niewiary na coś, co niesie z sobą radość i jest uśmiechem losu. Tę paradoksalną sytuację nazywa „przegraną z powodu sukcesu” i mówi, że ludzie popadają w choroby nie tylko w wyniku niespełnienia swych pragnień życiowych, ale również wtedy, gdy bardzo intensywne pragnienia znajdują zaspokojenie.

Autopsyoanaliza nie byłaby pełna, gdyby stary, osiemdziesięcioletni w czasie pisania tego listu-eseju Zygmunta Freuda nie wrócił pamięcią do czasów swego dzieciństwa i młodości. Wspomina wtedy ubóstwo rodzinnego domu, atmosferę duszną i pełną zakazów, młodość o ograniczonych możliwościach i horyzontach.

Nie, nigdy nie wątpił w istnienie Akropolu, ale nie miał żadnej nadziei, że kiedykolwiek zobaczy go na własne oczy. I oto w dzień, gdy stało się to, miał ochotę powiedzieć do brata: „Czy pamiętasz nasze młode lata? Codziennie chodziliśmy tą samą drogą do gimnazjum, w niedzielę zaś do Prateru lub jechaliśmy do dobrze nam znanego zakątka gdzieś w okolicy miasta. A teraz oto jesteśmy w Atenach na szczycie Akropolu! Jak długą przebyliśmy drogę!”. „I jeśli można porównywać rzeczy małe z wielkimi – pisze dalej – czyż Napoleon I w dniu koronacji w Notre Dame nie zwrócił się do brata, mówiąc: «Co powiedziałby nasz ojciec, gdyby teraz mógł być tutaj?»”.

Jest to wyraz radosnej dumy, ale trwa ona zaledwie moment i prawie natychmiast zostaje zmałowana przez świadomość przekroczenia tabu, zerwania zakazanego owocu, głębokie poczucie winy. Poczucie winy? Tak, odpowiada Freud.

Wobec kogo? Ojciec Freuda był mało zamożnym kupcem, niezbyt wykształconym, i Akropol niewiele dla niego znaczył. Natomiast synowie przerosli go. Tak bardzo wywyższyli się nad jego pospolitą egzystencję, „zdetronizowali” go i w tym właśnie zamachu na ojcowski ideał należy doszukiwać się owego poczucia winy, które odbiera radość, jaka powinna być udziałem obcujących z arcydziełem sztuki.

Nasuują się tutaj słowa wielkiego krytyka Freuda: „Czyż kompleks ojca bez reszty przenikający poglądy szkoły freudowskiej dowodzi, że dokonała ona jakiegokolwiek godnego uwagi uwolnienia człowieka od fatalizmu «romansu rodzinnego»? Ten kompleks z całą jego fanatyczną sztywnością i przesadną drażliwością jest źle pojętą funkcją religijną...”.

W tym liście-rozprawce pisanym pod koniec życia bardziej chyba niż w innych pismach manifestuje się głęboki pesymizm autora. Nie jest to tylko pesymizm poznawczy, ale dotyczący samej natury człowieka, jego zasadniczej niezdolności do osiągnięcia szczęścia.

Starałem się możliwie wiernie streścić tok myśli twórcy psychologii głębi, zawarty w jego małej epistolarnej próbie wyjaśnienia pewnego szczególnego zjawiska psychicznego. A ponieważ próba ta jest świetnie i sugestywnie napisana, zacząłem się zastanawiać, czy nigdy nie przytrafiło mi się coś podobnego. Tak jak czytając podręczniki psychiatrii, odnajdujemy w sobie przez empatię różne opisane tam choroby.

Naprzód zadawałem sobie pytanie, jak to jest z tym moim poczuciem winy w obliczu arcydzieł. Odpowiedź nie jest łatwa; przyznanie się budzi potwory subiektywizmu, każe myśleć o dzieciństwie, życiowych niepowodzeniach czy drogich nieobecnych, naszych bliskich zmarłych, którym nie dane było dzielić z nami radości płynącej z przeżywania rzeczy pięknych.

No więc tak: stojąc na Akropolu przywoływałem dusze moich poległych kolegów, użalałem się nad ich losem, już nawet nie nad śmiercią okrutną, ale współczułem, że odebrana im została niewyczerpana wspaniałość świata. Sypałem ziarna maku na zapomniane groby.

Jeśli jednak nie popadłem w opisany przez Freuda sceptycyzm, zmańcenie wiary w realne istnienie tego, co widziałem, działo się to z paru istotnych powodów. Skoro zostałem wybrany – myślałem – i to bez szczególnych zasług, wybrany w grze ślepego losu, to muszę temu wyborowi nadać sens, odebrać mu jego przypadkowość i dowolność. Co to znaczy? To znaczy sprostać wyborowi i uczynić go wyborem moim. Wyobrazić sobie, że jestem delegatem czy posłem tych wszystkich, którym się nie udało. I jak przystało na delegata czy posła, zapomnieć o sobie, wysilić całą swoją wrażliwość i zdolność rozumienia, aby Akropol, katedry, Mona Liza powtórzyły się we mnie, na miarę oczywiście mego ograniczonego umysłu i serca. I żebym to, co z nich pojąłem, potrafił przekazać innym.

Fakt, że wobec arcydzieł czułem się zawsze niepewnie, uważałem za rzecz naturalną. Jest dobrym prawem arcydzieł, że burzą naszą zarozumiałą pewnością i że kwestionują naszą ważność. Zabierały one część mojej rzeczywistości, nakazywały milczenie, zaprzestanie mysiej krzątaniny wokół spraw nieważnych i głupich. Nie pozwalały także, „ażebym – jak mówi św. Tomasz More – kłopotał się zbyt wiele wokół tego panoszącego się czegoś, które nazywa się «ja»„. Jeśli godzi się nazywać to wszystko transakcją, była to transakcja najkorzystniejsza z możliwych. Za pokorę i uciszenie dawały mi w zamian „miód i światło”, jakiego sam w sobie nie potrafiłbym stworzyć.

Jednym z grzechów śmiertelnych kultury współczesnej jest to, że małodusznie unika ona frontalnej konfrontacji z wartościami najwyższymi. A także aroganckie przeświadczenie, że możemy obyć się bez wzorów (zarówno estetycznych, jak i moralnych), bo rzekomo nasza sytuacja w świecie jest wyjątkowa i nieporównywalna z niczym. Dlatego właśnie odrzucamy pomoc tradycji, brniemy w naszą samotność, grzebiemy w ciemnych zakamarkach opuszczonej duszyczki.

Istnieje błędny pogląd, że tradycja jest czymś podobnym do masy spadkowej i że dziedziczy

się ją mechanicznie, bez wysiłku, dlatego ci, którzy są przeciw dziedziczeniu i niezasłużonym przywilejom, występują przeciw tradycji. A tymczasem w istocie każdy kontakt z przeszłością wymaga wysiłku, pracy, jest przy tym trudny i niewdzięczny, bo nasze małe „ja” skrzeczy i broni się przed nim.

Pragnąłem zawsze, żeby nie opuszczała mnie wiara, iż wielkie dzieła ducha są bardziej obiektywne od nas. I one będą nas sądzić. Ktoś słusznie powiedział, że to nie tylko my czytamy Homera, oglądamy freski Giotto, słuchamy Mozarta, ale Homer, Giotto i Mozart przypatrują się, przysłuchują nam i stwierdzają naszą próżność i głupotę. Biedni utopiści, debiutanci w historii, podpalacze muzeów, likwidatorzy przeszłości podobni są do owych szaleńców, którzy niszczą dzieła sztuki, ponieważ nie mogą wybaczyć ich spokoju, godności i chłodnego promieniowania.

Akropol

Nie ma na świecie budowli, która tak trwale okupowała moją wyobraźnię. Zdjęcia, rysunki, opisy stanowiły pokarm wodnisty, pozbawiony zapachu, koloru i tła. Znałem nieźle topografię, wymiary i kontur głównych świątyń, ale cały ich zespół położony był nieodmiennie na płaszczyźnie, miał barwę gipsu, nie oddychał światłem, a niebo nad nim było z papieru.

Nie potrafiłem wymyślić żadnego krzewu i przyczepić go do góry, która – tego się obawiałem najbardziej – okaże się nędznym pagórkiem, ani załomu skały, ani nawet cienia, który rzucają kolumny. Wszystko było z rozcieńczonego mleka i tak bardzo linearnie poprawne, że oko i ukryta w oku cząstka dotyku spływały po tym obrazie bez masy i chropowatości, jak po szkle.

Kiedy jechałem tam, rósł we mnie strach, że konfrontacja zniszczy to, co przez wiele lat budowały cierpliwe domysły. I czy będę miał odwagę przyznać się (choćby przed samym sobą), jeśli święte wzgórze i ocalałe na nim resztki świątyń nie przemówią do mnie, jeśli okażą się jedną z wielu, a nie jedyną czy przynajmniej wyjątkową ruiną, pośród wielu rozsianych po świecie ruin? Czy wezmę udział w trwającym od wieków sprzysiężeniu zachwytu, które polega – wiemy to dobrze – nie tyle na wciąż odnawiającym się wzruszeniu, ile na sile wmówienia, na repetycji wiary.

Statek przybija do portu w Pireusie. Pierwsze rozczarowanie: nie widać Aten. Budynki portowe zasłaniają miasto położone kilka kilometrów w głębi lądu. A przecież – zdawałoby się – to właśnie od strony morza powinien przyjść pierwszy widok. Obawiałem się, że sztuczki fotografów wynoszą Akropol jak okręt na wysokiej fali.

Do miasta jedzie się autobusem. Usiadłem po prawej stronie. Rząd domów, magazynów, niechlujnych składów i sklepów przykrytych białym pyłem. I nagle nad wąską uliczką, zupełnie niespodziewanie, wysoko w górze – on!

Dostrzec można jeszcze na skale Akropolu trójzębem uczynioną rysę; mówią, że zrobił to Posejdon, gdy spierał się z Ateną o władzę nad krajem.

Pauzaniasz⁴²

W czasie drugiej wojny medyjskiej Persowie wdarli się na Akropol. Nieliczni obrońcy, którzy nie opuścili miasta, zostali wymordowani, świątynie spalone i obrócone w gruzy. Tym razem sprawdziły się słowa wyroczni delfickiej. Kiedy w roku 479 przed Chr., po zwycięstwie pod Salaminą i Platejami, Ateńczycy wrócili do swojej stolicy, Akropol był – jak ktoś trafnie powiedział – pustym cokołem.

Wielkie budowle Persów czy piramidy – cokolwiek powiedzielibyśmy o ich pięknie – są dla nas dziełami anonimowymi. Akropol, ten, który pozostał, związany jest z imieniem Peryklesa.

Postać ta rozrosła się w naszej świadomości. Jego polityczna działalność trwała trzydzieści dwa lata, a mimo to całe piąte stulecie nazywamy wiekiem Peryklesa.

Zachowało się o nim wiele świadectw i wiele ocen sprzecznych. Z autorów starożytnych Tucydides i Plutarch są zdecydowanie „za” Peryklosem; Arystoteles i Platon „przeciwko” niemu. Platon nie waha się nazwać go w *Gorgiaszu* złym politykiem. Pełny jego portret wymyka się piórom naukowców i powieściopisarzy. Jeden z najlepszych znawców polityki greckiej owych czasów, G. d’Aspermont Lynden, porównuje go do wielkich angielskich wigów. Rzeczywiście, ten śródziemnomorski mąż stanu przypomina raczej brytyjskich gentlemanów, opanowanych, łagodnych z pozoru, a przecież realizujących swoje plany z żelazną konsekwencją.

Samotny raczej, to znaczy otoczony wąskim gronem tych samych przyjaciół, do których należał Fidiasz, nie tylko genialny rzeźbiarz, ale ktoś w rodzaju Malraux przy boku Peryklesa.

Wiele jego cech osobistych pozostawało w sprzeczności z klasycznym portretem przywódcy i chyba nie budził odruchowej sympatii. Nie brał udziału w zabawach publicznych; nie śmiał się nigdy. „*Il n’allait jamais dîner en ville*”⁴³ – mówi o nim za autorem starożytnym jeden z biografów, co w ustach Francuza oznacza wyrzeczenie się jednego z największych uroków życia. Ten bogaty, głęboko wykształcony arystokrata stał się przywódcą demokracji, wbrew tradycjom rodzinnym, z głębokiego patriotyzmu. Do ludu nie miał zaufania (w czasie młodości czuł wręcz odrazę); obserwował bacznie nastroje swego miasta i rzucał swój autorytet na szalę, w momentach decydujących, siłą niezrównanej wymowy i zdolności przekonywania. Perykles

⁴² *Wędrowki po Helladzie*, ks. I.

⁴³ Nigdy nie bywał na przyjęciach (fr.).

wiedział, że nie może stać się wielki bez Aten (wielki polityk małego państwa jest postacią z komedii) i chciał jak zazdrosny kochanek, aby Ateny zawdzięczały szczęście i sławę tylko jemu.

Jego charakter, jego życie prywatne były ponad miarę przeciętności; a wiadomo, że przywódca partii ludowej powinien być lub przynajmniej powinien stylizować się na „jednego z wielu”. Perykles popełnił co najmniej dwa kardynalne błędy, które oddzieliły go od „człowieka z ulicy”. Otaczał się artystami, a co gorsza filozofami, jak Anaksagoras, który odbierał gwiazdy bogom i nazywał je świecącymi ciałami, czy Protagoras z Abdery, analityk mowy, który nauczał, jak „z sądów słabszych robić sądy mocniejsze”. Przeciężni Ateńczycy woleli chyba, aby ich przywódca był rubasznym demagogiem niż intelektualistą i czuli, jak się zdaje, instynktowną obawę przed dialektyczną trójcą: język (retoryka) – rzeczywistość – władza.

Zaciekłość, z jaką lud tępił, przy nadarzającej się okazji, przyjaciół Peryklesa, wskazuje, że nie był on popularny. W roku 433 przed Chr. Anaksagoras został wypędzony z Aten, w szesnaście lat później los ten spotkał Protagorasa, a jego traktat o bogach został publicznie spalony.

Aspazja. Wiadomo, że ta kobieta była wielką i dozgonną miłością Peryklesa. Rozwiódł się dla niej z bogatą obywatelką ateńską, z którą miał dwóch synów. Otóż dla Ateńczyków sam fakt rozwodu był sprawą normalną: uznawało go zarówno prawo, jak i obyczaj. Skandalizowało natomiast opinię publiczną to, że Perykles uparcie dążył do zalegalizowania związku. Aspazja pochodziła z Miletu. Prawo ateńskie niezmiernie rzadko uznawało małżeństwa mieszane. Na domiar złego Aspazja była zbyt inteligentna, zbyt na równi stojąca z mężczyznami i poeci komiczni – głos ludu – przedstawiali ją jako prostytutkę lub właścicielkę domu publicznego. Perykles nie reagował na te obelgi, ale kiedy Aspazji wytoczono proces o bezbożność, sześćdziesięcioletni przywódca błagał sędziów, aby nie skazywali jej na wygnanie.

Wreszcie Fidiasz. O tym procesie czy serii procesów wiemy niewiele. Podstawą oskarżenia był tu także ów wygodny, bo niejasny, zarzut bezbożności. Oskarżono rzeźbiarza, że na tarczy Ateny, przedstawiającej walkę z Amazonkami, wyrzeźbił siebie i Peryklesa. Oskarżycielem był niejaki Menon – cudzoziemiec i współpracownik Fidiasza. Zapewne poza plecami tego osobnika krył się któryś z możliwych przeciwników Peryklesa. Tłum powtarzał także plotkę o sprzeniewierzeniu przez rzeźbiarza złota przeznaczonego na pomnik Ateny. Fidiasz został skazany na banicję.

Plutarch przekazuje jeden z najbardziej wzruszających i ludzkich portretów Peryklesa. Siedzi zatroskany na stokach Akropolu, trzymając w ręku swą niezbyt piękną, dużą, cebulastą głowę. Historia przekazała sporo imion wielkich marzycieli, ale spośród ich grona Perykles jest jednym z najbardziej ścisłych i konkretnych.

Zarzucono mu, że to gigantyczne przedsięwzięcie, jakim była odbudowa Akropolu, pochłoneło znaczną część skarbu związkowego miast greckich (przeniesionego w połowie

piątego wieku z Delos do Aten), który był przeznaczony na cele obronne, a nie na ozdabianie miasta. Wiele argumentów przytoczyć można na obronę Peryklesa.

Budowa głównej świątyni Partenonu rozpoczęła się dwadzieścia dwa lata po zakończeniu drugiej wojny perskiej i w czternastym roku pryncypatu Peryklesa. Lata te poświęcono na odbudowę miasta. Przeciwnie niż u Rzymian, domy Greków i ich architektura publiczna były nad wyraz skromne. Duma rozpierająca piersi Ateńczyków po zwycięstwie nad potęgą azjatycką, rola Aten, faktycznej stolicy Grecji czy, jak się łagodnie wyrażano, „szkoły Hellady” – domagała się dzieła na miarę ich ambicji.

Przez długi czas sądzono, że koszt budowy Partenonu przekraczał sumę dwu tysięcy talentów. Archeolog Robert Spencer Stanier, opierając się na zachowanych inskrypcjach, doszedł do przekonania, że największa świątynia Akropolu kosztowała 469 talentów, a zatem mniej więcej tyle, ile wynosił roczny trybut składany Atenom przez bez mała dwieście miast związkowych.

Mury, kolumny, posadzka pochłonęły lwią część wydatków, bo 365 talentów. Plafon, dach i bramy kosztowały talentów 65. Natomiast – rzecz charakterystyczna – suma wydana na fryz, rzeźby frontonu i metopy⁴⁴, a więc prace, które oceniamy dzisiaj wysoko i zaliczamy do sfery twórczości artystycznej, zamykają się niewielką stosunkowo sumą 39 talentów⁴⁵.

Należy tutaj dodać, że cała owa kalkulacja dotyczy samej tylko budowli. Wiadomo, że wewnątrz świątyni znajdował się posąg Ateny – dzieło Fidiasza. Nieoceniony Pauzaniusz – cierpliwy inwentaryzator tyłu zaginionych zabytków starożytności – przekazał nam następujący opis: „Statua przedstawia stojącą Atene, która ma na sobie tunikę spływającą do stóp; na jej piersi wyrzeźbiona jest głowa Meduzy z kości słoniowej. Atena trzyma w ręku boginię zwycięstwa, wysoką na cztery łokcie, a w drugiej ręce włócznię. U stóp jej znajduje się tarcza, a w miejscu, gdzie włócznia opiera się na ziemi – wąż. Ów wąż wyobraża bez wątpienia Erichtoniosa. Cokół pokryty płaskorzeźbą przedstawiającą narodziny Pandory, pierwszej kobiety, która pojawiła się na ziemi, jak mówi Hezjod i inni poeci”⁴⁶.

Posąg zaginął, a wszystkie hipotetyczne rekonstrukcje, choćby ta najbardziej znana

⁴⁴ metopa – zwykle dekorowana, kwadratowa lub prostokątna płyta, stanowiąca element fryzu doryckiego.

⁴⁵ Wieczne kłopoty z przeliczaniem waluty odległych historycznie okresów. Drachmy i talenty brzmią dla nas abstrakcyjnie. Jak wiadomo, 100 drachm stanowiło jedną minę, a 60 min – jeden talent. Drachma ateńska ważyła nieco ponad 4 gramy, a jej wartość ocenia się na 1/5 dolara USA. Niewolnik kosztował 150-300 drachm i przynosił przeciętnie roczny dochód 60 drachm (wynajmowano go po obolu dziennie). Nie wiem jednak, czy te obliczenia rzucają światło na siłę nabywczą pieniędzy ateńskich.

⁴⁶ *Wędrowniki po Helladzie*, ks. I.

austriackiego uczonego Kamila Praschnikera, wprowadzają nas w rodzaj estetycznego zażenowania; dwunastometrowy kolos, podtrzymywany przez wewnętrzną konstrukcję drewnianą, partie ciała z kości słoniowej, draperia ze złotych płyt, oczy z emalii, źrenice z czarnego kamienia. Na szczęście pomnik okrywały cienie mrocznego *naos*⁴⁷. I w dodatku ów monstrialny klejnot kosztował, jak się przypuszcza, cztery razy więcej niż otaczająca go budowla.

Ateny przeżywały okres niebywałego rozwoju gospodarczego. Intensywnie eksploatowane kopalnie w Laurionie dawały nie tylko cenny kruszec – srebro, ale pozwalały wybijać najmocniejszą i powszechnie poszukiwaną monetę, która wkrótce stała się międzynarodową. Stolica mało żyznej, jałowej Attyki liczyła w czasach Pizystratydów około dwudziestu tysięcy mieszkańców, w okresie zaś Peryklesa dwieście pięćdziesiąt tysięcy (łącznie z metekami i niewolnikami), co dawało niezwykle jak na owe czasy zagęszczenie ludności (ponad 100 mieszkańców na 1 km²). Przedsięwzięcie wielkich robót publicznych było nie tylko spłacaniem długu bogom za pomoc w walce z Persami, ale także koniecznością ekonomiczną.

Najłatwiej wyobrazić sobie, że Akropol był dziełem wielkiego przedsiębiorstwa państwowego, zatrudniającego tysiące niewolników, że projekty wykonywali oczywiście genialni architekci ateńscy: Iktinos, Kallikrates, Mnesikles, a wolni obywatele mieli nadzór nad pracami i do nich należała część wystroju rzeźbiarskiego świątyni. W istocie jednak Akropol jest „pracą zbiorową” – rzecz wydaje się nam dzisiaj niepojęta – setek małych warsztatów rzemieślniczych. Każda część budowli wykonywana była w pracowniach u stóp świętego wzgórza, a potem wędrowała na Akropol na grzbiecie mula. Szczegół niezmiernie ważny i korzystny: kamieniołomy, z których wydobywano marmur, znajdowały się o niecały dzień drogi od Aten.

Udział w budowie był proporcjonalny do zamożności obywateli. Ateńczyk posiadający jednego niewolnika był zobowiązany do przywiezienia dziesięciu wózków marmuru; ten, który zatrudniał dwóch wolnych rzemieślników i trzech niewolników, zawierał kontrakt na wzniesienie kolumny. Praca nad jedną kolumną pochłaniała 50-110 dni.

Krąg zatrudnionych nie ograniczał się, rzecz jasna, do kamieniarzy i rzeźbiarzy, ale obejmował także cieśli, powoźników, złotników i malarzy.

Ile zarabiali? Znane są nam rachunki z czasów konstrukcji Erechtejonu (początek prac lata 409-408 przed Chr.). Otóż robotnicy, rzemieślnicy, architekci zarabiali drachmę, co stanowiło minimum utrzymania rodziny (za 55 litrów zboża płacono wówczas w Atenach 2 drachmy; wół kosztował 50-100 drachm). Uderzającą rzeczą jest niezróżnicowanie płac. Zwykły kamieniarz otrzymywał swoją zapłatę w formie dniówki, architekt zaś – co parę tygodni. Frapujący jest także fakt niewielkiej stosunkowo różnicy między zarobkami trujących się ciężko i wysoko

⁴⁷ *naos* – (gr.); główna część świątyni greckiej.

wykwalifikowanych pracowników a „dietami” przeróżnych urzędników, sędziów, pisarzy magistratury. Znakomici rzemieślnicy ateńscy nie otrzymywali odpowiedniej do ich zdolności rekompensaty w zarobkach, żadnej premii za talent⁴⁸.

Elementy ukryte dla oka były wykonane z taką samą starannością jak partie zewnętrzne. Kolumny sprawiały wrażenie wykutych z jednego bloku. Ten efekt został osiągnięty dzięki bardzo precyzyjnemu cięciu poszczególnych bębnow kamiennych, które niemal idealnie przylegały do siebie. Niedokładności w styku usunięto, ścierając przylegające powierzchnie piaskiem i wodą. W środku kolumny znajdowały się kwadratowe otwory. Wbijano w nie czopy z drzewa oliwnego. Nie używano zatem ani zaprawy murarskiej, ani elementów metalowych.

Zachowane świadectwa zgodnie potwierdzają, że prace, nad którymi nadzór miał Fidiasz, wykonywane były w atmosferze radości i entuzjazmu. Nic innego nie może wytłumaczyć doskonałości konstrukcji ani szybkości, z jaką rosły świątynie. Partenon, rozpoczęty w roku 477 przed Chr., skończony został w zasadzie w ciągu dziewięciu lat, choć prace nad fryzami trwały jeszcze lat sześć. Propyleje, których ostateczne skończenie przerwała wojna peloponeska, wzniesiono w rekordowym tempie pięciu lat.

Podania mówią, że sama bogini Atena czuwała bezpośrednio nad pracami. Kiedy jeden z najlepszych rzemieślników spada z rusztowania i jest śmiertelnie ranny, Atena zjawia się we śnie Peryklesowi i poleca cudowny środek, który ratuje życie wykonawcy dzieła. Opowieść ta wydaje się żywcem wyjęta z kronik budowniczych katedr gotyckich.

Góra, na której stoją świątynie Akropolu, jest piękna; z trzech stron gwałtownie spadające, prawie prostopadłe stoki o kolorze sinoszarym. Tylko od strony morza stok jest łagodniejszy, ale zawsze pielgrzymka na święte wzgórze miała charakter dość uciążliwego wspinania się. Skała Akropolu ma wysokość 50 metrów. Płaski szczyt góry ma kształt zbliżony do trójkąta o podstawie 150 metrów i długości 300 metrów. Już w tych liczbach odkryć można naturalny moduł i zasadę proporcji, jakby ziemia sama podawała pierwszy takt rytmom architektury.

Na Akropol wchodzi się dziś przez bramę nazwaną Bramą Beulégo. Patetyczny napis w języku greckim głosi, że to Francja odkryła ową bramę, a także mury, wieże i stopnie. Data: 1856 rok.

⁴⁸ Warto dodać, że majątki osobiste Ateńczyków były nad wyraz skromne; bez porównania mniejsze od fortun rzymskich. Wyjątek stanowiło paru „krezusów” ateńskich, zajmujących się eksploatacją kopalni w Laurionie, którzy posiadali majątki wynoszące po kilkaset talentów. Diogenes Laertios przytacza w swoich *Żywotach filozofów* testament Platona, zamożnego jak wiemy arystokraty, który oprócz dwu niewielkich posiadłości ziemskich (parcel?) pozostawił spadkobiercom czterech niewolników oraz niewiele ponad 8 min w tzw. gotówce, przedmiotach ze srebra i „kapitale”, jak się zdaje, pożyczonym na procent.

To, co francuski archeolog nazwał głównym wejściem i sądził, że pochodzi z epoki klasycznej, nie było niczym innym jak miejscem między dwoma pylonami, które wzniesione zostały w epoce późnego cesarstwa bez żadnych śladów konstrukcji greckiej. Zbudowano je zapewne w czasie, kiedy Akropol musiał bronić się przed barbarzyńcami z północy.

Zdawałoby się, że nie ma rzeczy lepiej zbadanej w archeologii niż topografia Akropolu. Taką sugestię narzucają przewodniki, które *grosso modo*⁴⁹ podają rozmieszczenie głównych budynków w epoce Peryklesa. Nie należy jednak zapominać, że święte wzgórze zamieszkane było od czasów neolitycznych. Znajdują się tu ślady pałacu z epoki mykeńskiej i szczątki cyklopowych murów, podobnych do tych, jakie widzimy w Argos i Mykenach. Wznosiły się tu zapewne świątynie drewniane, później świątynie z kamienia budowane przez tyranów. Grzebano tu pierwszych legendarnych królów ateńskich. Szukano schronienia przed najezdami wrogów. Ten podwójny charakter, twierdzy i miejsca kultu, miał Akropol w ciągu tysiącleci swej burzliwej historii.

Dawna droga, jaką przebywały procesje, aby wejść na święte wzgórze, została zastąpiona dla wygody turystów przez wijące się zakosami ścieżki wśród drzew. W miarę zbliżania się do celu znikają budowle znajdujące się na wzgórzu. Pierwszy ginie Erechtejon, przesłonięty masywną ścianą Pinakoteki, potem Partenon. Potężne trzony kolumn, spiętrzenie bastionów, natarcie prostopadłych mas kamiennych zatrzymują spojrzenie. Czym były Propyleje, z których tak dumni byli Ateńczycy? Nie miały znaczenia obronnego, to pewne. Wyrażały złudną nadzieję ludzi wieku Peryklesa, że Akropol nie będzie już nigdy twierdzą, ostatecznym schronieniem. Ktokolwiek wkraczał z ostrego światła w cień przykrytej nie istniejącym dziś dachem kolumnady, musiał doznać uczucia podziwu i respektu wobec potęgi miasta, które wydzwignęło tę budowlę.

Jeśli wolno spekulować na temat estetycznej funkcji Propylejów, to wydaje się, że były one kamienną kurtyną, powstrzymaniem widzenia. Za nią czekało spotkanie twarzą w twarz z Partenonem. Było to jak wciągnięcie powietrza w płuca przed okrzykiem zachwyty. Po przejściu Propylejów – Partenon zjawia się bardziej nieoczekiwanie, większy, potężniejszy niż gdyby rósł w oczach wolno, krok za krokiem naszej wędrówki.

Nie należy jednak zapominać, że – pomijając stan zabytku – widzimy dziś Akropol zupełnie inaczej niż starożytni. Ateńczyk V wieku przed Chr. po przekroczeniu Propylejów dostrzegał zaledwie górną część Partenonu, którego fasada zachodnia przesłonięta była murem okalającym nie istniejące już dziś sanktuarium Artemidy. Spojrzenie jego przyciągał zapewne najpierw dziewięciometrowy posąg Ateny Promachos, zaginione dziś dzieło Fidiasza. Po lewej stronie od posągu Ateny znajdowała się kwadryga z brązu, po prawej zaś trofea zdobyte na Persach w

⁴⁹ *grosso modo* – z grubsza, w przybliżeniu (łac.).

czasie drugiej wojny medyjskiej: dzioby okrętów, zbroje, hełmy i tarcze.

Starożytni turyści byli mniej wrażliwi na czyste wartości estetyczne architektury – linie kolumn, równowagę brył – natomiast pasjonowały ich owe kurioza (jak model konia trojańskiego), pomniki, *ex vota*, trofea, stele, relikwie, drzewa i kamienie o mitycznym pochodzeniu. Wskazują na to choćby drobiazgowo opisy tych nieważnych dla nas szczegółów sporządzone przez antycznych pisarzy – podróżników, takich jak Polemon z II w. przed Chr., który poświęca im aż cztery księgi swego dzieła. Bo też świątynie starożytne, i Akropol także, były nie tylko miejscem kultu, ale prawdziwym muzeum osobliwości i narodowych pamiątek.

Propyleje, ta rozrzutna, dumna, pałacowa, chciałoby się powiedzieć, teatralna dekoracja, kosztowała czterokrotnie więcej niż główna świątynia Akropolu. Budowlę zdołał ukończyć Mnesikles przed wojną peloponeską, ale oba skrzydła świadczą o gwałtownym wstrzymaniu prac.

Po stronie północnej Propylejów – Pinakoteka – puste dziś muzeum malarstwa greckiego, którego całkowita utrata skazuje nas na domysły i fantazje. Czy istotnie było ono tak bardzo naturalistyczne, że winogrona Apellesa przyciągały ptaki? I jak wyobrazić sobie malarstwo Pamfilosa, który malował pioruny i błyskawice i, jak pisze Pliniusz, „to, czego się nie da namalować”⁵⁰.

Na południowym skrzydle, na wysuniętym najdalej bastionie drobna, jońska świątynia Ateny Nike, niepokojąco lekka i krucha nad urwiskiem, z którego rzucił się nieszczęsny Egeusz.

Długo sądzono, że Partenon w czasach Peryklesa ukazywał się oczom, kiedy minęło się ostatnie kolumny Propylejów. Tymczasem należało zbliżyć się do jego fasady zachodniej, gdzie znajdował się trójkątny dziedziniec z małymi Propylejami, przez które dopiero ogarniało się całą masę budowli. Architekci greccy nie tylko wznosili świątynie, ale wykorzystując spadki terenu, tarasy i mury, organizowali „punkty widzenia” z równą konsekwencją i finezją, jak inne szczegóły architektoniczne.

Partenon jest na pewno jedną z najpiękniejszych świątyń doryckich. Wydaje się znacznie większy i potężniejszy, niż wskazują na to realne wymiary: długość – 69, szerokość – 31, wysokość 17 metrów. To wrażenie ogromu, jeśli nie chcemy zadowolić się uwagą estety: „świątynie greckie nie mają wymiarów, mają tylko proporcje”, wypływa także stąd, że budowla oderwana jest jakby od ziemi. Stoi na potężnym stylobacie⁵¹ o trzech stopniach nieidentycznej wysokości. Najwyższy jest stopień, na którym opierają się kolumny.

Jest to budowla zraniona, odarta z rzeźb, które stanowiły część istotną, nierozzerwalną architektury. Spojrzenie Greków biegło nieodmiennie ku pustym dziś szczytowym partiom

⁵⁰ *Historia naturalna*, ks. XXXV.

⁵¹ stylobat – górna część widocznych fundamentów, na której stały kolumny.

świątyni, na których Fidiasz wyrzeźbił spór o Attykę między Posejdonem a Ateną (fronton zachodni) i narodziny Ateny (fronton wschodni). Rzeźby były polichromowane złotem, malowane błękitem, czerwienią i brązem, i to wcale nie „dyskretnie”, jak chcą bladzi esteci. Nie dla nas tworzone były te kolorowe obrazy antycznego nieba, ale dla kupca z Delos, dla chłopca z Beocji, dla delegatów dalekich i biednych sprzymierzonych miast, aby ich olśnić. Atena, utożsamiona z miastem, była jak w hymnach homeryckich olśnieniem siły. Wielki Olimp drżał pod ciężarem potężnej bogini o oczach zielononiebieskich: „Wokoło ziemia wydawała rozdzierający krzyk, burzyło się morze i wzbierało ciemnymi bałwanami, potem gorzkie fale zatrzymywały się nagle”⁵².

Tematem metop była gigantomachia, zdobycie Troi, walka z Amazonkami i wreszcie bój Centaurów z Lapitami. Wybór tych legendarnych epizodów nie był bynajmniej przypadkowy i posiadał swój wyraźny ideologiczny sens. Stanowił jakby mitologiczny prolog wojen perskich, uwieńczonych zwycięstwem Europy nad Azją. Stary Testament legend greckich podaje tutaj rękę historii najbardziej twórcom współczesnej.

Zachowany częściowo tak zwany fryz wewnętrzny przedstawia procesję panatenajską⁵³. Jest to zbiorowy portret wolnych obywateli wolnego miasta, idących złożyć hołd swej niebieskiej protektorce. Ci, którzy w rzeczywistości stali na stopniach świątyni, zostali przeniesieni w sąsiedztwo bogów nie na kolanach, ale w defiladzie piękna, bez fałszywej skromności i bez wyzywającej dumy bogoburców. Jest rzeczą niepokojącą (niepokojącą dla tych, dla których świątynie greckie są przybytkiem racjonalizmu), że ów fryz był prawie niewidoczny, stale w cieniu rzucanym przez plafon perystylu.

Dziś tego wszystkiego nie ma. Nauczyliśmy się patrzeć na dzieła sztuki greckiej jak na fragmenty i ułamki. Wierzyliśmy zbyt łatwo, że swoją doskonałość i piękno zawdzięczają właśnie temu, że są fragmentami i ułomkami. Nie potrafimy, a nawet nie chcemy wyobrazić sobie Wenus z Milo ani także jakiegokolwiek świątyni greckiej takiej, jaką była ona naprawdę.

Czerpiemy osobliwą (nigdy chyba do końca nie zanalizowaną) satysfakcję estetyczną z tego,

⁵² Do *Ateny*, w. 9-13.

⁵³ Biedny Perykles, i to jego marzenie spełniło się tylko częściowo. Panatenaje nigdy nie stały się świętem ogólnohelleńskim. Grecy woleli od pysznych Aten ubogie apolityczne miasta z wiekową tradycją: Olimpię, Delfy. Świętem zaś prawdziwie popularnym nie były zbyt podniosłe, zbyt wyreżyserowane Panatenaje, ale ludowe, rubaszne, wulgarnie święto Wielkich i Małych Dionizji, przypominające swoim charakterem średniowieczne *Fête des fous* (fr. – święto głupców) – ów tolerowany przez Kościół obsceniczno-hermetyczny kiermasz, ze swoim przedrzeźnionym papieżem i wozem przedstawiającym tryumf Bacchusa, ciągnionym przez nagich Centaurów i Centauryce w towarzystwie Wielkiego Pana.

że kapitel kolumny nie podtrzymuje niczego, że marmurowy policzek bogini traci nagle swoją cielesną gładkość i staje się surowym chropowatym kamieniem. To stałe sąsiedztwo sztuki i natury, wyraźna granica między tym, co rzeźbiło dłuto artysty i dłuto przyrody, nie pobudza wyobraźni, aby dopowiedzieć całość, ale przeciwnie – ucisza ją.

Esteci XIX wieku (a i dzisiaj ten stosunek do dzieł antycznych jest niemal powszechny) byli jakby zadowoleni z tego, że budowle Greków dotarły do nas odarte z kolorów i rzeźb. Czas zredukował je do szkieletu, do kształtów rudymenatarnych. Wypełnia nas radość, bardziej intelektualna niż zmysłowa, wypływająca z analizy form. Upajamy się „korekturami optycznymi” Greków, które sprawiają, że ich najznakomitsze budowle wydają się, jakby wyszły spod dłuta jednego rzeźbiarza. Kolumny stojące na rogach są w istocie nieco grubsze, ponieważ były bardziej atakowane przez światło, które ma zdolność wysmuklania kształtów, a także bardziej zbliżone do swych sąsiadek, by nie wydawały się izolowane. Linie stylobatu i architrawy⁵⁴ nie są horyzontalne, lecz lekko zakrzywione. Dla wielkich budowniczych Partenonu, Iktinosa i Kallikratesa, owe „korektury optyczne” nie były chyba tylko sprawą estetyki, lecz realnym postulatem technicznym: zapewnić budowli zwartość i statykę.

Na północ od Partenonu, w pobliżu muru Temistoklesa, znajduje się Erechtejon, ukończony dopiero w roku 407 przed Chr. W czasach klasycznych, wbrew oczywistej chronologii, nosił nazwę starej świątyni. Herodot opowiada, że w czasie wojny medyjskiej, kiedy Persowie wdarli się na Akropol, ostatni jego obrońcy tu właśnie szukali schronienia, tu błagali o cudowną interwencję bogów⁵⁵. Epizod ten wskazuje, że było to najświętsze miejsce świętego wzgórza, być może siedlisko wyroczni w czasach przedklasycznych, a także pałac królów mykeńskich.

Mimo trwających już od dziesiątków lat prac wykopaliskowych i badań Erechtejon pozostał jednym z najtrudniejszych do rozpoznania sanktuariów greckich. Rozliczne kultury mieszają się i nawarstwiają na siebie. „Prawdziwy chaos świętego miejsca”, jak ktoś słusznie powiedział.

Erechtejon nie sprawia, jak Partenon, wrażenia jednolitej budowli, i w istocie były to dwie połączone świątynie: część wschodnia poświęcona była Atenie, część zachodnia Posejdonowi, którego tradycja utożsamiała czasem z Erechteuszem, jednym z pierwszych władców mitycznych Attyki. W zamyśle budowniczych była to więc świątynia pojednania, gdyż, jak wiadomo, oba bóstwa olimpijskie wiodły spór o ziemię ateńską.

Część północna Erechtejonu, zarówno pod względem planu, jak i znaczenia, jest najbardziej tajemnicza. Wiadomo, że ołtarz znajdował się z reguły przed sanktuarium greckim; tu natomiast znajdujemy wewnątrz aż trzy ołtarze. Była to także świątynia-mauzoleum albo, lepiej, świątynia-grobowiec, gdzie otoczone czią, pod portykiem kariatyd, umieszczono szczątki pierwszych

⁵⁴ architrav – belka spoczywająca na kolumnach.

⁵⁵ Herodot, *Dzieje*, ks. VIII.

królów Attyki. Kamienne ławy, biegnące wzdłuż murów, nasuwają przypuszczenie, że odbywały się tu inicjacje. Tak więc jońska świątynia okrywa najstarszy relikwiarz ateńskich mitów i kultów.

Czym jest Akropol jako całość? Odpowiedź z podręczników szkolnych brzmiałaby: harmonijnym zespołem architektury. Ale nieuprzedzone spojrzenie odkrywa, że tak nie jest. Monumentalny dorycki Partenon sąsiaduje z jońskim Erechtejonem, potężne Propyleje z wykwintną, lekką, cyzelowaną jak rysunek świątynią Ateny Nike.

Archeolog Arnold Walter Lawrence na podstawie porównania Akropolu z pałacem w Persepolis doszedł do wniosku, że Perykles pragnął współzawodniczyć ze wspaniałą budowlą pokonanych monarchów perskich. Dowodem tego ma być, obca sztuce greckiej, zasada dysymetrii, skupienie głównych akcentów na jednej, niecentralnie położonej budowlu, wspaniałe pałacowe wejście, a także pewna przesadna rozrzutność dekoracji zewnętrznych.⁵⁶

Prostszą i bardziej prawdopodobną odpowiedź na pytanie, dlaczego Akropol nie jest zespołem o jednolitym wyrazie, daje sama chronologia powstania poszczególnych budowli. Nie znamy planów Peryklesa, gdyż nie zostały one nigdy zrealizowane do końca. Prace przerwał wybuch wojny i śmierć przywódcy. Jego dziełem są Partenon i Propyleje.

Obie budowle zrodzone są z jednego ducha. Monumentalne, jasne w założeniu, wyrażające tryumf demokracji, pełnej dumy i wiary w przyszłość.

Kiedy Perykles wygłasza (znaną z przekazu Tucydidesa) mowę pogrzebową na cześć Ateńczyków poległych w pierwszym roku wojny peloponeskiej, można spodziewać się długiej litanii bogów, których opiece poleca los obywateli. Tymczasem jest to pochwała miasta. Imię Aten brzmi tonem nie tylko podniosłym, ale niemal religijnym czy mistycznym.

Wojna peloponeska położyła kres potędze Aten. Jej cień wyraźnie śledzić można na budowlach Akropolu. Partenon jest starszy o dwadzieścia lat od Erechtejonu (różnica zaledwie pokolenia), ale świątynie te zdają się pochodzić z różnych epok. Pierwsza, potężna, poświęcona jest jednemu bóstwu czy też ubóstwianemu miastu. Druga, o planie kapryśnym (sale na dwu poziomach, trzy wejścia, ozdobione jakby za dużymi, niefunkcjonalnymi kariatydami), gromadzi pod swoim dachem wielu herosów i bogów. Można doszukać się w tym charakterystycznej dla epok schyłkowych ucieczki w przeszłość, powrotu do dawności, gwałtownego szukania tradycji. Kolumny Partenonu są jak skamieniały chór Antyfony⁵⁷. Erechtejon, podobnie jak dramaty Eurypidesa, zapowiada świat hellenistyczny, świat skłóconych imperiów i niepokoju.

⁵⁶ *Greek Architecture.*

⁵⁷ Nawiasem mówiąc, Sofokles, przyjaciel Peryklesa, był w czasie budowy Partenonu przewodniczącym komisji finansowej, która zajmowała się gospodarką skarbcza związkowego.

Ateny pełne ruin dawnych pałaców są wielkim, ubogim szpitalem, gdzie tylu jest nędzarzy, ilu chrześcijan.

Babin⁵⁸

W ciągu bez mała dwu i pół tysiąca lat Akropol zalewały fale wojen, oblężeń, rabunków i profanacji. Wydaje się rzeczą nieprawdopodobną, że udało się odtworzyć w części dzieło Peryklesa. Parę napisów gotyckich, nagrobne kamienie tureckie, lwy weneckie – to jedyne materialne świadectwo, mówiące o burzliwej historii świętego wzgórza.

Aleksander Wielki wiedział, że Ateny są i będą przez długie lata ośrodkiem antymacedońskiej irredenty. Ale prestiż dawnej stolicy Grecji był tak duży, że po bitwie nad Granikiem, która otworzyła mu wrota Azji, przysłała dwadzieścia zdobytych tarcz, które zawisły na kolumnach Partenonu.

Syn jednego z jego generałów, niejaki Demetrios, zwany Zdobywcą Miast, dopuścił się profanacji, jakiej ani przedtem, ani potem nie notują dzieje Akropolu. Zamieszkał po prostu w Partenonie, to znaczy część świątyni przerobił na swoją prywatną rezydencję, wyjaśniając Ateńczykom, że sama bogini zaprosiła go do swego domu. Zachowywał się przy tym nader swobodnie. Urządzał wystawne uczyty w towarzystwie głośnych kurtyzan, a kiedy skandal przekraczał wszelkie granice, odbywały się teatralne pojednania z boginią. Plutarch mówi o tym z ładną powściągliwością: „Przez wzgląd na sławę miasta nie ma potrzeby opowiadać jasno i ze szczegółami o tych wszystkich bezceństwach i niegodziwościach, które zostały tu popełnione”⁵⁹. Epizod Demetriososa wydaje się żywcem wyjęty z *Żywotów cesarów* Swetoniusza.

Zburzenie Koryntu przez Rzymian w roku 146 przed Chr. (sugestywny opis Polibiusza: „Obrazy rzucone w proch i na nich wyciągnięci żołnierze grający w kości”⁶⁰) powinno stać się groźnym *memento*⁶¹ dla Aten. Ale w tym mieście, gdzie każdy retor był niepocieszonym kochankiem utraconej wolności, czekano tylko na sposobną okazję rewanzu.

Trudności wewnętrzne Rzymu skłoniły króla Pontu, Mitrydatesa, do szukania przeciwników Rzymu na Wschodzie i w Grecji. Na czele antyrzymskiego ruchu staje w Atenach retor Arystion, którego tłum obwołuje strategiem. Senat rzymski wysłał przeciw Mitrydatesowi Sullę. Jego siły wojskowe były słabe, ale okrucieństwo, z jakim przystąpił do rzucenia Greków na kolana –

⁵⁸ J.P. Babin, *Relation de l'état présent de la ville d'Athènes...* Lyon 1674.

⁵⁹ Plutarch z Cheronei, *Żywoty sławnych mężów [Sulla], [Perykles]*.

⁶⁰ *Dzieje*, t. 1-2.

⁶¹ *memento* – pamiętaj (łac.); rodzaj ostrzeżenia, przestrogi.

niezrównane. Skarbce Olimpii, Epidauru i Delf zostały zrabowane, święte gaje wycięte. „Jesteśmy żołnierzami bogów, ponieważ bogowie nam płacą”⁶².

Oblężenie Aten trwało długich dziesięć miesięcy. Najwytrwalej bronił się Akropol. Kiedy Arystion, mający zbyt wiele zaufania do wymowy, wysłał dwu retorów, aby przekonali rzymskiego wodza o konieczności poniesienia oblężenia, Sulla odpowiedział krótko: „Senat i lud rzymski przysłał mnie tu nie po to, abym brał lekcje ładnego języka, ale abym ukarał zbuntowanych”⁶³. W maju roku 86 przed Chr. pada Akropol. Masakra obrońców, samobójstwo najlepszych obywateli i statki pełne dzieł sztuki i rękopisów płyną w kierunku nowej stolicy świata.

Trudno choćby w przybliżeniu ustalić bilans ofiar i strat, jakie poniosła Grecja, aby stać się szkołą Rzymu. Do grabieży wojennych, a więc niejako „oficjalnych”, należy bowiem dodać wielką ilość dzieł wywiezionych przez prywatnych kolekcjonerów.

Kilka lat przed pierwszą wojną światową sensacją archeologiczną stało się odkrycie na dnie morskim w pobliżu wybrzeży Tunisu, na wysokości miejscowości Mahdia, statku pełnego dzieł sztuki, mebli, a nawet gotowych elementów architektonicznych, takich jak czterometrowe kolumny, bloki marmuru, kapitele. Obiekty te posiadały wysoką wartość artystyczną i uczeni ustalili bez trudności na podstawie inskrypcji na stelach nagrobnych, że pochodzą one z Aten. Katastrofa okrętowa musiała wydarzyć się na początku I wieku przed Chr. Był to niewątpliwie jeden ze statków, który wiozł łupy Sulli z Pireusu do Rzymu. Pędzony burzą, nadmiernie obciążony rozbił się koło wybrzeży Tunisu. Skądinąd wiemy, że Sulla sprowadzał z Aten kolumny, które zostały użyte na odbudowę Kapitolu, spalonego w czasie wojny domowej.

Słynny proces Verresa w roku 70 przed Chr., unieśmiertelniony mową oskarżycielską Cyclerona, dostarcza nam cennych analogii i daje pojęcie, czym był rzymski „głód sztuki”. Verres w czasie trzech lat piastowania wysokiego urzędu na Sycylii rabował wszystko, od pomników bogów ze świątyń aż do pierścieni, które zauważał na palcach bogatych Sycylijczyków. Wilczy apetyt nowych władców świata nie szedł bynajmniej w parze ze znawstwem i często spotykamy się z uderzającą ignorancją Rzymian. Konsul Mummiusz, który zdobył i ograbił Korynt, grozi ludziom odpowiedzialnym za transport do Rzymu przedmiotów sztuki greckiej, że jeśli je uszkodzą, zmusi ich – jak by to było możliwe – do odtworzenia arcydzieł.

Sam zresztą Cycleron, namiętny kolekcjoner, o czym świadczą jego listy do Attyka, gdy ten przebywał w Grecji („Jeśli znajdziesz jakieś rzeźby odpowiednie dla mnie, nie wahaj się i kup mi”⁶⁴), popełnił w mowie przeciw Verresowi szereg różnych pomyłek (mylne atrybucje, brak

⁶² Plutarch z Cheronei, *Żywoty sławnych mężów [Sulla], [Perykles]*.

⁶³ Plutarch z Cheronei, *Żywoty sławnych mężów [Sulla], [Perykles]*.

⁶⁴ *Listy do Attyka*.

rozdzielenia istotnych wartości artystycznych etc.).

Od czasów Augusta cesarze rzymscy stosowali wobec Aten politykę raczej liberalną. Petroniusz w *Satyrykonie* żartuje, że w Atenach łatwiej było spotkać boga niż człowieka⁶⁵. Istotnie, pod panowaniem rzymskim dawna stolica Grecji przeżywała prawdziwą inwazję pomników nie tylko bogów i cesarzy, ale także drugorzędnych protektorów i dobroczyńców miasta. Sam August miał wiele posągów w Atenach, z co najmniej jeden na Akropolu. W pobliżu Partenonu, dwadzieścia metrów od jego fasady wschodniej, wzniesiono świątynię poświęconą Rzymowi i cesarzowi. Zostało z niej nieco fragmentów, z których domyślić się można, że ta niewielka, okrągła, ciężka budowla, tuż obok arcydzieła z czasów Peryklesa, była – łagodnie mówiąc – estetycznym nieporozumieniem. W sąsiedztwie zachodniej ściany Pinakoteki znajduje się do dziś ogromny piedestał z szarego marmuru, na którym wznosiły się niegdyś kolejno pomniki ku czci jednego z królów Pergamonu, a potem Antoniusza⁶⁶ i Kleopatry, wreszcie Agryppy, szwagra cesarza, który, jak wiemy, wyjednywał przywileje dla miasta.

Nie tylko piedestały zmieniały właścicieli; często na istniejący tors nakładano po prostu nową głowę cesarską i dawano nowy napis, tak że ten sam pomnik wyobrażał kolejno Tyberiusza, Nerona, Wespazjana czy Tytusa.

Święty Paweł Apostoł zbyt pochlebnie Ateńczykom, kiedy nazwał ich najbardziej religijnymi z ludzi, zobaczywszy w Atenach świątynię wzniesioną nieznanemu bogu⁶⁷. Był to zwykły zabieg ostrożności, podobnie jak pomniki cesarów nie były dowodem entuzjazmu, ale oportunistycznym.

Cesarzowi Klaudiuszowi i Kaliguli przypisuje się budowę wielkich schodów w stylu kapitolijnym, które wiodły do Propylejów. Jeden z najbardziej autentycznych przyjaciół Hellady, cesarz Hadrian, realizował swoje plany upiększania Aten poza obrębem świętego wzgórza. Ale, jak notuje Pausaniasz, pomnik jego znajdował się wewnątrz Partenonu, nie wiadomo czy dlatego, że Hadrian uważał się za nowego Tezeusza, czy też na zatłoczonym pomnikami świętym wzgórzu nie można było znaleźć odpowiedniego miejsca⁶⁸.

⁶⁵ *Satyricon libri – Satyryki*.

⁶⁶ Wiemy, że Antoniusz – ów niezrównany *bon vivant* (fr. – człowiek umiejący i lubiący używać życia) – był w Atenach w roku 39 przed Chr. i wówczas z wielką pompą (być może na Akropolu) odbyły się jego zaślubiny z Ateną. Przy tej okazji rzymski generał wyłudził od Ateńczyków „posąg” w wysokości 4 milionów sestercji. Czysty cynizm czy gra polityczna? Raczej to drugie, gdyż poza tym Antoniusz (co było zgodniejsze z jego charakterem) utożsamiał się także z Dionizosem, „mianując” jednocześnie Kleopatę Afrodytą. Te kombinacje mitologiczne potrzebne były do ożywienia idei Aleksandra Wielkiego: połączenia Europy z Azją.

⁶⁷ *Dzieje Apostolskie* 17, 23.

⁶⁸ *Wędrowki po Helladzie*, ks. I.

Julian Apostata był ostatnim cesarzem, który pragnął przywrócić bogom Hellady Olimp, a Grecji dawną sławę. W liście do senatu i ludu ateńskiego cesarz pisze: „Ile potoków łez wylałem, ile jęków wydałem wyciągając ręce w stronę Akropolu i prosząc Minerwę, aby chroniła swego sługę i nie opuszczała go”.

Legenda mówi, że wysłał posłów do Delf złupionych przez Herulów, aby zasięgnąć rady wyroczni i wyjednać błogosławieństwo dla swych planów. Taką otrzymał odpowiedź: „Powiedz królowi: w ruinach leży świątyni niegdyś radosny gmach; bóg jest bez schronu; cisza źródeł i gajów laurowych; nawet woda przestała mówić”.

W niepamięci piasku leży imię Deksipposa. Nie było wówczas ani Plutarcha, który by napisał jego życiorys, ani wybitnego rzeźbiarza, który przekazałby nam jego portret. A przecież ten orator i pisarz ateński zasługuje na pamięć hellenofilów. Kiedy w połowie III wieku Gotowie zdobyli Attykę i udało się im usadowić w murach Aten, Deksippos w wąwozach Pentelikonu i Parnasu organizuje improwizowaną armię obywatelską, która wypędza Gotów. Ostatnie, choć krótkotrwałe, zwycięstwo Greków. W Luwrze znajduje się napis na cześć Deksipposa. Dowiadujemy się z niego, że był on archontem i członkiem komitetu honorowego Wielkich Panatenajów, co świadczy o żywotności (przynajmniej nominalnej) tradycyjnych instytucji ateńskich.

Z końcem IV wieku Ateny przechodzą pod władzę Bizancjum. W Konstantynopolu powstaje w roku 425 „uniwersytet” kontrolowany i dotowany przez państwo. Wolne szkoły filozofów ateńskich mają tym razem poważnego konkurenta. Przez wieki Ateny wytrzymywały współzawodnictwo z innymi ośrodkami cywilizacji starożytnej, ale doktryna neoplatońska, która tak bujnie rozwijała się w IV i V wieku, została osądzona jako wroga religii państwowej – chrześcijaństwu i to stanowiło jeden z głównych powodów wypędzenia z Aten filozofów i retorów edyktem Justyniana w roku 529. Ten akt administracyjny był dotkliwszy niż jakakolwiek przegrana bitwa. Ateny sprowadzone zostały do roli małego garnizonowego miasta Wschodniego Cesarstwa.

Partenon na przełomie VI i VII wieku został przerobiony na kościół Bożej Mądrości. Była to właściwie adaptacja istniejącej w stanie nie zmienionym świątyni greckiej. Między kolumnami perystylu⁶⁹ wyrósł mur. Wybito wejście do świątyni od strony zachodniej, a dawne wejście zamurowano, tworząc absydę⁷⁰ pokrytą freskami. Pod płaskim plafonem dobudowano kopulaste bizantyjskie sklepienie. Ściany pokryte zostały freskami, tron biskupi „wypożyczono” z teatru Dionizosa. Wszystkie te prace nie zmieniły jednak konstrukcji Partenonu. Jego wygląd

⁶⁹ perystyl – dziedziniec lub ogród otoczony kolumnami

⁷⁰ absyda – w architekturze sakralnej pomieszczenie zamykające prezbiterium lub nawę, w starożytności na planie półkola

zewnątrzny pozostał nienaruszony. W podobny sposób Erechtejon przerobiono na kościół Matki Bożej.

Władcy Bizancjum rzadko odwiedzali stolicę dawnej Hellady. Najmocniej w pamięci ludzkiej zapisał się pobyt Bazylego II, na początku XI wieku, który wybrał Akropol, aby tu właśnie święcić swoje zwycięstwo nad Bułgarami. Był to ukłon złożony tradycji już dawno umarłej.

O stanie duchowym mieszkańców Aten pod koniec XII wieku dają pojęcie zachowane homilie Michała Akominatosa, który przez trzydzieści lat był arcybiskupem ateńskim. Rezydował na Akropolu, mszę celebrował w Partenonie – można więc sądzić, że osiągnął szczyt marzeń wszystkich humanistów. W swoich kwiecistych kazaniach ten erudyta, chrześcijanin i wielbiciel starożytności mieszał mitologię z Pismem Świętym i egzaltował swoje owieczki, że są „złotym nasieniem”, że powinny dzięki wierze przewyższyć moralnie Ajaksa, Diogenesa, Peryklesa i Temistoklesa.

Biedne niepiśmienne owieczki (w dodatku dość skomplikowana etnicznie mieszanina, mówiąca językiem dalekim od klasycznej greki) słuchały i niczego nie rozumiały. Arcybiskup Michał nie mógł powstrzymać okrzyku zawodu: „O Ateny – matko mądrości, jakże nisko stoczyłaś się w nieuctwo! Kiedy wygłaszam moje kazania, tak proste, tak bardzo pozbawione sztuczności, wydaje mi się, że mówię rzeczy niezrozumiałe, w obcym języku jakichś Persów czy Scytów”⁷¹.

Fale wypraw krzyżowych osłabiały Cesarstwo Bizantyjskie, i tak już wyczerpane ciągłymi walkami z Turkami i Bułgarami. Grecja odpada od Bizancjum bezpowrotnie i podzielona zostaje na szereg księstw. Ateny przypadły w udziale Ottonowi de la Roche, który przyjmuje tytuł Megas Kyr i wyjednuje u króla Francji tytuł księcia. Tak powstaje dynastia frankońska, władająca Attyką przez trzy pokolenia, aż do bezpotomnej śmierci w roku 1308 ostatniego z de la Roche’ów attyckich. W tym czasie Akropol został zamieniony na średniowieczną twierdzę. Otoczyły go mury z blankami, a na południowym skrzydle Propylejów wybudowano ogromną, czworokątną wieżę strażniczą, która przetrwała aż do ostatniej ćwierci XIX w.

W pobliżu miejsca, gdzie Filip Macedoński rozgromił Greków i Sulla odniósł zwycięstwo nad korpusem ekspedycyjnym Mitrydatesa, Frankowie ponoszą klęskę zadaną im przez Katalończyków. Byli to najemni żołnierze, których cesarz bizantyjski, Andronik Paleolog, zwerbował do walki przeciw Turkom. Wkrótce jednak zaczęli oni dokonywać podbojów na własną rękę. Pogrom rycerzy frankońskich był totalny. W ręce Katalończyków wpadły Ateny i Teby, ale ich panowanie trwało krótko i nie pozostawiło żadnych śladów na architekturze świętego wzgórza.

⁷¹ *Nicetae Choniatae orationes et epistulae.*

Dzięki Florentyńczykom z bogatej rodziny kupieckiej Acciaiuoli – następnym władcom księstwa ateńskiego, Akropol przeżył jedną z najbardziej osobliwych przygód architektonicznych. Otóż jeden z Acciaiuolich, Nerio, miał ambicję, aby Ateny nie ustępowały książęcy dworom włoskiego *trecento*⁷². Główne budowle Akropolu, Partenon i Erechtejon, były świątyniami. Pozostały Propyleje, które przemieniono na pałac w stylu włoskim. Monumentalne wejście z czasów Peryklesa obmurowano, w murach wybito okna, otrzymując w ten sposób cztery wielkie sale recepcyjne. To osobliwe, włosko-doryckie Palazzo d'Acropoli połączone zostało z Pinakoteką. Na jej płaskim dachu dobudowano nową kondygnację.

W roku 1456, wkrótce po upadku Konstantynopola, namiestnik Mahometa II, Omar, obejmuje w posiadanie Ateny. Dla Turków był to punkt strategiczny i nic więcej⁷³.

Nowa technika wojny, decydująca rola artylerii, która święciła tryumfy w czasie zdobywania Bizancjum, wymagały zasadniczych zmian w architekturze obronnej świętego wzgórza. Umocnienia średniowieczne książąt ateńskich były niewystarczające. Propyleje zostały wchłonięte przez mury obronne, wewnątrz twierdzy powstały budynki wojskowe, magazyny amunicji. Partenon został przemieniony na meczet. Jedynym dodatkiem architektonicznym, widzianym z zewnątrz, był minaret nasadzony na dach klasycznej budowli. W Erechtejonie mieścił się harem agi zamku.

Magazyny prochu znalazły się wewnątrz Propylejów, w specjalnie zbudowanej sali z kopułą. Tradycja ludowa, powtórzona przez pewnego podróżnika francuskiego, mówi, że w roku 1656 aga⁷⁴ Akropolu w czasie jednego ze świąt mahometańskich postanowił zbombardować kościół Świętego Dymitra. Otóż w noc przed spełnieniem tego niecnego zamiaru wybuchła burza i piorun, który trafił w Propyleje, spowodował wybuch niszczący dach, plafon i architrawy. Magazyny prochu przeniesiono potem do Partenonu, którego solidna konstrukcja, jak sądzono, dawała gwarancję bezpieczeństwa.

Przeszło dwa wieki panowanie tureckie nie było zakłócone żadną interwencją z zewnątrz, pomijając krótką i bez znaczenia ekspedycję Wenecjan kilka lat po zamienieniu Akropolu na twierdzę turecką. Ambicje republiki morskiej odżyły po rozgromieniu doborowych wojsk otomańskich pod Wiedniem w roku 1683. Ta daleka bitwa zdecydowała o losie najsławniejszej budowli Akropolu.

Już wiosną roku 1684 następuje zerwanie stosunków między Wenecją a Turcją. Rok później, latem, armia wenecka pod wodzą Franciszka Morosiniego ląduje na Peloponezie, odnosząc

⁷² *trecento* – wiek XIV (wł.)

⁷³ W drugiej połowie XVIII w., a więc pod koniec tureckiego panowania, Ateny liczyły zaledwie trzy tysiące Turków i pięć tysięcy Greków.

⁷⁴ aga – starszy brat (tur.); stopień oficerski w sułtańskiej Turcji

szereg zwycięstw i opanowując wreszcie cały półwysep. Siły wojskowe Morosiniego dowodzone były przez oficerów różnych narodowości: Szwedów, Niemców, a także Francuzów. W operacjach wojennych odznacza się hrabia Otto Wilhelm Koenigsmark, syn słynnego dowódcy z wojny trzydziestoletniej. Jego żonie towarzyszy w wyprawie *dame de compagnie*⁷⁵ Anna Akerhjelm, której pamiętniki i listy są cennym źródłem do poznania kolei tej nieszczęsnej wyprawy.

Opanowanie Peloponezu nie zadowoliło Wenecjan, zwłaszcza że Turcy stosowali taktykę defensywną. Konsekwencją wojny jest rozszerzenie podbojów i sztab wojsk Morosiniego rozważa dwa projekty: pierwszy dotyczy ataku na wyspę Eubeję, drugi zdobycia Aten. Ostatecznie zaakceptowano ten drugi projekt. Turcy przygotowują się do oblężenia Aten i umacniają pozycje obronne. Ofiarą tych operacji pada świątynia Ateny Nike, zrównana z ziemią przez tureckich inżynierów, aby ustąpić miejsca bastionowi, na którym ustawiono baterie armat. Materiał pochodzący ze świątyni użyty został do umocnienia fortyfikacji.

Wenecjanie wykonują podstępny manewr wojenny, który ma zasugerować Turkom, że celem ataku jest wyspa Eubeja. W istocie wylądowano w Pireusie i armie Morosiniego, nie natrafiając na poważniejszy opór, zbliżają się do Akropolu, głównego punktu obrony. Artyleria i wojska lądowe Wenecjan zaciskają pierścień wokół twierdzy. Obie strony walczące sposobią się do długiego i wyczerpującego oblężenia.

Ostrzeliwanie Akropolu przez moździerz ma charakter, jeśli można użyć współczesnej terminologii, ognia nękającego. Jednakże 26 IX 1687 pocisk wystrzelony z działa umieszczonego w pobliżu pomnika Lizykratesa przebija dach Partenonu i powoduje potężny wybuch. W powietrze wylatuje dwadzieścia kilka kolumn, ogromne partie architrawy, sklepienie, dach i mury *naos*. Pod gruzami ginie turecki pasza, szef garnizonu i wielu żołnierzy. Trzy dni później nad żałosnymi ruinami powiewa flaga z lwem świętego Marka.

Zwycięstwo Wenecjan zmacone było poczuciem winy. Hrabia Koenigsmark nie był na pewno bezdusznym generałem. W czasie swej młodości odbył solidne studia i na uniwersytecie w Lipsku wygłosił po łacinie dyskurs o nieszczęsnym losie Aten, oddanych w ręce barbarzyńców. Historia kazała mu być tym, który zadał uwielbianemu miastu cios najdotkliwszy. Anna Akerhjelm pisze, „jak szczerze i bardzo żałuje hrabia, że zburzył piękną świątynię Minerwy, która przetrwała trzy tysiące lat” (drobna nieścisłość chronologii) i wyraża przekonanie, że nigdy już nie zostanie ona odbudowana. Jest w tym sporo hipokryzji. Istnieją uzasadnione przypuszczenia, że greccy szpiedzy poinformowali Koenigsmarka, co znajduje się w Partenonie, i ów fatalny pocisk nie był przypadkowy.

Ze stosów gruzu, jakim jest teraz Akropol, Morosini pragnie przywieźć Wenecji środkowy

⁷⁵ *dame de compagnie* – dama do towarzystwa (fr.)

fragment partenońskiego frontonu, przedstawiający spór Ateny z Posejdonem. W raporcie do senatu pisze: „Przewidując opuszczenie Aten, powziąłem myśl zabrania kilku najładniejszych dekoracji, które mogłyby dodać blasku Republice. W tym celu starałem się oddzielić od fasady świątyni Minerwy, gdzie znajdują się najpiękniejsze rzeźby, posąg Jupitera i płaskorzeźbę dwu wspaniałych koni. Ale kiedy tylko rozpoczęto zdejmowanie tych rzeźb, wszystko runęło w dół z ogromnej wysokości i jest to cud, że żadne nieszczęście nie stało się robotnikom”⁷⁶⁷⁷.

Zdobycie Aten przez Morosiniego było także nonsensem z punktu widzenia strategicznego. Wenecjanie wycofują się z miasta, zabierając ze sobą część tubylczej ludności chrześcijańskiej. Do opustoszałej Attyki wracają Turcy, którzy na nowo fortyfikują Akropol. W środku rozbitego Partenonu, jak w klatce o wyrwanych prętach, zbudowano mały meczet bez minaretu.

Przemiany Aten czy choćby samego Akropolu w ciągu wieków są trudne do prześledzenia z powodu nikłości materiału ikonograficznego. Rysunki średniowieczne czy renesansowe przedstawiają Ateny wręcz fantastycznie, jako nadmorskie miasto flamandzkie z gotyckimi kościołami czy też ponure zamczysko północne. Na mapach żeglarskich Ateny nazywają się Setina, a Akropol widziany z morza był tylko punktem orientacyjnym.

Podróże do Grecji i opis zachowanych zabytków stały się właściwie możliwe dopiero w wieku XVII, kiedy nawiązane zostały najpierw przez Francję, potem przez Anglię stosunki dyplomatyczne z Wysoką Portą. W Atenach powstają misje, coś, co moglibyśmy dziś określić mianem konsulatu, mające charakter polityczny i handlowy. Osoby stanowiące wówczas taką na przykład „kolonię” francuską można było policzyć na palcach obu rąk: kilku misjonarzy, zabłąkany rusznikarz i parę jeszcze osób nieokreślonej profesji. Zwiedzanie Akropolu było rzeczą właściwie niemożliwą, a w każdym razie bardzo utrudnioną, gdyż Turcy w obawie przed szpiegami nie dopuszczali obcych do twierdzy.

Dlatego podziw budzą relacje upartych podróżników, którym udało się sporządzić opisy i plany Aten i Akropolu, i to w warunkach osobistego zagrożenia. Wyobraźmy sobie owych entuzjastów: wędrowali długie dni na grzbiecie osła, spali w zagubionych górskich szałasach pasterskich, docierali wreszcie do miasta swych marzeń. Tu zaczynały się skomplikowane pertraktacje z dowódcą twierdzy, poparte woreczkami kawy i tłustym ptactwem domowym. W końcu pozwolenie zwiedzania, obostrzone szeregiem zastrzeżeń i ograniczeń. Uwijają się tedy w pośpiechu, wśród tureckich namiotów, budynków wojskowych i świątyń, pod czujnym okiem nieufnych żołnierzy, z przyrządami do pomiarów, szkicownikiem i nieodstępnym Pauzaniaszem,

⁷⁶ F. Morosini, *Vera e distinta relatione dell'acquisto della città e fortezza d'Athene...* Venezia-Bologna 1689.

⁷⁷ Tu i ówdzie spotkać można w muzeach europejskich żołnierskie „pamiątki” owej wyprawy. I tak w muzeum w Kopenhadze znajdują się głowy Lapity i Centaura, przywleczone tu przez kapitana Hartmanda.

jedynym Baedekerem od kilkunastu stuleci. Wszystko zależało od humoru dowódcy twierdzy i jego żołnierzy.

Dwaj członkowie londyńskiego Klubu Dyletantów, który finansował wiele podróży archeologicznych na Wschód, gentlemani Stuart i Revett, bez przeszkód dokonywali pomiarów starożytnych monumentów ateńskich, ale na głowę Anglika Vernhuma i Francuza Roberta de Dreux posypały się kamienie i groźba strzałów, kiedy mierzyli teatr Herodesa Attykusa.

Zabawnie opisuje swoje przygody rysownik angielski Edward Dodwell. Pracował on na Akropolu, posługując się *camera obscura*⁷⁸ – prototypem aparatu fotograficznego, która dawała obraz pomniejszony budowli, a więc pozwalała zachować w rysunku ściśle proporcje odtwarzanych zabytków. „Pewnego dnia, kiedy rysowałem Partenon za pomocą mojej *camera obscura*, zapytał mnie dowódca garnizonu z wyraźnym niepokojem, jakie to czary robię niezwykłą moją maszyną”⁷⁹. Dodwell próbuje wyjaśnić i zademonstrować działanie swego aparatu. Oficer turecki jest wyraźnie przerażony. „Widząc to [...] zmieniłem ton i zagroziłem mu, że jeśli będzie mi przeszkadzał i molestował, wsadzę go do mego czarnego pudła”. Od tego czasu Dodwell pracował bez przeszkód.

Spośród podróżników, którzy przekazali nam cenne relacje o Akropolu, i to z okresu, zanim spadły nań bomby Morosiniego, warto wymienić jezuitę Babina oraz lionńskiego lekarza i amatora starożytności Jakuba Spona. Szczególnie dokładnie opisuje Babin Partenon, co dla nas ma wyjątkową wartość, także dlatego, że Pauzaniusz (jak wiemy, miłośnik rzeczy osobliwych) milczy w swoim dziele o najpiękniejszej świątyni Akropolu. Dla francuskiego jezuita jest ona wcieleniem doskonałości, przewyższa estetycznie Świętą Zofię w Konstantynopolu, a rzeźby fryzu i frontonu nie dają się porównać z żadnym dziełem sztuki współczesnej autorowi. Jak na czasy pełnego baroku, sąd Babin jest wyjątkowy i niemal prowokujący w stosunku do gustów epoki.

Trzytomowe sprawozdanie z greckiej peregrynacji Jakuba Spona⁸⁰ ukazało się w Lyonie w roku 1678. Znaczący twierdzą, że była to „pierwsza nowożytna podróż do Aten godna tego imienia”. Łatwo dzisiaj wytykać temu wykształconemu podróżnikowi błędy i nieścisłości, jak pomieszczenie dwu frontonów Partenonu, i co gorsza, przypisanie ich rzeźbiarzom epoki Hadriana. Grecja była krajem nietkniętym przez architektów. Książka Spona rychło stała się bardzo popularna w Europie i nie zabrakło jej w kufrze Koenigsmarka, o czym wspomina Anna Akerhjelm.

⁷⁸ *camera obscura* – komora ciemna (łac.); przyrząd ułatwiający wierne odtwarzanie widoków

⁷⁹ E. Dodwell, *A classical and topographical Tour through Greece, during the years 1801, 1805, and 1806*, London 1819.

⁸⁰ *Voyage d'Italie, de Dalmatie, de Grèce et du Levant...* Lyon 1678-80.

W Bibliotece Narodowej w Paryżu zachowała sięteczka rysunków. Konserwator z epoki napoleońskiej nadał jej dość dziwny tytuł: „Świątynia Minerwy w Atenach, zbudowana przez Hadriana, narysowana na rozkaz pana Nointel, ambasadora przy Wysokiej Porcie, zanim owa świątynia nie została zburzona przez Wenecjan”. Markiz Nointel był niewątpliwie jednym z najbardziej zdolnych i obrotnych dyplomatów Ludwika XIV. Po załatwieniu w stolicy tureckiej skomplikowanych układów, wybiera się w otoczeniu licznej świty w podróż po Grecji. Do Aten przybywa latem 1674 roku.

„Wszedłem po raz pierwszy uroczyście przy huku armat do skarbcza (Akropolu), gdzie zamknięte są owe cuda, i wracałem tam *incognito*⁸¹ cztery razy, ażeby lepiej móc podziwiać i poznać piękne rzeźby, które mój malarz bardzo dobrze odtworzył”.

Rysunki Partenonu – autorem ich jest Jacques Carrey – nie są arcydziełem, tym lepiej zresztą, bo artysta z fantazją nie byłby tak dokładny. Wykonane zostały niewątpliwie w pośpiechu, z pozycji niewygodnej, bez żadnych ułatwień w postaci rusztowań, lecz ich wartość jako dokumentu jest nieoceniona.

Nointel był na pewno szczerym wielbicielem dzieł starożytnych i obawa o ich los, a także mniej bezinteresowne pobudki, wyraźnie przebijają w raportach ambasadora. „Oryginały zasługują jak najbardziej, aby umieszczono je w gabinetach lub galeriach Jego Królewskiej Mości, gdzie cieszyłyby się opieką, jaką Majestat otacza sztukę i wiedzę [...]; wtedy znalazłyby się one poza zasięgiem zniewag i obelg Turków, którzy, aby zapobiec idolatrii, sądzą, że czynią rzecz godną pochwały, wydzierając rzeźbom nosy lub inne fragmenty”.

Rysunki znajdujące się w tece wykonane w czasie podróży Nointela wykazują, że wiele posągów partenońskiego frontonu było istotnie uszkodzonych, ale jeśli tak wolno powiedzieć, główny korpus rzeźbiarski zachował się w całości.

Wiek później ambasadorem francuskim w Konstantynopolu został hrabia Choiseul-Gouffier. Jako dwudziestoczteroletni młodzieniec odbył on podróż do Grecji, którą opisał w głośnej książce *Voyage pittoresque dans l'Empire ottoman, en Grece...*⁸² Wykształcony humanista, członek Akademii Inskrypcji, później Akademii Francuskiej, marzył, podobnie jak Nointel, aby zdobyć dla Francji kolekcje rzeźb greckich. W Atenach działał jego agent Louis Fauvel – konsul, malarz i rysownik. W jednym z listów ambasador poleca Fauvelowi zdobycie jednej z kariatyd Erechtejonu, a w innym znów pisze zupełnie otwarcie, aby nie tracił żadnej okazji zrabowania tego wszystkiego, co da się zrabować. Plon tych zabiegów był jednak bardzo nikły; prawdopodobnie jedna metopa z frontonu, stracona przez burzę, znajdująca się dziś w Luwrze.

To, czego nie udało się dokonać Francuzom, osiągnął człowiek, którego nazwisko do dziś

⁸¹ *incognito* – nie dając się poznać (łac.)

⁸² 1842 r.

budzi gniew filohellenów – Thomas Bruce Elgin. Byron powiedział o nim z gryzącą ironią: „*Quod Gothi non fecerunt, Scotus fecit*”⁸³. Mianowany w roku 1789 przedstawicielem angielskim przy Wysokiej Porcie, lord Elgin zabrał się do dzieła przeniesienia rzeźb Akropolu „w miejsce bardziej bezpieczne” z niesłychaną energią, mobilizując wszystkie dostępne sobie środki polityczne i finansowe. Udało mu się uzyskać pozwolenie władz tureckich na zrobienie odlewów gipsowych, a także zabranie kamieni z napisami oraz pewnych drobnych fragmentów rzeźb. Wokół Partenonu wyrastają rusztowania. Dwu architektów włoskich, dwu specjalistów od odlewów (też Włosi) i malarz rosyjski Fiodor Iwanowicz, zwany niezbyt uprzejmie „kałmukiem lorda Elgina”, oraz dziesiątki robotników, pod kierunkiem malarza Lugieriego, przystępują do pracy. Najintensywniejszy jej okres przypada na lata 1801-1803. Owych „kilka rzeźb”, o których mówi pozwolenie tureckie, można dzisiaj podziwiać w londyńskim British Museum. Jest to w istocie ogromny zbiór, na który składa się dwanaście wielkich fragmentów frontonu⁸⁴, piętnaście metop i pięćdziesiąt sześć płaskorzeźb fryzu⁸⁵ przedstawiającego procesję panatenajską.

Przygody Elgina mogłyby stanowić kanwę pasjonującej powieści: aresztowanie lorda we Francji, ucieczka Lugieriego po wybuchu wojny tureckiej, zatonięcie jachtu wiozącego bezcenny ładunek i wydobywanie rzeźb przez poławiaczy gąbek, a wreszcie ciągnące się przez wiele lat polemiki i dyskusje w parlamencie i prasie, rozważające aspekty moralne, estetyczne i finansowe całej tej afery. Ostatecznie dopiero w roku 1816 rząd angielski zakupił kolekcję (Elgin żądał za nią sto trzydzieści sześć tysięcy) za sumę stu trzydziestu pięciu tysięcy funtów szterlingów. Suma ogromna jak na owe czasy i część prasy angielskiej dawała upust irytacji, przedstawiając w satyrycznych rysunkach Johna Bulla w otoczeniu wynędzniałej rodziny, która wołała: „Nie kupuj, tatusiu, tych kamieni, daj nam chleba”.

Powiedzieliśmy wyżej, że brano pod uwagę także wartość estetyczną rzeźb Fidiasza i jego szkoły. Można przypuszczać, że gdyby marmury przywiezione przez lorda Elgina pochodziły z czasów hellenistycznych, rząd angielski byłby mniej skąpy.

Nie brakło głosów entuzjazmu, ale komisja złożona z najwybitniejszych artystów angielskich owych czasów, oceniła dzieła Fidiasza i jego szkoły jako stojące nieco poniżej Apolla Belwederskiego czy grupy Laokoona.

Na przełomie XVIII i XIX wieku pojawia się w Grecji nowy typ turysty – romantyczny pielgrzym. Wiele rysunków przedstawia wyniosłego młodzieńca, odzianego w czarną pelerynę, opartego o złamaną kolumnę, który z melancholią patrzy na rozproszone stadko owiec wśród

⁸³ To, czego nie dokonali Goci, Szkot osiągnął (łac.).

⁸⁴ fronton – przyczółek, szczyt o kształcie trójkątnym, wieńczący fasadę budowli zazwyczaj krytej dwuspadowym dachem

⁸⁵ fryz – środkowy człon belkowania wypełniony scenami figuralnymi lub ornamentami

marmurowych ruin. „O Solonie! O Temistoklesie! Dowódca czarnych eunuchów jest panem Aten i wszystkich innych miast Grecji”.

Ten okrzyk wyrwał się z piersi François-René de Chateaubrianda. Autor *Ducha wiary chrześcijańskiej* w czasie swej podróży z Paryża do Jerozolimy (rok 1806) zatrzymał się dzień w Sparcie i cztery dni w Atenach. Nie pozując ani na archeologa, ani na socjologa, ani na historyka sztuki, pozostawił nam w swej *Itinéraire de Paris à Jérusalem* stronicę, które w sposób niezrównany ewokują Ateny na kilkanaście lat przed końcem tureckiej niewoli.

Jest wczesny ranek. „[...] Ateny, Akropol i szczątki Partenonu zabarwiły się najpiękniejszym kolorem kwiatu brzoskwini; rzeźby Fidiasza trafione poziomo złotym promieniem ożywiły się; ruchliwość cieni sprawiała, że płaskorzeźby – zdawało się – poruszają się na marmurze; w dali morze i Pireus były całkiem białe od światła; zamek koryncki odbijał blask nowego dnia; błyszczał na zachodnim nieboskłonie jak skała purpury i ognia”.

Chateaubriand nie był bynajmniej tylko łowcą nastrojów. W towarzystwie konsula Fauvela – niezrównanego znawcy ateńskich starożytności – przyjechał tutaj, aby zdobyć „jasne pojęcie o budowlach, niebie, słońcu, perspektywach, ziemi, morzu, rzekach, lasach i górach Attyki”. Raduje go, że udało mu się skorygować obraz, jaki nosił w sobie, wypełnić go barwą i zapachem, i światłem.

Uderza go przede wszystkim siła i harmonia Partenonu. Podziwia Iktinosa, który potrafił zespolić dorycką powagę z koryncką lekkością budowli, stawiając ciężkie kolumny bez bazy na trzech potężnych stopniach stylobatu, co dało świątyni zarazem spokój i lot. Słusznie mówi, że harmonia całości jest wynikiem wyczucia właściwych stosunków architektury i otoczenia, a także doskonałości poszczególnych części.

Relacje Chateaubrianda, jego precyzja, zainteresowanie szczegółami technicznymi i literacka świetność opisów stawiają go w pierwszym rzędzie podróżników po Grecji „epoki przedarcheologicznej”. Nie udało mu się uniknąć błędów (jakże łatwo jest to dziś wytknąć), gdy zasugerowany relacją Spona przypisuje rzeźby partenońskiego frontonu artystom z epoki Hadriana. Ale wiedziony słuszną intuicją mówi jednocześnie, że jest rzeczą niemożliwą, aby Fidiasz pozostawił oba frontony nagie.

Współczucie dla zakutej w niewolę ojczyzny Europy, powtarzane przez tylu romantyków, rodzi pod piórem Chateaubrianda takie oto sceny: „Dizdar, inaczej mówiąc dowódca, uosabia potwora strzegącego lud Solona. Mieszka w cytadeli pełnej arcydzieł Fidiasza i Iktinosa, nie zastanawiając się nawet, jaki to naród pozostawił te szczątki, nie racząc wyjść ze swojej rudery, którą zbudował wśród ruin budowli Peryklesa; czasem tylko ten bezduszny tyran wlecze się do drzwi swej kryjówki, siada ze skrzyżowanymi nogami na brudnym dywanie, a dym jego fajki idzie w górę wśród kolumn świątyni Minerwy, on zaś wodzi bezmyślnie spojrzeniem po wybrzeżach Salaminy i Epidauru”.

Wiosną 1821 roku wybucha w Grecji powstanie przeciw Turkom. Nie należy sobie wyobrażać, że w umysłach tych, którzy chwycili za broń, idea wiecznej Hellady – Grecji filozofów i artystów, była natchnieniem i motorem działania.

Jeden z filohellenów stwierdza z melancholią, że w żadnej epoce lud grecki nie miał większej obojętności dla ocalałych resztek zabytków antycznych niż na ćwierć wieku przed wyzwoleniem. Nie w imię Peryklesa walczyli powstańcy greccy, ale w imię Nazareńczyka i czterech Ewanglistów. W ciągu kilkunastu wieków – jak słusznie ktoś powiedział – Kościół wschodni konserwował poczucie odrębności narodowej jak sól konserwuje rybę.

Ateny nie były już nawet ważnym punktem strategicznym. Były małą mięściną, liczącą zaledwie kilka tysięcy mieszkańców. W czasie walk miasto i cytadela Akropolu przechodzą wielokrotnie z rąk do rąk. Ale są to raczej zmagania o symbol, o sztandar. Losy tej wojny rozstrzygnęły się na innych polach.

Zrazu Turcy ograniczają się w Atenach do wzięcia zakładników (Wielkanoc 1821) i osadzenia ich w wieży frankońskiej. Gwardia janczarska zamyka bramy miejskie, aby uniemożliwić penetrację powstańców, którym jednak udaje się opanować miasto. Błogosławieństwem dla Akropolu jako zabytku było dość słabe wyposażenie techniczne stron walczących, zwłaszcza chroniczny niedostatek artylerii po stronie powstańców. Oblężeni improwizują wypad poza mury twierdzy. Oddział Turków, prowadzony przez olbrzymiego Murzyna, jakby wyjętego żywcem z baśni wschodnich, niespodziewanie z przeraźliwym krzykiem atakuje okopy powstańców. Oddział ów zostaje jednak zdziesiątkowany i w odwet Turcy przeprowadzają natychmiastową egzekucję zakładników. Każdą ma miejsce na murze Temistoklesa. Ścięte głowy toczą się po wzgórzu aż pod próg pierwszych domów⁸⁶.

Na pomoc odciętym w twierdzy przybywa pasza Brioni na czele czterech tysięcy Albańczyków. Tak jak w czasach klasycznych, ludność opuszcza miasto i chroni się na Salamie. Gdy Brioni wycofuje się, Ateńczycy powracają i blokada twierdzy rozpoczyna się na nowo. Jest to zaledwie początek morderczego kontredansa wokół świętego wzgórza.

Po bez mała roku oblężenia Turcy wyczerpawszy ostatnie zapasy amunicji i wody kapitulują. Entuzjazm, chaos, wzajemne mordowanie się ludności chrześcijańskiej i mahometańskiej.

⁸⁶ Malowane dzieje walk powstańczych zawiera współczesny wypadkom album Makryannisa, przechowywany w stołecznym muzeum z czią należną narodowym pamiątkom. Jest to grecki odpowiednik *images d'Épinal* (fr. – obrazki z Épinal; banalne malowanki). Malarstwo naiwne, narracyjne, melodramatyczne wywołujące u współczesnego widza raczej łagodny uśmiech. Z niezrównanym teatralnym rozmachem podjęli temat powstania europejscy malarze romantyczni, zwłaszcza Francuzi, z całą grandilokwencją, poczuciem dramatu i grozy, dając upust uczuciu, a także gorącym ugrom i kobaltom.

Dowódcą twierdzy zostaje mianowany Odysseusz Androutsos, postać oceniana przez historyków sprzecznie: dla jednych bohater narodowy, ofiara braku zrozumienia ze strony dowództwa powstania, dla innych warchoł i zdrajca. Archeologowie nie mogą wybaczyć mu zburzenia lwa w Cheronei, pod którym Odysseusz spodziewał się znaleźć legendarny skarb.

Nowy dowódca zabrał się z energią do przygotowania obrony. W pobliżu Pinakoteki odkrył antyczną fontannę, którą otoczono bastionem. Dowódca wzorem dawnych wielkich budowniczych nie omieszkął umieścić napisu głoszącego: „Ten bastion zbudowany został od swych podstaw przez generała Odysseusza syna Androutsosa w miesiącu wrześniu roku 1822”.

Po bastionie nie zostało śladu, a jego budowniczemu sądzony był los tragiczny. Skłócony z przywódcami powstania, staje na czele bandy tureckiej łupiącej Attykę. Pojmany, osadzony zostaje w lochu wieży frankońskiej, a następnie zabity. Ciało jego, wokół którego okręcony był sznur, wyrzucono przez okno, aby upozorować próbę ucieczki⁸⁷.

W lecie czarnego dla powstania roku 1826 – roku rzezi pod Missolungi – Akropol znów oblegają Turcy pod dowództwem Reszyda paszy. Baterie ustawione na Wzgórzu Muz ostrzeliwiają fasadę zachodnią Partenonu. Muszkietierowie dziurawią mury Pinakoteki i Propyleje. Trafiona pociskiem, wali się kopuła dawnego haremu w Erechtejonie, wraz z dużą częścią fragmentów antycznych rzeźb.

Wydaje się, że tym razem Akropolowi zostanie zadany cios śmiertelny, że powtórzy się historia Morosiniego. Reszyd pasza, nie mogąc zdobyć twierdzy szturmem, każe kopać saperom długi tunel pod wzgórzem, który ma spełnić rolę wielkiej miny. W owym tunelu umieszczają Turcy trzy i pół tony prochu, ilość wystarczającą do wysadzenia w powietrze co najmniej połowy cytadeli. Pasza jest pewny sukcesu, wycofuje pierwszą linię oblegających. Ale przezorni Grecy kopią dwanaście głębokich fos podziemnych, które niwelują całą siłę wybuchu. Góra urodziła przysłowiową mysz.

Na ateńskim teatrze wojennym pojawia się teraz pułkownik Charles Fabvier. Ten zawodowy oficer francuski, rodem z Lotaryngii, kazał portretować się w turbanie na głowie, baranym kożuchu i z wielkim zakrzywionym pałaszem przy boku. Oprócz romantycznego entuzjazmu wniósł Fabvier rzecz bezcenną – dobrą znajomość rzemiosła wojennego i racjonalistyczne podejście do zadań bojowych. Organizuje regularne oddziały powstańcze. W anachroniczne i amatorskie dowództwo wprowadza ideę porządku i dyscypliny.

Zimą roku 1827 staje na czele niewielkiego korpusu, którego zadaniem jest pomoc

⁸⁷ W ateńskim muzeum historii i etnografii znajdują się drewniane popiersia sławnych mężów starożytności, które stanowiły ozdobę dziobów powstańczych okrętów. Temistokles czy Solon z ogromnymi nosami i groźnymi zbójeckimi wąsami mało mają wspólnego z greckim klasycznym portretem. Przypominają do złudzenia dzikich kreteńskich pasterzy i rozbójników morskich.

obłożonym w twierdzy ateńskiej. Jest to osobliwa wyprawa, polega bowiem nie tyle na zasileniu garnizonu obrońcami, ile na transporcie materiałów wojennych. Oddział prowadzony przez Fabviera jest niemal bezbronny, objuczony natomiast do granic wytrzymałości ludzkiej workami prochu i nabojami. Sucha relacja dowódcy warta jest przytoczenia: „Z filohellenami na czele dotarliśmy na odległość połowy zasięgu strzału do tureckich okopów; były one głębokie i dobrze strzeżone. Godzina przed północą; pełnia księżyca. Gdy nas dostrzeżono, ruszyliśmy krokiem jak do natarcia, lecz z bronią nie nabitą. Przebiegliśmy linię okopów i przestrzeń, która dzieliła nas od fortecy, pod dość silnym ogniem kartaczy i strzelb. Mieliśmy czterech zabitych i dwunastu rannych”.

Śmiała ekspedycja Fabviera przedłużyła obronę Akropolu aż do czerwca roku 1827. Z punktu widzenia wojskowego był to epizod małej wagi, ale wytrwałość obrońców miała ogromne znaczenie moralne i polityczne. W momencie, kiedy Grecy opuszczają twierdzę, los ich ojczyzny jest przesądzony. Pokój w Adrianopolu, zawarty w roku 1829, przywraca niepodległość Grecji. Turcy opuszczają jednakże Akropol dopiero w kwietniu 1833 roku. Ateny liczą wówczas trzysta domów i dwa tysiące mieszkańców. Jednym z pierwszych aktów króla Ottona jest demilitaryzacja świętego wzgórza. Pozycje opuszczone przez żołnierzy zajmują archeolodzy i architekci.

W jesiennym numerze „Revue des Deux Mondes” z roku 1838 przeczytać można list, który dobrze maluje stan zabytków: „Pan także, drogi Przyjacielu, widział i podziwiał Akropol; ale aby się tam obecnie dostać, musi Pan przejść cały pierścień fortyfikacji, trzeba ominąć bastion, potem jedną i drugą baterię. Doszedłszy do stóp Propylejów szuka Pan na próżno Propylejów. Przed sobą ma Pan magazyn prochu, otoczony grubymi murami, wśród których z trudem można zauważyć uwiecznione kolumny. Idąc dalej tą drogą, przez wąskie przejście na prawo, szuka Pan daremnie świątyni bogini zwycięstwa Bezskrzydłej. Ale to było przecież tutaj, mówi Pan do siebie, trzymając w ręku książkę Pauzanasza, to właśnie tutaj, z tego miejsca, skąd widać morze i gdzie Egeusz ongiś – z okiem utkwionym w okręty, które miały przywieźć syna jego Tezeusza, zwycięzcę Minotaura – rzucił się ze skały, zmylony czarnymi żaglami, które ujrzał na horyzoncie. To właśnie tutaj, w tym miejscu, powinna być świątynia Nike Bezskrzydłej. Ale tę budowlę obaliły działa Wenecjan w roku 1687, a ręce Turków rozproszyły materiały, zabrały marmury i samo miejsce uczyniły niemożliwym do rozpoznania. Znalazłszy się wreszcie na Akropolu, wciąż szukając Propylejów, chce Pan przynajmniej odkryć Pinakotekę, która stanowiła lewe skrzydło tego wspaniałego wejścia. Teraz odnajdzie Pan tylko wśród stłoczonych domów tureckich jedną salę wypełnioną odłamkami na trzy czwarte jej wysokości. W tej właśnie sali architekt Stuart usiłował zrekonstruować świątynię zwycięstwa z powodu niemożności znalezienia jej gdziekolwiek indziej”.

W pierwszych latach monarchii rozważano problem lokalizacji nowej siedziby królewskiej.

Niemiecki architekt neoklasycyzy, Karl Friedrich Schinkel, zaprojektował nowy Akropol. Makieta tego nie zrealizowanego na szczęście marzenia wprawia nas dziś jeszcze w zakłopotanie i grozę. Partenon ginął w powodzi portyków, kolumn i ciężkich rotund. Tę fałszywą architekturę miano w dodatku upiększyć wiszącymi ogrodami, tarasami róż, kępami drzew cyprysowych i palmami. Nad kamienną dekoracją (jak ze złej opery) wznosić się miał pomnik Ateny mało mającej wspólnego z duchem Fidiasza.

Niewielu turystów, zwiedzających obecnie Akropol, zdaje sobie sprawę, że to, co widzą, jest dziełem mozolnej, trwającej przeszło sto lat rekonstrukcji. Słowo rekonstrukcja jest terminem mylącym. Na określenie tych prac używa się neologizmu – *anastylos*⁸⁸, co oznacza ponowne wzniesienie kolumny, a w szerszym tego słowa znaczeniu określa wszelkie prace związane z ułożeniem według pierwotnego porządku i umocnieniem autentycznych fragmentów architektury, zgodnie ze ścisłymi zasadami archeologicznymi.

Pod koniec lat trzydziestych ubiegłego wieku wykonany został pierwszy *anastylos* świątyni Ateny Nike, zburzonej przez Turków. W czasie tych prac popełniono jednak dwa kardynalne błędy: nie umocniono bastionu, na którym wznosiła się świątynia, nie zbadano także antycznych fundamentów. W sto lat później musiano budowlę kamień po kamieniu zdemontować i wznieść ją ponownie.

Prosta, zdawałoby się, zasada *anastylos* nastęrcza jednak w praktyce szereg problemów niełatwych do rozwiązania. Grecki architekt Balanos, który kierował pracami na Akropolu w naszym stuleciu, tak opisuje trudności z jednym tylko fragmentem architektury Erechtejonu:

„Litografia Grzegorza Soutzo pokazuje nam fasadę z kariatydami niemal kompletnie zburzoną w roku 1827. Efor Pittakis znalazł w mieście głowę kariatydy, która została poddana zabiegom konserwatorskim przez rzeźbiarza bawarskiego Imhoffa. Fragment popiersia tej kariatydy, leżący obok strony wschodniej świątyni, został odnaleziony i odnowiony przez rzeźbiarza greckiego Androuliego podczas prac Paccarda w roku 1844. Sklepienie, uzupełnione nowymi blokami marmuru, podtrzymywane było przez drewniane kolumnienki, które w roku 1872 zastąpiono żelaznymi. Jedna z tych żelaznych podpór przechodziła przez terakotową kopię kariatydy (oryginał wywieziony został przez Elgina do Londynu) i podtrzymywała część sklepienia. Ale głowy kariatyd, nawet tej odnowionej w roku 1844, znajdowały się w bardzo niedobrym stanie, ponieważ źle osadzone żelazne podpory poruszyły się; ponadto trzeba było zmienić kariatydę z terakoty na kariatydę z cementu. Podmurowanie portyku należało również zmienić. Z tych rozlicznych powodów postanowiono rozebrać zupełnie całą fasadę i złożyć ją na nowo”.

Odbudowa świątyń greckich pozwoliła w praktyce zapoznać się z sekretami antycznej

⁸⁸ *anastylos* (*ana* – na nowo, *stylos* – kolumna) – anastyloza (gr.); ponowne ustawienie kolumn.

architektury. Pierwsze dokładne pomiary Partenonu przeprowadził w roku 1845 uczonego angielskiego Francis Cranmer Penrose. Wychwycił on subtelne korektury optyczne, jak na przykład lekkie odchylenie od linii horyzontalnej stylobatu, wynoszące 228 milimetrów, co stanowi jedną tysięczną szerokości głównej świątyni Akropolu. To, co przez długie wieki uchodziło za dzieło chłodnej geometrii, okazało się w rzeczywistości skomplikowaną grą linii zakrzywionych.

Anastylos Partenonu, którym kierował Balanos, ułatwiło odkrycie, że bębny, z których składa się kolumna, znaczone w starożytności tą samą literą oraz symbolem określającym kolejność nakładania kamieni. Brakujące części kolumn zastąpiono odlewami cementowymi, ponieważ nowy marmur nie posiadałby słynnej partenonńskiej złotej patyny. Prace wymagały wielkiej, chciałoby się rzec, zegarmistrzowskiej precyzji. Nowe naoliwione bloki architrawu, konieczne do wzmocnienia konstrukcji, wsunięto dokładnie w miejsce brakujących fragmentów. Z godnym podziwu taktem powstrzymano się przed rekonstrukcją kompletną, która mogłaby przemienić Partenon w smętną cytadelę akademickiego klasycyzmu.

Wysoko w górze – on!

Wewnętrzny okrzyk w tonacji jasnej i prawie tryumfalnej.

Droga była długa i zawila, a szansa znikoma, że dotrę do celu. Trzeba było pokonać przeszkody, mury urzędów, zamknięte drzwi, korytarze i całą masę rozmienionych na drobne cerberów za biurkami, wahających się czy przybić magiczną pieczęć, trzymających, płatających w palcach nitkę mojej przygody.

A przecież można poprzestać na relacji innych, na świadectwach rzeczoznawców, można ostatecznie zgodzić się, że przedmiot naszych marzeń będzie zawsze poza zasięgiem wzroku i dotyku. Skąd więc ta przemożna wola konfrontacji, ta pasja pchająca do zbliżenia fizycznego, pożądanie, aby położyć ręce, zjednoczyć się cielesnie, a potem oderwać się, odejść i unieść ze sobą – co? Obraz? Dreszcz?

Nigdy nie przestawałem wierzyć, że Akropol istnieje realnie i spotkanie twarzą w twarz nie było wcale konieczne dla umocnienia tej wiary. Akropol był cudem rzeczywistym. Nie wodził zmysłów na pokuszenie, nie obiecywał, że będzie czymś więcej niż jest. Spełniał się cały, był równy samemu sobie.

Powtarzałem sobie tedy niezdatną formułę: on jest i ja jestem, a ogromna przestrzeń czasu, dzieląca daty naszych urodzin, kurczyła się, nikła. Byliśmy współcześni.

Do Aten dotarłem późnym popołudniem. Szukanie hotelu, złośliwości bagaży, pierwsze niepewne błądzenie po mieście. Tracenie drogocennego czasu na pisanie kartek, picie kawy, oglądanie wystaw. Zdałem sobie sprawę, że podświadomie przeciągam moment spotkania z Akropolem, jakbym usiłował przez to wzmocnić siłę doznania.

Była już noc. Wokół wzgórze prawie pusto. Jeśli dobrze przypominam sobie tę chwilę,

zaczęłam liczyć, po prostu liczyć kolumny – osiem, siedemnaście i znów osiem, siedemnaście, dokładnie tyle, ile rysowało się w zeszytach szkolnych. Tak jakbym chciał ten nieoczekiwany spadek przyjąć chłodno i racjonalnie.

Wkrótce uświadomiłem sobie, że istnieją we mnie dwa Akropol: dzienny i nocny. Pierwszy był analityczny, z głową w przewodniku. Sprawdzanie planu, badanie struktury całości, dotykanie kamieni, wyobrażanie sobie tego, co zginęło – trochę jak studium anatomii wykopaliskowego zwierza.

Pierwsze próby oswojenia się i wyrobienia sobie osobistego stosunku do zabytku. Wybrałem „dla siebie” Propyleje i Partenon dla ich rozmachu, masy i porządku. Świątynia Nike była zbyt filigranowa, aby odczuć jej kamienną materialność, sprawiała na mnie wrażenie udanej kopii, dobrego wypracowania na tematy klasyczne. Najtrudniej było mi znaleźć porozumienie z Erechtejonem. Portyk kariatyd szpeciły metalowe rury podpór, odbierające budowli sens i zamierzoną lekkość. Same kariatydy, okaleczone i odarte z wdzięku, zatrzymane były jakby w połowie drogi między kształtem ludzkim a kolumną. Nad ciemną sadzawką starych ateńskich kultów ta jońska świątynia zdaje się mówić o niemożności połączenia dawnej wiary z nowym wyrazem architektonicznym.

Drugi Akropol – nocny, zapalony na niebie, oddający się spojrzeniu jako całość. Siadywałem na Wzgórzu Muz, tuż koło pomnika Filopapposa. Z dołu, z ubogiej dzielnicy Plaka, dochodził gwar banalny i codzienny. Białe domy jarzyły się wapnem w ciemności. W powietrzu unosiła się woń baraniny, oliwy i czosnku. Akropol w wieńcu cebulowych zapachów. Na lewo, wśród drzew, odbywało się co wieczór widowisko *Son et Lumière*⁸⁹. Chóry Sofoklesa płakały na przemian po francusku i po angielsku. Światło wydobywało z nocy fragmenty świętego wzgórza. Rzucany z reflektorów czerwony blask imitował pożary.

Akropol był dla mnie wtedy rzeźbą; nie zespołem architektury, ale właśnie rzeźbą. Zrujnowana kolumnada południowa Partenonu, ścięte nisko pnie kolumn wywoływały skurcz serca. Kamienie walczyły z nacierającą pustką.

Z planu estetycznego Akropol przesunął się w mojej świadomości na plan historii. Nie mogłem powtórzyć ani wzruszenia, ani modlitwy humanisty ubiegłego wieku. Przez gardło nie mogły mi przejść słowa racjonalistycznej wiary: „*O noblesse, o beauté simple et vraie! Déesse dont le culte signifie raison et sagesse, toi dont le temple est une leçon éternelle de conscience et de sincérité*”⁹⁰.

⁸⁹ Son et Lumière – dźwięk i światło (fr.); wieczorne przedstawienie plenerowe z oświetleniem i muzyką.

⁹⁰ O szlachetność, o piękność prosta i prawdziwa! Bogini, której kult oznacza rozum i mądrość, o ty, której świątynia jest wieczystą lekcją sumienia i szczerości (fr.); E. Renan, *La Prière sur l'Acropole*.

Akropol, jaki miałem przed oczami, sprowadzony do szkieletu, odarty z ciała, był dla mnie zarówno dziełem woli, ładu, jak i chaosu, artystów i historii, Peryklesa i Morosiniego, Iktinosa i grabieżców. I dotykając wzrokiem jego ran i okaleczeń, doznawałem uczucia, w którym podziw mieszał się z litością.

Jeśli czerpałem osobliwe uczucie szczęścia zagrożonych, to wypływało ono chyba z uświadomienia sobie tego niezwykłego faktu, że „udało mi się jeszcze zdążyć”, zanim on i ja podzielimy los wszystkich tworców ludzkich na ciemnym przylądku czasu, przed niewiadomą przyszłością.

Sprawa Samos

Dla Mirosława Holuba

Kawał ziemi oderwany od azjatyckiego kontynentu – wyspa Samos na falach Morza Egejskiego, zwanego tutaj pięknie Morzem Ikara. Przestrzeń dzieląca wschodni cypel wyspy od lądu jest tak znikoma, że w pogodny dzień wytrawny pływak przepłynie ją bez większego trudu.

Wyspa ma kształt wydłużony. W części północno-wschodniej morze głęboko wrzyna się w ląd, tworząc zatokę. Tu leży główny port i stolica nosząca tę samą nazwę, co wyspa.

Teren jest górzysty. Strabon akcentując owa górzystość objaśnia, że *samos* znaczy wzgórze. Największe wzniesienia znajdują się w części zachodniej Samos. Otwarta na wschód, broni się przed zachodem pasmem gór Kerketevs sięgających 1400 m, ostro spadających do morza.

Samos ma niecałe 500 km², jest więc kruszyną w skali wielkich imperiów. Ale znaczenie tej wyspy przerasta jej naturalne wymiary.

Skolonizowana przez Greków około 1000 lat przed Chr., stała się Samos centrum kultury jońskiej na długo przed okresem świetności Aten. Wielkie budowle sakralne, a wśród nich ogromny Herajon, powstają w wieku VIII przed Chr. Świątynia ta odnowiona w wieku VII, a następnie przebudowana około roku 560 przed Chr. przez architektów Rojkosa i Teodorosa, była największym sanktuarium ówczesnej Grecji, o imponujących wymiarach: 102 m długości i 52 m szerokości. Za czasów Herodota stolica wyspy, położona amfiteatralnie nad morzem, uchodziła za jedno z najpiękniejszych miast świata.

W okresie kiedy Ateny posiadały jeszcze niewielką liczbę okrętów, potężna flota samijska panowała niepodzielnie na Morzu Egejskim, docierając do Sycylii, Epiru i licznych swych kolonii nadmorskich. Władcy Samos utrzymywali przyjazne stosunki z Egiptem i przez wschodnich satrapów traktowani byli na zasadzie równości.

Samos – ojczyzna świetnych budowniczych, inżynierów i artystów. Działała tutaj słynna szkoła rzeźbiarzy i ceramików, i tutaj właśnie doprowadzono do perfekcji sztukę wytapiania żelaza i brązu. Niezrównana była sława samijskich architektów. Do dziś podziwiać można wodociąg przebitý w skale, pochodzący z czasów Polikratesa. Kiedy Dariusz postanowił przerzucić most przez Dunaj, nadzór nad robotami powierzył architektom samijskim.

Na „renesansowym” dworze Polikratesa, tyrana Samos, syna kupca, wroga arystokratów,

mecenasa sztuk, przebywali tak znakomici poeci, jak Anakreon i Ibikos. Historia przekazała też imiona wielu sławnych malarzy samijskich: Kallifona, Teodorosa, Timotesa, Agatarchosa. Ten ostatni czynny był także w Atenach i według tradycji wprowadził malarstwo do teatru (był też autorem nie zachowanego traktatu o dekoracjach scenicznych).

Na Samos urodzili się fdozofowie: Pitagoras, Melissos, a także historycy Pageos i Durys.

Listę samijskich znakomitości można by znacznie rozszerzyć. Należałoby ją zacząć od imienia Hery, która urodzić się miała tutaj nad brzegami rzeki Imbrasos.

Odstąpimy od zwyczaju opisywania starych kamieni. Powód jest prosty, nie znam tej wyspy z autopsji, jeśli nie liczyć pocztówki sprzed I wojny światowej. Widać na niej dorycką kolumnę bez kapitelu, samotną jak fabryczny komin, wśród suchego pejzażu na tle spalonego nieba.

Zajmiemy się tutaj pewnym epizodem historycznym, zwanym rewoltą lub buntem Samos. Obejmuje on krótki odcinek czasu od roku 440 do roku 439 przed Chr. i przez wielu historyków spychany jest na margines dziejów greckich. Nam to zdarzenie natomiast wydaje się bardziej istotne i bardziej brzemienne w skutki, niż to opisują specjaliści.

Ze sprzecznych źródeł i relacji postaramy się zrekonstruować tę historię, nie tając sympatii dla pokonanych.

Otóż dwa świetne miasta jońskie: Samos i Milet – znajdowały się w permanentnym sporze. Jabłkiem niezgody była ojczyzna Biasa, jednego z Siedmiu Mędrców – Priene, położona na wybrzeżu Azji Mniejszej w pobliżu ujścia Meandra. Spory miast greckich przypominały kłótnie rodzinne, w których trudno dojść istotnych przyczyn i tego, „kto zaczął”. Obie poważnione strony należały do Związku Delijskiego, zwanego później Ateńskim Związkiem Morskim. Formalnie wszyscy członkowie Związku, a było ich ponad 200, byli na równych prawach i każdy z nich posiadał jeden głos na Zgromadzeniach Rady Związkowej. W istocie na skutek faktycznej przewagi sił głos decydujący miały Ateny.

W sporze Samos z Miletą rozsądek nakazywał, aby Ateny ograniczyły się do roli rozjemcy i nie zajmowały stanowiska po żadnej stronie. Jest rzeczą trudną do wyjaśnienia, dlaczego Perykles, wytrawny przecież polityk, dał się wciągnąć w niebezpieczną grę – jeśli nie przyjmujemy plotkarskiej informacji Plutarcha, że stało się to za namową Aspazji, która pochodziła z Miletu. Tak czy inaczej Ateny opowiedziały się przeciwko Samos, przyznając Miletowi sporne miasto Priene. Samijczycy poczuli się skrzywdzeni i nie zgodzili się z tą decyzją. Arbitralna polityka Aten stawiała pod znakiem zapytania ich pozycję wolnego państwa. Chodziły słuchy, że rząd samijski nie ugnie się i będzie walczył o swoje prawa, a nawet że wystąpi ze Związku Ateńskiego, co byłoby niebezpiecznym precedensem, gdyż taki krok mógł pociągnąć za sobą łańcuch buntów innych miast greckich przeciwko Ateńczykom. Przeto Perykles postanowił działać szybko i zdecydowanie, to znaczy prowadzić politykę interwencji.

W lecie 440 roku przed Chr. korpus ekspedycyjny w sile czterdziestu trier wypływa z Pireusu, aby poskromić zbuntowanych.

Pierwszy akt dramatu samijskiego rozegrał się błyskawicznie. Zaskoczona wyspa wpadła w ręce Ateńczyków, którzy rozwiązali istniejący rząd, stworzyli nowy, dający gwarancję wierności, zostawili na wyspie garnizon, a także wzięli 50 najznakomitszych obywateli i tyleż dzieci jako zakładników i odesłali na wyspę Lemnos.

Sprawa wydawała się definitywnie załatwiona. Apologeta Peryklesa mówi, że Ateńczycy ustanowili na Samos rządy demokratyczne i odpłynęli do Aten. Brzmi to gładko jak sprawozdanie z wycieczki szkolnej.

Niektórzy jednak Samijczycy uciekli przed inwazją do Azji Mniejszej i tam szukali pomocy na dworze Pissuthenesa, ówczesnego dowódcy wojskowego Sardes. Zebrawszy posiłki w liczbie około 700 ludzi wylądowali nocą na wyspie, obalili narzucony rząd, sprowadzili zakładników z Lemnos, załogę ateńską zaś wydali w ręce Persów.

Z drobnego epizodu, w jakie obfitowała historia Grecji, sprawa stała się poważna, zwłaszcza że do zbuntowanych przyłączyło się Bizancjum – kolonia położona wprawdzie na północnych krańcach greckiego świata, ale ważny punkt handlowy i strategiczny. Perykles postanowił działać bezwzględnie, dopóki nie zawiąże się koalicja antyateńska.

Rok 440 – druga wyprawa interwencyjna przeciwko Samos. Operacja zakrojona była na szeroką skalę nie tylko dlatego, że brało w niej udział więcej jednostek floty niż w pierwszej wyprawie, ale także – i jest to moment polityczny – że w działaniach wojennych po stronie Aten wzięli udział sprzymierzeńcy. Charakterystyczna jest uwaga Tucydidesa, który mówi, że Perykles wysłał na Chios i Lesbos swoje okręty wojenne, żeby wezwać te państwa do udziału w wojnie. Wezwanie musiało być zatem dość kategoryczne.

Równoległe z działaniami wojennymi Perykles prowadził z właściwą sobie zręcznością akcję dyplomatyczną, mającą na celu izolowanie Samos na arenie – jeśli tak wolno powiedzieć – międzynarodowej, tak aby cały konflikt zamknął się w granicach wewnętrznogreckich. Przyznanie satrapom perskim za neutralność pewnych sum pochodzących ze skarbcza związkowego (przywódca ateński wyliczał się przed Zgromadzeniem Ateńskim z tego rodzaju wydatków prostą formułą „zużyto je na cele niezbędne”) mieści się jeszcze w granicach akceptacji. Natomiast oddanie Persom ziem greckich na wybrzeżu karyjskim wykracza znacznie poza te granice.

Druga wojna samijska toczyła się ze zmiennym szczęściem. Perykles wyruszył przeciwko wyspie na czele 60 okrętów i stoczył zwycięską bitwę z flotą nieprzyjaciela koło wyspy Tragia. Przeciwnik jednak nie został pokonany militarnie ani nie odebrano mu ducha oporu, mimo że wojska ateńskie wylądowały na Samos i rozpoczęły długie oblężenie miasta i blokadę od strony morza. Flocie interwencyjnej przyszło na pomoc 40 okrętów z Aten i 25 z Chios i Lesbos.

Dowiedziawszy się, że okręty fenickie płyną na odsiecz wyspie (nie była to prawda, gdyż w ciągu całego konfliktu Samos była najzupełniej odosobniona), Perykles wydzielił 60 okrętów z tych, które blokowały miasto, i popłynął wzdłuż wybrzeży Karii, aby przeciąć drogę Fenicjanom.

Wtedy oblężeni natychmiast rozpoczęli kontratak. Niespodziewanym wypadem, który zupełnie zaskoczył Ateńczyków, zdołali zniszczyć statki wartownicze i stoczyli z przeciwnikiem zwycięską bitwę lądową, w której wzięli wielu jeńców. Morze znów było otwarte i można było zaopatrywać się w żywność i materiały potrzebne do prowadzenia wojny. Niebo nad Samos było wówczas w kolorze nadziei. Trwało to całe 14 dni.

Perykles jednak wrócił ze swoją flotą i znów rozpoczęła się bezwzględna blokada. Z Aten, Chios i Lesbos nadeszły znów potężne posiłki w liczbie 90 okrętów.

W dziewiątym miesiącu oblężenia wyczerpana wojną wyspa poddała się. Stało się to wiosną roku 439 przed Chr.

Warunki kapitulacji były nad wyraz ciężkie. Samijczycy musieli zburzyć mury obronne, wydać swoją flotę, dać zakładników, zapłacić koszty wojny ustalone na zawrotną sumę blisko ośmiu i pół miliona drachm. Osadzono też na wyspie garnizon ateński i Samos straciło swój status miasta sprzymierzonego.

Jednym ze strategów ateńskich biorących udział w wyprawie był człowiek, który zawdzięczał swoją sławę nie przewagom wojennym, ale osiągnięciom sprzecznym z duchem wojny. W Grecji nie znana była profesja zawodowego generała. To tłumaczy, dlaczego Sofokles dostąpił wątpliwego zaszczytu stratega w tej bratobójczej wojnie, i to właśnie za sukces, jaki odniosła w teatrze jego *Antygona*. Dokładnie nie wiadomo, jakim dowódcą był poeta. Starożytni plotkarze przekazali anegdotę, z której wynika, że w całej tej wojnie najbardziej podniecała go obecność dużej liczby młodych mężczyzn.

Po drugiej stronie frontu znalazł się filozof Melissos, syn Itagenesa. Melissos dowodził znakomicie. Jego taktyczne zdolności, jego zaskakujące akcje, błyskawiczne wypady zyskały pełne respektu uznanie nawet w obozie przeciwnika. Melissos, jako się rzekło, był z zawodu filozofem – i co dziwniejsze – zwolennikiem doktryny Parmenidesa, według której byt jest jeden, wieczny, nieograniczony, nieskończony i nieruchomy. Zgodnie z doktryną mistrza, Melissos był zdania, że każda zmiana, każde stawanie się, każdy ruch jest niczym innym niż złudzeniem. Mimo to był dowódcą z krwi i kości, i bynajmniej jego prowadzenie walki nie było grą pozorów.

Tak, wojna ta nie była dialogiem poety z filozofem. Pełno w niej prawdziwej śmierci, prawdziwych ran, prawdziwej odwagi i tchórzostwa. Starożytne batalie wyobrażamy sobie na sposób operowy, nie całkiem na serio, i niemało przyczynił się do tego film historyczny. Oto po polu biegają mężczyźni odziani w komiczne stroje, trzymający w ręku anachroniczne narzędzia do zabijania. Tamta krew ma dla nas barwę zatartego fresku.

Nie znamy nawet w przybliżeniu liczby poległych i być może, gdybyśmy ją znali, nasza

wyobrażnia karmiona wielkimi liczbami, nasza wrażliwość, stępiała po tylu morderczych walkach białych ludzi, pozostałaby nieporuszona.

W czasie wojny samijskiej nie obyło się bez barbarzyńskich okrucieństw, które obie strony, zwycięzcy i pokonani, nawzajem sobie wypominają. Samijczycy, jak podaje Plutarch, wypalali na czołach jeńców ateńskich znak sowy, za co Ateńczycy w rewanżu piętnowali pojmanych obrońców wyspy znakiem samajny, słynnego okrętu wojennego z zadartym do góry przodem w kształcie ryja świni i wybrzuszonym kadłubem⁹¹.

Historyk Durys (niewspółczesny, co prawda, wypadkom) podaje, że dowódcy samijskich okrętów po przegranej wojnie przewiezieni zostali do Miletu. Tam spotkała ich kaźń. Na rynku miasta przywiązani zostali do krzyży na dni dziesięć. Kiedy byli już zupełnie wyczerpani, bito ich kijami po głowie, a zwłoki porzucano na ziemi nie pogrzebane. Durys pochodził z Samos. Apologeta Peryklesa mówił, że wyolbrzymiał nieszczęścia swej ojczyzny, aby tym samym przyczynić złej sławy Ateńczykom.

Do Aten wkraczał Perykles w wieńcu zwycięzcy. Wyrażenie jest oczywiście metaforyczne i zaczerpnięte z rzymskich zwyczajów. Wszelako entuzjazm tłumów był niebywały i głośny, jak zawsze, kiedy zwycięstwo jest dwuznaczne. Historia przekazuje wymowny epizod, którego bohaterką była Elpinika, wówczas ponad 70-letnia staruszka, siostra Kimona, wdowa po Kalliasie. Musiała to być kobieta niezwykła, a o jej życiu opowiadano nieprawdopodobne i oszczercze historie, zapewne dlatego że była odważna i inteligentna ponad miarę przeciętną. Wbrew obyczajom kobiet ateńskich, zainteresowania jej wykraczały daleko poza sprawy domowe. Ośmielała się – to zapewne budziło świętą grozę – zabierać głos w sprawach publicznych, które były zastrzeżone dla mężczyzn. Mówiono o niej między innymi, że odegrała rolę pośrednika w krótkim „zawieszeniu broni” między Kimonem a Peryklosem w roku 461 przed Chr.

Otóż wśród ogólnego entuzjazmu, kiedy kobiety wieńczyły Peryklesa i zdobyły wstążkami, „jakby jakiegoś zwycięskiego zapaśnika”, podeszła do niego Elpinika i rzekła:

„Zaiste, godne to wszystko podziwu i tych wieńców, Peryklesie, za to, żeś nam zgubił tylu dzielnych obywateli, i to nie w wojnie z Fenicją ani z Persją, jak mój brat Kimon, lecz przy przywracaniu do porządku miasta, związanego z nami węzłami przymierza i krwi”.

Jak podaje Plutarch, Perykles wykręcił się cytatem z Archilocha, cytatem, który nie był ani bardzo na temat, ani bardzo wytworny: „Nie namaszczałabyś się wonnościami, skoro jesteś tak stara”.

Nie wszyscy ludzie w Atenach widzieli sprawy równie jasno jak Elpinika-Kasandra. Do

⁹¹ Plutarch z Cheronei, *Żywoty sławnych mężów [Sulla], [Perykles]*.

murów miasta zbliżała się burzliwa fala wojny peloponeskiej. Ateny miały jeszcze zaledwie kilka lat snów o potędze. Tylko z pozoru wszystko szło dobrze na tym najlepszym ze światów. Samos, podobnie jak kilka lat wcześniej Eubeja, zostało pokonane i upokorzone, przewaga Aten jeszcze raz potwierdzona, ale nienawiść przeciwko zwycięzcom rosła, zwłaszcza na wschodzie imperium, po haniebnym oddaniu greckich ziem karyjskich Persom.

I ma chyba rację Maria Delcourt, autorka znakomitej monografii o Peryklesie, kiedy mówi, że właśnie od tej, zdawałoby się drobnej wojny, rozpoczął się upadek ligi morskiej, a także zmierzch peryklejskiej polityki.

Celem Związku Ateńskiego założonego po bitwie pod Salaminą było, jak wiemy, wyzwolenie miast jońskich i zabezpieczenie przed inwazją Persów. Ale kiedy niebezpieczeństwo najazdu barbarzyńców minęło, skarbiec związkowy został przeniesiony z Delos do Aten i stał się narzędziem polityki ateńskiej. Instytucja okazała się trwalsza niż cele, które powołały ją do życia. Przypadek znany nie tylko z dziejów antycznych.

Jedną z podstawowych skaz owego Związku, związku przecież dobrowolnego, było to, że nie można było z niego wystąpić bez ryzyka wojny. Sprzymierzone państwa-miasta musiały uznać faktyczną przewagę Aten, co najlepiej można śledzić w sferze nacisków ekonomicznych.

Większość miast płaciła do wspólnego skarbcza od jednego do trzech talentów rocznie – to znaczy sumę znośną, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę inflację. Ale ta kwota mogła być dowolnie podnoszona i trybut narzucony Samos po nieudanej rebelii ustalono na 80 talentów rocznie, do czego doszły koszty wojny, które buntownicy musieli zapłacić Atenom w wysokości 1000 talentów – co stanowiło już rujnujące obciążenie dla najbogatszego nawet miasta-państwa. Z tych samych powodów (bunt przeciwko Atenom) Egina płaciła 30 talentów. Po pewnym czasie trybut obniżony został do 13, a nawet do 8 talentów. Było w tej praktyce coś, co można by określić mianem premii za lojalność.

Arbitralność w ustalaniu świadczeń finansowych była nie tylko instrumentem polityki ateńskiej, ale przejawiała się także tam, gdzie nie wchodziły w grę czynniki polityczne. Trudno wyjaśnić, dlaczego Tazos płaciło 30, a znacznie bogatsze Bizancjum tylko 15 talentów. Ta podatkowa samowola nie przyczyniała się zapewne do popularności Ateńczyków.

Komediopisarz Teleklejdes mówi, że „Ateńczycy oddali Peryklesowi:

Dochód ze Związku Miast i same miasta,
by jedne wiązał, rozwiązywał inne,
tu mur, by w górę z kamienia wyrastał,
a tam, by walił się w gruz i ruinę;
przymierza, wojsko i władzę z pokojem,
i swe bogactwo, całe szczęście swoje...”.

Jedną z rzeczy, którą ludzie i narody wybaczą najtrudniej, jeśli przebaczą ją w ogóle – jest upokorzenie. Naga klęska militarna na polu walki jest jeszcze do zaakceptowania, bo można ją zawsze złożyć na karb przewagi przeciwnika, zaskoczenia czy nieumiejętności własnych wodzów. Ale zraniona duma nie goi się łatwo.

Do ateńskiego repertuaru metod upokarzania zwyciężonych – obok zakładania kolonii wojskowych w kraju sprzymierzeńców niepewnych – należało burzenie murów zdobytego miasta. Tak stało się z Samos i Eginą. Miasto bez murów było jakby wystawione na pośmiewisko, zdane na opiekę narzuconego protektora i pozbawione jakiegokolwiek obrony wobec każdego najeźdźcy. Była to polityka tyleż absurdalna, co krótkowzroczna. Lepiej rozumiał te sprawy krewny Peryklesa, Alcybiades, gdy w roku 417 przed Chr. pertraktował o przymierze z Argos, obiecując wybudowanie długiego muru łączącego miasto z morzem na wzór długiego muru ateńskiego. Nikt nie miał chyba złudzenia, że Alcybiades traktuje Argos, czy potem Patras, z bezinteresowną miłością.

Tak więc Ateny były zwycięzcą w wojnie z Samos, ale było to zwycięstwo moralnie i politycznie wątpliwe. Oficjalny entuzjazm był ogromny. Perykles – jak pisze Ion – czuł się nadzwyczaj dumny mówiąc, że „Agamemnon dziesięć lat zdobywał miasto barbarzyńskie, a on w ciągu dziewięciu miesięcy zdobył czołowe i najpotężniejsze miasto jońskie!”. Dla sprawiedliwości dodajmy, że to wybujałe samochwalstwo nie bardzo zgadza się z tym, co wiemy o Peryklesie, i należy je przypisać jakiemuś ulicznemu pochlebcy.

Ateny były nie tylko kolebką demokracji, ale także ojczyzną retorów i sofistów. Jeśli nie można uporać się ze sprawą mogącą budzić zastrzeżenia moralne lub wręcz moralnie naganną, należy wymyślić termin, dzięki któremu zło zostaje niejako zawoalowane. W takim postępowaniu dostrzec można elementy magii, wiarę, że osnową świata są nie tylko rzeczy i zdarzenia, ale że słowo ma moc konstytutywną i kreacyjną. Jacob Burckhardt w swej *Historii kultury greckiej* mówi z podziwem, a także z ironią o ateńskiej umiejętności mówienia o najgorszych rzeczach z przezorną delikatnością, o zdolności w wynajdywaniu eufemizmów. I tak nazywano więzienie – mieszkaniem, trybut – dopłatą, okupację – ochroną.

Tradycyjnym głosem opinii społecznej była komedia attycka, artystyczne urzeczywistnienie zasady głoszącej, że obywatel demokratycznego państwa ma prawo krytyki polityków i instytucji. Jest rzeczą zastanawiającą, że bezpośrednim skutkiem wojny samijskiej było wprowadzenie cenzury – pierwsze w dziejach Aten – zakazującej poetom komicznym przedstawiania osób na scenie pod prawdziwym nazwiskiem. Nie jest to bynajmniej szczególnie bez znaczenia. Świadczy o zarysowującym się głębokim kryzysie wewnętrznym.

Drastyczne zatamowanie swobody wypowiedzi dowodzi, że nastroje ludności musiały być w istocie inne niż oficjalny entuzjazm i optymizm. Jest więcej niż prawdopodobne, że podnosiły się

głosy krytyki, a Elpinika – piękny przykład sumienia obywatelskiego – nie była wyjątkiem.

Historycy bronią Peryklesa mówiąc, że to nie on był autorem dekretu o cenzurze. Podobno przegłosowano ów akt na zgromadzeniu ludowym w czasie jego nieobecności w Atenach. Wreszcie – mówią obrońcy – sam zakaz nie utrzymał się i po pewnym czasie (po dwu sezonach teatralnych) zaniechano tej praktyki niegodnej ojczyzny demokracji.

Ojczyzny demokracji? Tak, w morzu barbarzyństwa była to jednak ojczyzna demokracji, mimo że narzucała czasem wolę innym; zapatrzona w swój ideał, w swoją misję, w swoją jedynie słuszną drogę, po której usiłowała prowadzić skłócony świat greckich partykularyzmów.

Nie było naszym zadaniem raczenie czytelnika wątpliwą uciechą, że nie ma w historii spraw czystych, że pod hasłem wolności kryje się często przemoc, co dla niektórych jest wygodnym usprawiedliwieniem aktualnych i przyszłych nadużyć słów i siły. Bo skoro sam Perykles był „imperialistą”...

Jaki więc pożytek może mieć przypomnienie tej odległej afery; jaki morał wypływa z tej opowieści o ujarzmianiu wyspy Samos? Myślę, że ten: najeźdźcy wracając z wojny przynoszą w fałdach mundurów, na podeszwach butów – zarazek, od którego chorować będzie ich własne społeczeństwo, ich własne swobody.

O Etruskach

Etruskowie są modni, jakby odkryto ich niedawno, jakby byli ostatnią rewelacją archeologii śródziemnomorskiej. Zainteresowanie tą tajemniczą cywilizacją przekracza kręgi uczonych. Pojawiają się na łamach dzienników nazwy zburzonych miast etruskich i podniecające, a fałszywe informacje o ostatecznym odczytaniu ich pisma. Literaci wielu narodów produkują powieści wskrzeszające tragiczne dzieje poprzedników Rzymian. Przewodniki po Italii zachwalają turystom miasta leżące dotychczas poza tradycyjnymi szlakami wojaży: Volterre, Tarkwinię, Veii. Nie ostatnia i nie pierwsza fala etruskomanii.

Archeologom i historykom udało się zrekonstruować dzieje Etrusków w Italii od IX w. przed Chr. Między rzekami Tybrem, Arno a wybrzeżem Morza Tyrreńskiego stwarzają pierwszą przed Rzymianami historyczną cywilizację. „Taka była potęga Etrurii, że jej sława wypełniała ziemię i morze od jednego do drugiego krańca Italii, od Alp do wybrzeża Messyny”⁹² – mówi Tytus Liwiusz. Po trwającym kilka wieków okresie świetności rozpoczyna się około IV w. przed Chr. schyłek krótkotrwałego, jeśli tak można rzec, imperium. W II w. przed Chr. Etruria jest już doszczętnie wchłonięta i strawiona przez potężnych Rzymian. Historycy zwycięzców pracują nad zatarciem roli pokonanych. My, którzy jesteśmy dziedzicami zbrodni i przemilczeń, staramy się wymierzyć sprawiedliwość przeszłości; przywrócić głos wielkim niemowom historii, ludom, którym nie powiodło się w dziejach.

Gdyby zapytano nas, jakie wydarzenia czy procesy w historii starożytnej uważamy za najważniejsze, wymienilibyśmy bez wahania walkę Greków z Persami i podboje Rzymian. Zaważyły na tym niewątpliwie potężne autorytety dziejopisarzy greckich i rzymskich. Dlatego zapewne niezmiernie doniosły i trwający od zarania czasów historycznych proces kolonizacji basenu Morza Śródziemnego zarysowuje się w naszej świadomości mgliście. Dla samych historyków ta wielka przygoda ludzkości jest jak fresk w wielu miejscach zatarty, palimpsest o wielu warstwach, malowany rękami Greków, Fenicjan, Etrusków, Kartagińczyków, Rzymian, wyłaniający na powierzchnię dziejów mało znane ludy, po których pozostało tylko imię i pamięć ich klęski.

⁹² *Dzieje Rzymu od założenia miasta*, ks. I.

Na początku pierwszego tysiąclecia przed Chr. ludność Italii żyła na poziomie przedhistorycznym, podobnie jak ludność całej Europy pozostającej poza wielkimi ogniskami cywilizacji Wschodu. Rzadko rozsiane na półwyspie wsie, lub co najwyżej ufortyfikowane skupiska na szczytach wzgórz, zamieszkane były przez rolników i pasterzy posługujących się prymitywnymi narzędziami z miedzi i brązu. W wieku IX przed Chr., a może dopiero VIII przed Chr., Italia została wyrwana za sprawą Etrusków z długiego prehistorycznego snu. Od doliny Padu aż do Kampanii, wzdłuż wybrzeży Morza Tyrreńskiego, powstają ludne miasta, rozwija się handel, rodzi się metalurgia, rozkwita po raz pierwszy na półwyspie wielka sztuka. Etruskowie mają wszelkie warunki, aby stać się mocarstwem cywilizacji śródziemnomorskiej: żyzną ziemię i kopalnie, armię i flotę. Starożytni przypisywali im szereg ważnych wynalazków w dziedzinie nawigacji, między innymi odkrycie kotwicy – i nawet jeśli nie jest to informacja ścisła, wskazuje ona, że Etruskowie zajmowali poczesne miejsce wśród starożytnych potęg morskich.

Lacjum, kolebka rzymskiej potęgi, jest do połowy VII w. przed Chr. mało ważnym krajem, zamieszkanym przez czterdzieści szczepów pozostających z sobą w dość luźnych związkach. Czym był wieczny Rzym, zanim przemówiła Klio? Na sławnych Siedmiu Wzgórzach parę mizernych wiosek i ludność różnego pochodzenia i zwyczajów, żyjąca w stanie bliskim barbarzyństwa.

Trzeba odesłać Romulusa i Remusa wraz z ich karmicielką do muzeum mitów i powiedzieć, że właściwymi twórcami Rzymu byli Etruskowie. Narzucili łatwo swą dominację Latynom i założyli stolicę przyszłego imperium, w której od 616 do 510 r. przed Chr. panowała etruska dynastia Tarkwiniuszy. Fakt, że Rzym był w tym czasie miastem etruskim, nie jest bynajmniej hipotezą, ale znajduje potwierdzenie w ostatnich odkryciach archeologicznych. Znalezione bowiem nie tylko ceramikę attycką, podobną do tej, jaką znajduje się w miastach etruskich, ale także resztki najstarszych murów, które tradycja przypisuje Serwiuszowi Tuliuszowi, drugiemu z kolei królowi z dynastii Tarkwiniuszy. Dziełem etruskich inżynierów jest *Cloaca Maxima*⁹³, odwadniająca bagniste tereny Forum. Na Kapitolu pod obecnym muzeum konserwatorów odkryto świątynię Jupitera o charakterystycznej dla budownictwa tokańskiego potrójnej celli. Dwie inskrypcje etruskie wydobyte na jaw kilka lat temu w Rzymie dowodzą, że w mieście tym mówiono także po etrusku. Być może, iż nazwa Rzymu nie pochodzi od Romulusa, ale od etruskiej rodziny Ruma, a już na pewno najstarszy symbol Rzymu – owa wilczyca – jest brązem etruskim z V wieku przed Chr. Latynowie zrazu nie stanowili dla Etrusków ani konkurencji, ani niebezpieczeństwa. Ich prawdziwymi wrogami byli Grecy.

Tradycyjnie umiejscawia się Etrusków między rzekami Arno a Tybrem. Istotnie, zasadniczym ich centrum była dzisiejsza Toskania, ale apetyty ich były daleko większe. Na

⁹³ Cloaca Maxima – największy ściek (łac.)

północy Lombardia – spichlerz Italii – na południu Kampania. Etruskowie zdobywają Korsykę i Sycylię. Jeśli wierzyć Diodorowi z Sycylii, projektowali także kolonizację bajecznej wyspy położonej na oceanie, poza Słupami Herkulesa (Madery zapewne lub jednej z Wysp Kanaryjskich), a więc na kresach ówczesnego świata.

Kolonizatorów poprzedzali zwykle kupcy. Widowym śladem obecności Etrusków jest dla archeologów charakterystyczny dla ceramiki tokańskiej czarny *bucchero*⁹⁴, który odkopano w Marsylii, na Półwyspie Iberyjskim i w Kartaginie.

Bardzo wczesnie drogi Etrusków i Greków skrzyżowały się jak miecze. Już pierwsi kolonizatorzy z Grecji natrafiają na Toskańczyków we wschodniej Sycylii; wybucha walka o Wyspy Liparyjskie. W Kampanii udaje się Grekom utrzymać port Kume niedaleko etruskiej Kapui, a więc w środku wrogiego kraju. Etruskowie sprzymierzają się z Kartagińczykami i w roku 540 przed Chr. pokonują flotę grecką u wybrzeży Korsyki. Zwycięstwo wcale nie decydujące i chwiejna równowaga sił trwać miała zaledwie kilkadziesiąt lat.

Wiek V przed Chr. zwiastuje dla Etrusków początek długiej agonii. Utrata Rzymu byłaby dla nich nie tak groźna, gdyby nie oznaczała narodzin przyszłych panów świata. Rzymianie, podporządkowawszy sobie Lacjum, przystępują niemal natychmiast do ataku na pobliskie Veii. Relacja o walkach tych dwóch miast, jaką znaleźć można u historyków rzymskich, a zwłaszcza u Tytusa Liwiusza, świadczy wymownie o tym, że właśnie w tym czasie zakiełkowała rzymska idea podboju świata. Dramatyczny i epicki opis trwających sto lat zmagania wzorowany jest jakby na wojnie trojańskiej. Miasto pada ostatecznie w roku 396 przed Chr. (po dziesięcioletnim jak Troja oblężeniu), ludność idzie w niewolę lub zostaje zmasakrowana; posąg Junony zdobić będzie nowo zbudowaną świątynię rzymską na Awentynie. Los Etrurii jest przesadzony. Upadek świątynnych miast etruskich: Tarkwinii, Caere, Vulci, Volsinii jest tylko kwestią czasu.

Tego samego dnia – jak podaje Nepos – kiedy okrutny Marcus Furius Camillus zdobywa Veii, do doliny Padu wdzierają się hordy Celtów⁹⁵. Okrążenie Etrurii jest tedy zupełne. Celtowie zadowolają się wprawdzie zrazu zdobyciem żyznej doliny (stwarzają tam Galie Przedalpejską), ale ich łupieżcze rajdy nekają kraj. Wojna z Rzymianami mimo okrucieństw jest jednak wojną dwóch równorzędnych, zbliżonych do siebie poziomem cywilizacyjnym partnerów. Można w niej stosować przyjęte zasady taktyki i dyplomatyczną grę. Anarchiczne bandy barbarzyńców spadały jak grad, posucha i zaraza. Budzić musiały podobne uczucie zgromy i bezradności, jak Wikingowie najeżdżający średniowieczną Europę.

Mówiąc o walce Etrusków z Rzymianami popełniamy mylące uogólnienie. W istocie Etruria nie była nigdy państwem we współczesnym tego słowa znaczeniu, ale konfederacją miast i

⁹⁴ *bucchero* – (*bucchero nero*) najstarsza ceramika etruska koloru czarnego

⁹⁵ *Dzieje Rzymu od założenia miasta*, ks. V.

podległych im obszarów, bez wyraźnego politycznego centrum, podobnie jak to się działo w Grecji starożytnej. Istniało wprawdzie zjawisko hegemonii (Tarkwinia, Caere, potem Chiusi), ale politykę prowadziło każde miasto osobno. Ułatwiło to niezmiernie działanie Rzymianom. Nigdy połączone armie Etrusków nie starły się z Rzymianami. W okresie śmiertelnego zagrożenia jednych miast inne paktowały z Rzymem albo obojętnie przypatrywały się katastrofie sąsiadów. Nie potrafili także Etruskowie wykorzystać na swoją korzyść chwilowych klęsk przeciwników, jak np. w czasie wojen samnickich. Rzymianie natomiast eliminowali z walki metodycznie, z łacińską konsekwencją, jeden punkt oporu po drugim. Jeśli zawierali rozejm, to po to, aby przygotować się do następnej kampanii. Pokój dla Etrusków oznaczał fatalistyczne oczekiwanie na cios. Ich taktyką była rozpaczliwa defensywa.

Być może, iż obraz losu Etrusków jest rezultatem tego, że widzimy ich wyłącznie w świetle obcych źródeł. Są więc jakby przedmiotem historii, a nie świadomym podmiotem, który usprawiedliwia się, tłumaczy swoje klęski, dopomina się o łagodny wyrok potomnych, o łaskę wyrozumiałości.

Jeśli nawet przyjąć, że znamy wszystkie istotne fakty z dziejów Etrurii, jakże błada i abstrakcyjna wydaje się opowieść o nich wobec historii Rzymu pełnej krwistych postaci – bohaterów, senatorów i generałów. Ale ten brak okupiony zostaje nowym widzeniem dziejów ludzkiej rasy i wskazuje na biologiczny charakter zjawiska cywilizacji. Historia Etrusków jest jakby historią wymarłego gatunku zwierząt. Wysoki, pozornie nieludzki punkt obserwacji.

Pierwotnie miasta-państwa etruskie były monarchiami, na których czele stał suweren, *lucumo*⁹⁶, posiadający władzę religijną, prawodawczą i wojskową, a więc absolutną. Kryzys tej władzy zarysował się podobnie jak w Rzymie między VI a V wiekiem przed Chr. i podobnie jak na całym świecie symbole okazały się bardziej żywotne od tego, co oznaczały pierwotnie. Złota korona, *sella curulis*⁹⁷ – tron ozdobiony kością słoniową, różgi liktorskie i topór o dwu ostrzach (podobny jak u Minojczyków) „wypożyczone” były przez Rzymian i stały się atrybutami wyższych urzędników i triumfatorów. W Etrurii pierwotna monarchia zmieniła się w rządy oligarchii broniącej swoich przywilejów przeciwko groźbie jedyńowładztwa i ruchom plebejskim, które mimo buntów, jak np. w roku 264 przed Chr. w Volsinii, nie zdołały zmodyfikować sztywnego i skomplikowanego systemu społecznego. Arystokratycznemu państwu etruskiemu obce było stopniowe wyrównywanie różnic między patrycjatem a plebejuszami, znane z pierwszych wieków republiki rzymskiej. Nawet podziwiani artyści – rzemieślnicy greccy, którzy bardzo wcześnie osiedlili się w Toskanii, mieli w tym kraju polityczny status meteków. Cóż powiedzieć o niewolnikach? Ich dola nie była lepsza niż w

⁹⁶ lucumo – możnowładca etruski

⁹⁷ sella curulis – rodzaj tronu

innych państwach starożytności, o czym świadczą krwawo tłumione bunty. Nie należy dowierzać temu, co mówią o łagodności Etrusków sentymentalni powieściopisarze ani scenom z fresków (są one bowiem filmem z życia wyższych sfer), gdzie wśród stołów uczyty krzątają się piękni podczaszowie, fleciści i tancerze.

Tysiące posążków etruskich wojowników, jakie można spotkać w muzeach włoskich, budzą uczucie zachwyty i łagodnego politowania zarazem. Wysmukłe ciała, piękne głowy ozdobione hełmem, włócznie trzymane lekko jak pióro przypominają raczej baletmistrzów niż krwiożerczych żołnierzy. Wbrew tej estetycznej sugestii wydaje się, że armia Tyrreńczyków była wcale bitna, a na pewno bardzo dobrze wyposażona i zorganizowana. Brąz znaleziony w pobliżu Bolonii przedstawia ją w marszu. Na czele znajduje się kawaleria, następnie piechota, wyraźnie podzielona na trzy szyki: pierwszego uderzenia i dwu linii ciężkozbrojnych. Pochód zamykają żołnierze uzbrojeni lekko. Odpowiada to dokładnie podziałowi legionu rzymskiego na *hastati*⁹⁸, *principes*⁹⁹ i *triarii*¹⁰⁰. Nawet w tej dziedzinie Etruskowie stali się – na swoją zgubę – nauczycielami Rzymian.

Czymże jest jednak strategia i pancerz wobec gromu boga i losów zapisanych w górze? Etruskowie byli bez wątpienia jednym z najbardziej religijnych narodów starożytności, ale ich wiara, jeśli nawet zsyłała na nich konsolację, nie dawała im na pewno skrzydeł, jak Arabom czy Żydom. Przeciwnie, zdawała się oplatać wyznawców gęstą siecią fatalizmów.

W przeciwieństwie do religii greckiej i rzymskiej była to religia objawiona. Pewnego dnia z bruzdy ziemi ukazała się oczom zdumionego rolnika Tarchona, założyciela Tarkwinii, istota nadnaturalna. Był to bóg Tages. Miał postać dziecka, lecz mądrość wiekowego starca. Na krzyk przerażonego Tarchona zbiegli się ludzie. Tages rozpoczął nauczanie.

To, co wiemy o religii etruskiej, zawdzięczamy komentarzom rzymskim, greckim i bizantyjskim. Pochodzą one z epoki późnej, kiedy cywilizacja Tyrreńczyków była już martwa. Tym zapewne należy tłumaczyć znikome wiadomości o tym, co stanowi esencję religii, a więc o metafizyce i moralności. Uwaga komentatorów skupiła się głównie na jej, jeśli tak wolno rzec, stronie technicznej – wróżbiarstwie, zgodnie z opinią starożytnych o Etrurii – *genetrix et mater superstitionum*¹⁰¹.

Dyscyplina etruska – jak ją nazywali interpretatorzy rzymscy – była zbiorem przepisów regulujących stosunki bogów i ludzi, a opierała się głównie na interpretacji znaków. Między ludzkim mikrokosmosem a makrokosmosem bogów zachodziły związki ścisłe, formalne,

⁹⁸ hastati – włócznicy

⁹⁹ principes – ciężkozbrojni

¹⁰⁰ triarii – rezerwa

¹⁰¹ genetrix... – rodzicielka i matka zabobonów

skodyfikowane w owej dyscyplinie. Rzeczą kapłanów było odczytywanie losów ludzi i narodu.

Święte księgi Etrusków – jakkolwiek ich tradycja była pierwotnie, podobnie jak tradycja celtyckich druidów, ustna – dzieliły się na trzy zasadnicze działy: *Libri haruspicini*, traktujące o sztuce wróżenia z wnętrzości (głównie z wątroby) zwierząt, *Libri fulgurales* – zawierające interpretacje piorunów, i wreszcie *Libri rituales*, najobszerniejszy zbiór przepisów, dotyczący zarówno życia indywidualnego, jak i społeczeństwa, zawierający sposoby zakładania miast i budowania świątyń, konstytucję oraz wykładnię snów i cudów.

W miejscowości Piacenza, w małym muzeum miejskim, znajduje się brąz w kształcie wątroby, pokryty napisami. Otóż wątroba była w przekonaniu starożytnych siedliskiem życia, a dla Etrusków także miniaturą kosmosu. Brąz ów, odkryty w latach 70. ubiegłego wieku, był rodzajem podręcznika dla kapłanów badających wnętrzości zwierząt. Jego powierzchnię podzielono na starannie wyrysowane figury geometryczne, w których środku wpisano nazwiska bóstw. Jest to więc zarówno mały atlas nieba, jak topografia bogów w żywym ciele. Według wszelkiego prawdopodobieństwa kapłan drobiazgowo badał wątrobę zwierzęcia ofiarnego i zauważona anomalia była dla niego znakiem, głosem konkretnego boga.

Przemawiali bogowie także piorunami. Jedenaście rodzajów gromów było we władaniu dziewięciu bogów. Tylko Tinia (odpowiednik rzymskiego Jupitera) dysponował trzema piorunami. Pierwszy mógł cisnąć z własnej woli – był to grom ostrzegawczy. Drugi, niebezpieczny, mógł paść, gdy wyraziło swoją zgodę dwunastu boskich towarzyszy Tinii. Trzeci – morderczy i niszczycielski ogień niebios, mógł być zesłany na ziemię tylko pod warunkiem akceptacji wszystkich bogów zwanych wyższymi. Ta osobliwa kolegialność wskazuje na daleko idącą komplikację niebieskiej hierarchii i wymagała od kapłanów subtelnych metod obserwacji. Niebo Tyrreńczyków podzielone było na 16 części. Odkrycie punktu, w którym rodzi się błyskawica, i punktu na ziemi, w który uderza piorun, pozwalało kapłanom etruskim identyfikować przemawiające bóstwo.

Opisanie religii nie powinno być uproszczone do inwentarza bóstw. Ustalenie ich listy i atrybutów mało mówi o rzeczach istotnych. W przypadku religii Etrusków jest ponadto sprawą szczególnie delikatną z uwagi na fragmentaryczność dokumentów i silny wpływ wierzeń obcych, zwłaszcza religii greckiej, babilońskiej i chaldejskiej. Należy przy tym uwzględnić głębokie przemiany historyczne, jakim ulegała wiara Etrusków, a także fakt, że poszczególni bogowie nie mieli charakteru powszechnego, ale związani byli z określonym miejscem, miastem, świątynią.

Naczelne miejsce w panteonie etruskim zajmuje trójca niebieska: Tinia, Uni, Menerwa (której w Rzymie odpowiadała męska triada: Jupiter, Mars, Quirinus). Rodem z Volsinii był Vertumnus – młodzieńczy, pełen siły i rozmachu bóg wegetacji, o tysiącu zmieniających się jak przyroda postaci. Opiekun winnej latorośli, czczony zrazu w Populonii, a potem w całej Etrurii,

miał dźwięczne imię Fufluns. Jego orgiastyczny kult, niezmiernie rozpowszechniony wśród Tyrreńczyków, zagrażał obyczajowości Rzymian, o czym świadczy wzmianka jednego z historyków. Najbardziej znanym bóstwem żeńskim była Turan – etruskie wcielenie śródziemnomorskiej Bogini-Matki – opiekunka kobiet i miłości.

To przykładowe wyliczenie bogów może sugerować, że religia Etrusków była pełna radosnej akceptacji świata. W istocie, poza może Egipcjanami, nie było chyba narodu starożytności tak bardzo zwróconego twarzą ku mrocznym zaświatom. Lęk, pesymizm (pogłębiający się stale wskutek klęsk politycznych), stała obecność śmierci – stanowią najbardziej charakterystyczne cechy tej religii.

Wczesne groby etruskie pełne są jeszcze scen myśliwskich, uczt, tarica i muzyki. Cienie zdają się wieść życie beztroskie i radosne. Ale od IV wieku przed Chr. na malowane ściany domów śmierci wypełzają przeraźliwe jak ptaki nocne demony – Charun i Tuchulcha. Tarkwiński grobowiec augurów stanowi wstrząsający dokument okrutnych pogrzebowych igrzysk na cześć zmarłych. Malowidło ściennie przedstawia dwie zmagające się postacie (zapewne niewolników), których krew przynieść miała ulgę duszom zmarłych. Jedna z postaci trzyma ogromnego psa na smyczy i atakuje mężczyznę z głową zawiązaną workiem, broniącego się maczugą.

To ewidentne okrucieństwo nie raziło starożytnych i żaden ze znanych nam pisarzy nie czynił Etruskom z tego powodu zarzutu. Wiele zresztą krwawych widowisk rzymskich, choćby walki gladiatorów, ma swoją genezę w Etrurii. Te jednak sprawy znajdowały się poza wrażliwością moralną ówczesnych ludzi. Natomiast – rzecz charakterystyczna – prawdziwie gorszące były w oczach Greków i Rzymian obyczaje Etrusków. Przedmiotem zajadłej krytyki był ich stosunek do kobiet. Niezwykle wysoka pozycja socjalna i towarzyska kobiety w społeczeństwie Tyrreńczyków, „kobiecość” ich cywilizacji drażniły niepomiernie zwłaszcza Rzymian. Można bez przesady powiedzieć, że potomkowie Eneasza uczynili z Etrusków coś w rodzaju negatywnego wzoru osobowego; czarne tło, na którym błyszczeć miały ich surowe cnoty.

Odwiecznym i niezawodnym sposobem obrażania sąsiada jest podanie w wątpliwość cnoty jego żony czy córki. Można ułożyć sporą antologię tekstów greckich i rzymskich, które mają za przedmiot fatalną – zdaniem autorów – konduktę tyrreńskich kobiet. Herodot pisze, że w Lidii (a więc domniemanej ojczyźnie Etrusków) wszystkie dziewczęta uprawiały prostytutkę, zbierając tym sposobem na posag. Plaut nie omieszkał, idąc zapewne za owym wzorem, zgromić nieobyčajnych dziewcząt Tyrreńczyków:

...non enim hic, ubi ex Tusco more

*Tute tibi indigne dotem quaeras corpore*¹⁰².

Historyk grecki z IV wieku przed Chr., Teopomp, przedstawia życie Etrusków jako nie kończącą się bezwstydną orgię.

Na malowidłach ściennych znajdujących się w grobowcach etruskich, a przedstawiających uczty, zabawy i festyny, u boku mężczyzn znajdują się zawsze kobiety. Chyba tylko w cywilizacji kretańsko-mykeńskiej zdobywają one tak wysoki stopień swobody i niezależności. Związek tych obu odległych kultur narzuca się wyobraźni z jakąś szczególną siłą. Uległ temu odczuciu nawet tak ścisły umysł, jak Ventris, który w swej młodzieńczej pracy próbował ustalić, w jakim stopniu pismo etruskie przypomina pismo linearne B, mimo małego przecież prawdopodobieństwa historycznych związków. Wyjątkową w starożytności i wysoką pozycję społeczną kobiet etruskich podkreśla fakt, że obok imienia męskiego dodawano nie imię ojca, ale imię matki.

Jakkolwiek było z ową moralnością, jest rzeczą pewną, że w dziedzinie sztuki życia Etruskowie byli mistrzami. Cechowała ich ujmująca dziecięca lekkomyślność, kult zabawy, skłonność do wyrafinowanej elegancji i luksusu. Renesansowe dwory tokańskie są jakby dalekim echem tej cywilizacji.

Dom, zrazu jednoizbowy, potem o wielu pokojach otaczających atrium, stanowił ramy egzystencji pełnej intymności i czaru.

„Mieli zwyczaj zasiadać dwa razy dziennie do uczty pośród ozdobnych dywanów z kwiatów i różnorodnych srebrnych naczyń. Przy stole usługiwała im wielka liczba domowników, wybranych spośród najwdzięczniejszych i odzianych w mniej lub więcej kosztowne stroje, zależnie od rodzaju przyjęcia. Wszystko, zarówno apartamenty, jak gospodarze i usługujący było wspaniałe...

Teraz stracili już swoją dawną siłę i sławę wojenną przodków; pędzą życie wśród uczt i płochych zniewieściałych zabaw, a ten upadek ma swe źródło być może w bogactwie ich kraju”¹⁰³.

Sztuka gastronomiczna musiała być znakomita. Malowidło ścienne w grobowcu Golini w Orvieto przesycone jest smakowitym zapachem kuchennym. Z uderzającym realizmem przedstawiono całe skomplikowane laboratorium smakoszy, mądre kucharskie utensylia, półcie mięsa i dziczyzny zawieszane na hakach.

Ucztom towarzyszyły muzyka i taniec. Gdyby zachował się zapis dźwiękowy z życia

¹⁰² „... nie, ażebyś na ten sposób ruski / Niegodnie swoim ciałem na posag zbierała”. Plaut, *Komedia skrzynekowa*, 523-524. Tłum.: G. Przychocki.

¹⁰³ *Dzieje Rzymu od założenia miasta*, ks. VII.

Etrusków, akcentem dominującym byłby modulowany, nieustannie obecny głos fletu. „Przy dźwięku fletu Tyrreńczycy szli do walki na pięści, mieszali ciasto na chleb i chłostali niewolników”. Zadziwiające zdanie starożytnego obserwatora. Legenda etruska mówi także o iście orfickiej metodzie polowania. Flecista, ukryty w gąszczu, wabił w sieci dzikie zwierzęta dźwiękiem swego instrumentu.

Od muzyki i tańca krok tylko do teatru. Jego geneza, zdaniem autora rzymskiego, miała być następująca: młodzi ludzie modląc się do bogów wykonywali szereg gestów, zrazu niezgrabnych, potem wyrażających treść prośby do niebian. Tancerze, mimowie i aktorzy etruscy szybko zawitali do Rzymu i stali się tam niezwykle popularni (nazwa *histrion*¹⁰⁴ jest pochodzenia etruskiego). Drugim źródłem dramatu były śpiewy rolników, składających ofiary swym protektorom. Najślynniejszym ośrodkiem tego rodzaju uroczystości była miejscowość Fescennium. O tych śpiewach ludowych, pełnych chłopskiej werwy i humoru, wspomina Horacy, podkreślając ich przysłowiową swobodę wypowiedzi i rubaszny sarkazm. Z całej literatury dramatycznej Etrusków nie pozostało nic, jeśli nie liczyć zabłąkanego i odartego z dzieł, imienia autora tragedii tokańskich, niejakiego Volniusia.

Życie w Etrurii nie było jednak nie kończącym się festynem. Była to kraina sztuki i posepnej religii, a także bardzo różnej od rzymskiej koncepcji życia. Pozornie paradoksalny jest ów etruski stop lęku śmierci i wyrafinowanej doczesności.

Powiedzieliśmy, że Etruskowie pojawili się w VIII w. przed Chr. w Italii. Brzmi to jakby mowa była o duchu w romantycznej balladzie. Problem pochodzenia pasjonował już starożytnych. Herodot wywodzi ich z Lidii, położonej na wybrzeżu Azji Mniejszej.

„Za króla Atysa, syna Manesa, nawiedził całą Lidię wielki głód. Lidyjczycy przez jakiś czas znosili go cierpliwie, potem, gdy nie ustawał, szukali środków zaradczych, przy czym to jeden, to drugi co innego wymyślał. I tak wynaleziono wtedy grę w sześciany, kostki zaokrąglone, piłkę i wszystkie inne rodzaje gier z wyjątkiem warcabów; tego bowiem wynalazku nie przypisują sobie Lidyjczycy. Po wynalezieniu gier tak się wobec głodu zachowali: przez jeden dzień grali bez przerwy, aby nie pożądać jedzenia, a w drugim dniu, przestając grać, jedli. W ten sposób spędzili osiemnaście lat. Kiedy jednak zło nie ustawało, lecz coraz bardziej się srożyło, wtedy król podzielił wszystkich Lidyjczyków na dwie części i jednej kazał ciągnąć losy na pozostanie w kraju, drugiej – na emigrację. Nad tą częścią, której los kazał pozostać na miejscu, wyznaczył sam siebie jako króla, nad emigrantami zaś swego syna, który nazywał się Tyrrenos. Po losowaniu więc jedni z nich wywędrowali z kraju, udali się do Smyrny i pobudowali sobie statki. Na nie włożyli całe ruchome mienie, jakie im było potrzebne, i odpłynęli, aby poszukać sobie środków do życia i ziemi. W końcu, minąwszy wiele ludów, przybyli oni do Umbrów, gdzie

¹⁰⁴ histrion – aktor (łac.)

założyli miasta i po dziś dzień mieszkają. Nazwę Lidyjczyków zastąpili inną, wziętą od imienia królewskiego syna, który ich tu przywiódł: od niego tworząc swe miano, nazwali się Tyrrenami”¹⁰⁵.

Inni historycy jako kolebkę Etrusków podają wyspy Morza Egejskiego. Dionizy z Halikarnasu ma ich za autochtonów. Grecy nazywali ich Tyrsenoi, Tyrrenoi. Rzymianie – Tusci, Etrusci; oni sami określali się mianem Rasenna, Rasna. Współcześni uczeni opowiadają się raczej za teorią wschodniego pochodzenia Etrusków. W jednej ze swoich prac Massimo Pallottino, papież etruskologów, mówi nie bez irytacji, że wystarcza, aby w salonie pojawił się badacz umarłej cywilizacji, a zasypany jest pytaniami nie o co innego, ale o genezę Tyrreńczyków. Nikt natomiast nie męczy uczonych pytaniami na temat pochodzenia Greków czy Rzymian, jakby te problemy były do końca wyjaśnione i powszechnie znane, a nie, jak jest w istocie, tak samo skomplikowane i zagadkowe jak geneza Etrusków.

Irytacja uczonego jest słuszna, ale co robić z bardzo ludzką ciekawością i potrzebą dochodzenia początków. Ci, których pochodzenia nie znamy, istnieją dla nas niepełnie. Rozumieli tę potrzebę dziejopisarze starożytni. Ich dzieła pełne są zmyślonych najczęściej genealogii. Widzimy zbiorowość przez pryzmat jednostki i rodziny czystej linii genealogicznej, wywodzonej od bohatera-protoplasty. Herodot, kiedy mówi o Leonidasie, po wyliczeniu przodków dochodzi do Herkulesa, podpierając tę historyczną postać mitycznym praszczurem.

Dla Greków byli Etruskowie niepokojącą zagadką. Nie tylko dlatego, że stanowili pierwszą poważną przeszkodę kolonizacyjnych podbojów, ale nie mieścili się także zupełnie w kategorii barbarzyńców. Posiadali bowiem kulturę i organizację polityczną bardzo zbliżoną do greckiej, pod wieloma względami jej równą, a w dodatku mówili językiem, który przypominał dialekt autochtonów z Lemnos przed podbojem tej wyspy przez Ateńczyków, o czym świadczy odkryta kamienna stela nagrobna, nosząca inskrypcje w języku zbliżonym do etruskiego.

Jak wyjść z błędnego koła domysłów i hipotez, tych samych, w które uwikłani byli starożytni? Franz Altheim i Massimo Pallottino proponują, aby pytanie o pochodzenie Etrusków zastąpić sensowniejszym pytaniem, jak kształtował się ten naród na Półwyspie Apenińskim. Niezależnie od tego czy byli autochtonami, czy pochodzili ze Wschodu, ich cywilizacja powstała i rozkwitła w Italii, a była zapewne dziełem wielu czynników, etnicznej mieszanki, a nie czystego szczepu. Bo mówiąc o Francuzach (czy o jakimkolwiek wielkim narodzie), wiemy, że na pojęcie tego narodu złożyły się ludy tak różne, jak Celtowie, Ligurowie, Rzymianie, Frankowie, żeby poprzestać tylko na pierwszych z brzegu wyliczeniach. Jeszcze jeden kamień do ogrodu maniaków etnicznej czystości narodów.

Tajemnica języka etruskiego pociąga od przeszło trzech wieków umysły badaczy.

¹⁰⁵ „Za króla Atysa...” – Herodot, *op. cit.*, ks. I. Tłum.: S. Hammer, s. 65-66.

Odczytanie nieznanego pisma jest zwykle poszukiwaniem odpowiedników fonetycznych i sensu znaków. Tak było z hieroglifami czy pismem klinowym. Z językiem etruskim sprawa jest diametralnie inna i wręcz paradoksalna. Otóż potrafimy dość łatwo czytać teksty etruskie, ale nie rozumiemy ich, ściśle – rozumiemy niewiele. Inaczej mówiąc, system alfabetyczny Etrusków (mimo zmian, jakim ulegał w ciągu wieków) jest nam znany. Wiemy, że tyrreński alfabet wywodził się prawdopodobnie z greckiego i poszczególne znaki reprezentują zgłoski podobnie jak w greckim. Fonetyka natomiast tego języka jest zdecydowanie różna od greckiej (np. zupełny brak samogłoski „o”, którą w języku Etrusków zastąpiło „u”).

Materiał lingwistyczny nieznanego pisma, które staramy się odczytać, musi być dostatecznie duży i, co najważniejsze, różnorodny. Liczba etruskich przekazów językowych jest wprawdzie spora, bo wynosi 10 000, ale poza trzema cennymi znaleziskami (z których największy, przechowywany w Zagrzebiu, liczy 1500 słów) teksty są krótkie i rozpaczliwie monotonne. Niemal wszystkie to epigrafy nagrobne w rodzaju „Vel Partunus syn Velthura i Ramta Satinei umarł w 28. roku życia”. Ta bogata cywilizacja przekazuje nam zamiast poematu i świętych ksiąg, których istnienia mamy prawo się domyślać, beznadziejnie szary zbiór klepsydr.

Niewdzięczny materiał nie zniechęca jednak badaczy. Zanim szczęśliwe odkrycie da im w rękę wymarzony tekst dwujęzyczny, starają się rozszyfrować etruski bez tej dodatkowej pomocy. Jedni posługują się metodą dedukcyjną: podkładając pod tekst etruski jeden ze znanych starożytnych języków, który, jak to zakładają, spokrewniony jest z etruskim. Lista tych eksperymentów jest długa. Cierpliwi językoznawcy próbowali wyjaśnić ciemne teksty hebrajskim, greckim, egipskim, asyryjskim, hetyckim czy dialektami italskimi. Ale język Tyrreńczyków okazał się wyjątkowo oporny wobec tych prób. Inni stosują metodę indukcyjną: rezygnują z pomocy innych języków, pracują niejako wewnątrz badanego języka. Posiłkują się sporą już wiedzą o religii i cywilizacji Etrusków, wyszukują powtórzenia, terminy podobne, które mogą odnosić się do praktyk religijnych rytuałów, tytułów w hierarchii społecznej czy faktów znanych skądinąd. Obie metody, wymagające wielkiej ostrożności i subtelności, doprowadziły na razie do rezultatów skromnych.

Francuski etruskolog Raymond Bloch opowiada, jak to w czasie prac archeologicznych w Toskanii właściciel badanego terenu zwierzył się, że odkrył kolumnę całą pokrytą pismem. Część kolumny pokrywały znaki alfabetu łacińskiego, drugą część znaki zupełnie dla wieśniaka niezrozumiałe. Nie wiedząc, co zrobić z ogromnym kamieniem, zakopał go po prostu w ziemi.

„Łatwo można wyobrazić sobie moją emocję. Czyż nie był to tak bardzo pożądany tekst dwujęzyczny łacińsko-etruski? Poprosiłem i otrzymałem bezzwłoczne pozwolenie mego informatora na przebadanie jego posesji. Niestety! Kopanie nie dało nic, w każdym razie nie to, czego się spodziewałem. Wydobyto stos kamieni, należący bez wątpienia do kilku budynków z epoki rzymskiej, ale żaden z bloków wydobytych nie nosił najmniejszego śladu jakichkolwiek

napisów. Rozszerzyłem teren moich poszukiwań, ale daremnie. Zawiedziony i podniecony jednocześnie, chciałem wyjaśnić przyczynę tej tajemnicy... Mój informator, wieśniak, przeszukiwał zapewne swoją posiadłość w nadziei znalezienia etruskich przedmiotów, gdyż cała okolica bogata była w tokańskie groby, zawierające cenne materiały. Otóż, jak to się często zdarza, te poszukiwania odbywały się w nocy, aby uniknąć wszelkiej niedyskrecji i skryć się przed ciekawym spojrzeniem przechodniów i sąsiadów... Nocą wyobraźnia poszukiwaczy skarbów staje się bardziej żywa i śmiała... Być może, słyszano o moim pragnieniu znalezienia inskrypcji łańcisno-etruskiej i zrealizowano w wyobraźni przedmiot moich pragnień. Nie jest to rzeczą niemożliwą. Także inne wyjaśnienie wydaje się prawdopodobne: inskrypcja została rzeczywiście odkryta, ale nasz poszukiwacz skarbów zamiast ją zakopać, jak twierdził, być może zniszczył ją, rozbijając młotem i zużytkował jako budulec, co się często w różnych krajach zdarza. Nigdy jednak nie przyznałby się do tego świętokradstwa”. Fragment ten dobrze ilustruje pasjonującą grę archeologii z przypadkiem.

Dotychczasowe badania prowadzone były przeważnie w obrębie nekropoli, a nie miast. Otóż jest rzeczą więcej niż prawdopodobną, że istniały dokumenty etrusko-rzymskie, ogłoszenia i dekryty, dotyczące administracji czy innych spraw publicznych. Nadzieja natrafienia na taki dokument, właśnie w mało eksplorowanych miastach, jest tym większa, że zwycięzcy nie wytępilili zwyczajów i języka zwyciężonych, a epoka etrusko-rzymska trwała aż do trzeciego wieku naszej ery. Wykopaliska prowadzone w Kampanii, a więc na terenach ścierających się wpływów etruskich i greckich, a także w Azji Mniejszej, mogą przynieść wyjaśnienia zagadki. Mimo licznych niepowodzeń uczeni nie kapitulują. Piękna walka inteligencji z tajemnicą trwa.

Ubóstwo przekazów pisanych wynagradza w dużym stopniu bogaty materiał z dziedziny sztuki, pozwalający odtworzyć życie polityczne i prywatne Etrusków. Nie po raz pierwszy sztuka zastępuje pismo, staje się znakiem i świadectwem utrwalonej obecności. Zamiast monotonnego mamrotania tekstu pozwolono nam oglądać tę cywilizację. Jest to ogromna szansa, nie tylko dla naukowców, ale także dla amatorów. Ci ostatni, jak pisze D.H. Lawrence, szukają nie prawdy obiektywnej, ale kontaktu. „Etruskowie nie są ani teorią, ani tezą. Jeśli są czymkolwiek, to doświadczeniem”¹⁰⁶.

Długi czas byłem ślepy na sztukę etruską. Potrącałem wzrokiem w muzeach etruskie brązy, jakby to były drugorzędne dzieła Greków; rzeźby nagrobne wydawały mi się rzymskimi kopiami. Przeżyłem w skrócie historię pogardy i olśnienia Etruskami.

Do końca XIX wieku ich sztuka uważana była za mało interesującą kopię sztuki greckiej. U podstaw tego osądu leżała pozytywistyczna, dziś już przewyciężona teoria „postępu” sztuki.

¹⁰⁶ *Etruskowie*. Tłum.: A. Zabłudowski.

Koroną antyku miała być naturalistyczna rzeźba grecka okresu hellenistycznego. Zły akademicki gust, połączony z przeszczepioną z dziedziny nauk społecznych teorią – unicestwił Etrusków. Jules Martha, w książce swojej *Sztuka etruska*, wydanej w roku 1889, mógł spokojnie obwieścić, że sprowadza się ona do mniej więcej nieudolnych naśladownictw.

Ale od początku naszego wieku perspektywy, wrażliwość gwałtownie się zmieniły. Przyczyniły się do tego niemało rewolucyjne programy i manifesty sztuki współczesnej. Uwaga historyków, krytyków, a także publiczności skierowała się na okresy i szkoły określane dotychczas pogardliwie jako prymitywne, schyłkowe, barbarzyńskie w stosunku do ideału klasycznego. W polemice z tym ideałem sztuka Etrusków stała się jednym z ważniejszych argumentów.

Owe polemiki i próby przewartościowania nie wyjaśniły jednak kapitalnego i jednego z najbardziej zawikłanych problemów historii sztuki, a mianowicie problemu artystycznej autonomii i oryginalności plastyki etruskiej. Mówiono wprawdzie o takich wyróżniających cechach dzieł Tyrreńczyków, jak intensywność wyrazu, osiągnięta przez zaakcentowanie szczegółu z uszczerbkiem dla mało jakby cenionej harmonii całości, zmysł ruchu, zamiłowanie do malarskiego szkicu, swobodna, otwarta struktura dzieła, a także tendencja do form abstrakcyjnych. Wszystko to pięknie powiedziane, ale obcowanie ze sztuką etruską było dla mnie nieustanną huśtawką zachwytu i rozczarowania, rozbrajało zmysł krytyczny i zdolność analizy. Przygoda, którą warto polecić niecierpliwym i klasyfikatorom.

Dla wielu kontakt z dziełem sztuki zasadza się na potwierdzeniu przyjętego wzoru piękna. Dla tych sztuka etruska będzie szczelnie i nieuchronnie zamknięta. Aby ją w pełni odczuć, należy wyrobić w sobie zdolność spontanicznego, bezpośredniego reagowania, radosną ciekawość rzeczy innych od tych, które przyzwyczailiśmy się akceptować. Lekcja Etrusków jest lekcją wyzwania się od przesądów estetycznych na rzecz trudnej do zdefiniowania, bezinteresownej gry oczu z przedmiotem.

Uczucie potęgującego się chaosu towarzyszyło mi w czasie poznawania nowych etruskich nekropoli, nowych brązów, nowych rzeźb. Trudno pochwycić jakąś wyraźną linię rozwojową tej sztuki czy sensowny, wyjaśniający podział na szkoły i okresy. Niewątpliwe arcydzieła, bez których nasze muzeum wyobraźni byłoby uboższe – Apollo z Veii, sarkofag małżonków z Caere, przemieszane są z przedmiotami sztuki, których seryjny charakter i artystyczna wtórność rażą i odpychają. Niemal w każdym dziele Etrusków zawarte są trzy czasy: dziedzictwo bardzo dalekiej przeszłości, współczesny wpływ sztuki greckiej i antycypacja sztuki rzymskiej. W dziedzinie artystycznej, podobnie jak w życiu, Etruskowie wydają się być w ciągłej pogoni za nieuchwytną formułą i krystalizacją.

Melancholijna promenada: Cerveteri, Tarkwinia, Volterra, Veii; pagórki kamiennych grobowców dokładnie zarosłe trawą. W królestwie pinii, świerszczy i cyprysów, płytko pod

ziemią utrwalone na ścianach uczty, polowania, balet. Najgłębiej w pamięci zapisują się rzeźby nagrobne. Mężczyzna oparty na łokciu, z uniesioną głową, okryty draperią, która odsłania jego tors, jakby wieczność była długą, gorącą nocą letnią.

Lekcja łaciny

Jeśli więc i Tobą, jak wszelkim stworzeniem, kochany Francesco, rządzi pragnienie szczęścia, powtarzaj: rana, ranae, ranae, ranam, rana, rana¹⁰⁷. Poznaj zawilóść zdań czasowych: ubi, ut, ubi primum, ut primum, simul, simulac, simulaque, dum, donec, quod, antequam, priusquam, cum...¹⁰⁸ A przede wszystkim zapoznaj się ze strukturą zdań warunkowych, aby w nich nie było miejsca na oszustwa, na szantaż, na kłamstwo.

Bolesław Miciński, *Odpowiedź na list Francesca, obywatela rzymskiego*

I

Gimnazjum stało na wzgórzu. Był to biały, trzypiętrowy gmach o dużych oknach, z czerwonym, spadzistym dachem. Jeśli wyróżniał się czymkolwiek, to surową prostotą. Fasada bez ozdób, tylko na szczycie znajdowała się płaskorzeźba przedstawiająca orła. Pod płaskorzeźbą jakby miejsce na napis. Najstosowniejsza byłaby łacińska sentencja w rodzaju „*Felix qui potuit rerum cognoscere causas*”¹⁰⁹ lub, jeśliby nas ktoś pytał o zdanie, ale nikt nas o zdanie nie pytał – pouczenie Juwenalisa skierowane do wychowawców młodzieży – „*Maxima debetur puero reverentia*”¹¹⁰.

Wchodziło się przez ciężką bramę. Schody, a na szczycie schodów potężny posąg patrona

¹⁰⁷ „rana, ranae...” – żaba, żaby itd.

¹⁰⁸ ubi – gdy, kiedy; ut – kiedy, skoro; ubi primum – skoro tylko; ut primum – skoro, gdy, odtąd; simul – jednocześnie; simulac – skoro tylko; simulaque – równocześnie; dum – podczas gdy; donec – dopóki; quod – o ile; antequam – zanim; priusquam – wprzód, pierwej; cum – równocześnie, kiedy.

¹⁰⁹ Szczęśliwy, kto zdołał poznać przyczyny wszechrzeczy (łac.). Wergiliusz, *Georgiki*, 2, 490. Tłum.: S. Kalinkowski.

¹¹⁰ Dziecku należy się szczególny szacunek (łac.). Juwenalis, *Satyry*, 14, 47. Tłum.: S. Kalinkowski.

naszej szkoły. Gipsowo bładny król miał wysunięty lewy but i ten nieważny, zdawałoby się, szczególnie stał się materialną przyczyną uczniowskiego zwyczaju, nie licującego z powagą zakładu wychowawczego. W dostojnej bieli patrona ów lewy but był niepokojąco czarny i wypolerowany od licznych dotknięć, które uchronić nas miały od złych uroków, niedostatecznych not zwanych baniakami i straszliwego gniewu naszych preceptorów. Nic nie pomogły surowe zakazy, oddawaliśmy się tym magicznym praktykom z ciemnym chłopskim uporem. W gimnazjum panował kult rozumu, ale, jak wiadomo, nic bardziej nie wpływa na rozwój okultyzmu niż urzędowy racjonalizm.

Moja lękliwa wrażliwość nowicjusza rejestrowała z początku najmocniej nie obrazy, lecz wrażenia węchowe. Szatnia znajdowała się na samym dole w rozległej suterynie. Była to jakby kuchnia szkolnych woni – prochu, skóry, wilgotnej odzieży i strachu. Stamtąd szło się długim korytarzem z kamienną posadzką, a więc pachnącym kamieniem, aż do klasy z zapachem pokostu, kredy i wilgotnej tablicy.

Zaraz pierwszego dnia naszą uwagę zwróciła grupa uczniów trzymających się jakby na uboczu. Byli naprawdę inni. Ich szkolne niebieskie mundury nie były nowe, tak jak nasze, i nie wisiały żałośnie za duże, bez żadnej zażyłości z ciałem. W porównaniu z nimi byliśmy jak kukły na wystawie sklepu z konfekcją. Szczególną naszą zazdrość budziły sukienne spodnie świecące na pośladkach jak lustro, co było atrybutem przewrotnej gimnazjalnej elegancji. Poruszali się swobodnie i patrzyli na nas z góry. Życie, które doświadcza, nadawało ich twarzom gorzką wyniosłość.

Repetenci. Zdawało się, że zbyt dosłownie pojęli zasadę „*Repetitio est mater studiorum*”¹¹¹. Gorycz ich porażki łagodził zapewne fakt, że cieszyli się wśród nas, żółtodziobów, autorytetem, jaki przystoi weteranom. To oni pierwsi wprowadzili nas w skomplikowany, najeżony niebezpieczeństwami świat szkoły. Ponieważ każdy z naszych profesorów był indywidualnością, jeśli nie oryginałem, należało rozpoznać przeciwnika tak dokładnie, jak to było możliwe. Los obdarzył nas uroczym opiekunem klasy, siwym polonistą, którego dla słodczy charakteru nazywaliśmy Rózią. Natomiast matematyk i łacinnik budzili świętą grozę.

Nie wiem, dlaczego ten ostatni nosił u nas przydomek Grzesio, chociaż cały był zaprzeczeniem wiejskiej dobrodusznej gamoniowości. Myślę, że przejawiała się w tym piękna ludzka dążność do oswojenia spraw i zjawisk niepojętych i budzących przerażenie. Z tej samej, zapewne, przyczyny cyklony noszą dźwięczne kobiece imiona.

Pamiętam dobrze ten dzień, kiedy po raz pierwszy wszedł, a właściwie wkroczył do naszej klasy. Staliśmy przed ławkami, a on przechadzał się między rzędami, patrzył na nas badawczo, lustrował jak dowódca swój oddział przed defiladą. Trwało to długo. Potem kazał nam siadać i

¹¹¹ Powtarzanie jest matką nauki (łac.).

podał listę lektur obowiązujących i nadobowiązkowych. Powiedział, że nie będzie nas zachęcał do nauki, liczy tylko na nasz rozsądek i poczucie odpowiedzialności, bo w końcu młodzieńcy rzymscy w naszym wieku przywdziewali togę męską i gotowali się do rządzenia największym imperium świata.

Potem, ni stąd, ni zowąd, tak nam się przynajmniej zdawało, zaczął rysować na tablicy plan Forum Romanum, począwszy od Łuku Septymiusza Sewera aż do Bazyliki Konstantyna i Portyku Nerona. Padały tajemnicze nazwy: Curia, Lapis Niger, Rostra, Basilica Iulia, Via Sacra, źródło Juturny, Portyk Pereł. W naszych zeszytach kopiowaliśmy posłusznie plan Forum, niewiele z tego rozumiejąc. Objasnienia miały nastąpić później. Na razie nasz profesor zadowolił się uwagą: „Być może przyjedziecie kiedyś do Rzymu w orszaku prokonsula. Powinniście zatem poznać główne budowle Wiecznego Miasta. Nie chcę, żebyście się pętali po stolicy cesarów jak nieokrzesani barbarzyńcy”.

Do Rzymu przyjechałem dwadzieścia lat później, nie w orszaku, ale sam. Ziemie, na których urodziłem się, nie należały już wówczas do Cesarstwa Rzymskiego. Ściśle mówiąc, nie należały nigdy w sensie politycznym. Jeśli należały, to w zupełnie innym znaczeniu tego słowa.

Pierwsze swoje kroki skierowałem na Forum. Była noc, więc Forum było zamknięte. Patrzyłem tedy z Kapitolu na łuki, resztki portyków, kamienie zjadane przez czas. Obraz był widmowy. W zimnym świetle reflektorów to centrum starożytnego świata było wielką szacowną rupieciarnią, dnem, eschatologią cywilizacji, ostatecznym kształtem wszelkiej dumy i potęgi. Odcięte od nocy było jak fotografia, a więc nierzeczywiste; otoczone lawą asfaltu, po której toczyły się ze zgiełkiem i hukiem świetliste pojazdy. Nie było wątpliwości, kto wygra ten pojedynek.

Na drugi dzień poszedłem zwiedzać Forum metodycznie w pełnym świetle słońca. To, że nie czułem się zagubiony wśród kamieni, jest zasługą mego profesora łaciny. Wspominam o tym z wdzięcznością. Ale jednocześnie prześladowała mnie myśl, że nie należy szukać Rzymu w Rzymie, że nie tutaj przemówi do mnie wielkość tej cywilizacji.

Niechaj nie będzie to poczytane za polowanie na paradoksy, jeśli powiem, że odczucie owej wielkości zaskoczyło mnie niespodziewanie w kilka lat później w miejscowości New Castel w drodze do Szkocji. Przebywałem wówczas w Anglii w zupełnie innych zamiarach niż studiowanie śladów Rzymian. W tym czasie znałem już nieźle południe Francji, czyli *Gallia Narbonensis*¹¹², ale Pont du Gard, Maison Carrée, arena w Arles czy teatr w Orange, przy całej świetności tych zabytków, nie zrobiły na mnie tak wielkiego wrażenia i nie skierowały myśli na nowe tory, jak to, co spotkałem na granicy Brytanii i Szkocji. Prowansja – podobnie jak

¹¹² Gallia Narbonensis – Prowansja i Langwedocja

Hiszpania czy Dalmacja – należała do Rzymu w sposób niejako naturalny dzięki temu samemu niebu i przyrodzie, więc umysł włączał do imperium te podbite prowincje bez zdziwienia i sprzeciwu. Przeciwnie, tam pod nawisłymi, niskimi chmurami, z których padał przejmująco zimny deszcz, przesłanie Rzymian było czymś niezwykłym i jakby graniczyło z zuchwałym szaleństwem.

W New Castel, w miejscu mego nawiedzenia Rzymem, nie było ani marmurowej świątyni, ani nawet łuku tryumfalnego, nic, dosłownie nic, co mogłoby wywołać jakąkolwiek estetyczną ekscytację. Był tam natomiast dobrze zachowany wał ziemny, ciągnący się przez pagórkowaty teren w linii niemal prostej od ujścia rzeki Tyne na zachodzie aż do zatoki Solway na wschodzie, przecinający całą wyspę – najdalej na północ wysunięty szaniec cywilizacji, która usiłowała się bronić przeciw nie podbitym, dzikim plemionom barbarzyńców.

Jak doszło do podboju Brytanii? Wyspa leżała daleko, poza basenem Morza Śródziemnego i jak się może wydawać, poza kręgiem żywotnych interesów imperium. Wiadomości o jej kształcie, zasobach i zamieszkujących ją ludach były mętne, pochodziły od żeglarzy i kupców, a pełne były fantastycznych informacji. Najbardziej znana była prawdopodobnie relacja Pytheasa, greckiego podróżnika z miejscowości Massilia¹¹³ w Galii, żyjącego w czasach Aleksandra Macedońskiego. Dla przeciętnego Rzymianina Brytania leżała na granicy, jeśli nie poza granicami geograficznej rzeczywistości, w pobliżu wyspy Thule, a więc na krańcach ówczesnego świata.

Po raz pierwszy wojska rzymskie pod wodzą Juliusza Cezara stanęły na wyspie pod koniec sierpnia roku 55 przed Chr. Ta śmiała operacja wojenna nastąpiła nagle, była niedostatecznie przygotowana i omal nie skończyła się klęską armii inwazyjnej, składającej się z dwu legionów. Wypiarze czekali na najeźdźców, już od momentu lądowania zadawali im poważne straty. Juliusz Cezar nie stoczył z nimi żadnej decydującej bitwy, a wojska jego płytko zagłębiły się w niegościnnie kraj. Trudności aprowizacyjne, pogarszająca się pogoda, a nade wszystko zniszczone przez fale przyływu części floty zmusiły wodza do zawarcia pokoju zaproponowanego przez Brytów i wycofania się do Galii. Nie była to co prawda klęska, ale dość wątpliwy i drogo okupiony połowiczny sukces.

Druga kampania w rok później była zakrojona na daleko szerszą skalę niż pierwsza. Brało w niej udział 5 legionów i 2 tysiące jazdy. Ogromna flota, licząca 800 okrętów, tak przeraziła Brytów, że stawili opór najeźdźcom dopiero w okolicy dzisiejszej Canterbury. Ale Cezar znów popełnił fatalny błąd, lekceważąc prawa morza i część jego okrętów pochłonął żywioł. Gdyby Brytom udało się zniszczyć flotę rzymską, legiony byłyby wydane na łaskę i niełaskę tubylców.

Najlepszym sprzymierzeńcem Cezara był brak zmysłu politycznego jego przeciwników. Na

¹¹³ Massilia – dzisiejsza Marsylia

to zapewne liczył nie mniej niż na męstwo swoich żołnierzy.

Podobnie jak mieszkańcy Galii ich celtyccy pobratymcy z wyspy nie potrafili zorganizować się pod jednym dowództwem, aby skutecznie stawić czoło armii inwazyjnej. Nie posiadali także żadnego rozsądnego planu strategicznego. A przecież byli liczniejsi niż najeźdźcy, nieźle uzbrojeni, a ich naturalnymi sojusznikami były lasy i bagna. Aby zwyciężyć, należało unikać frontalnej rozprawy i stosować niewygodną dla legionów taktykę małej wojny, czyli partyzantki, to znaczy napadać na tabory i zabłąkane na bezdrożach oddziały. Gdyby wojna przybrała taki właśnie obrót i przeciągnęła się ponad jeden rok, Rzymianie zmuszeni byłiby się wycofać, i to ze znacznymi stratami.

Doradzanie po dwu tysiącach lat wodzom przegranych kampanii jak należało postąpić, co stanowi ulubioną rozrywkę pisarzy historycznych, jest mało sensowne, zwłaszcza że w tym wypadku wyspiarze robili wszystko, aby przeciwstawić się najeźdźcom. Zrazu większość ludów południowo-wschodnich Brytanii zjednoczyła się pod naczelnym dowództwem króla Kasywelaunusa i stosowano najszluszniejszą taktykę walki podjazdowej, taktykę nękania legionów, ciężko posuwających się w głąb nieznanego kraju. Ale dość szybko nastąpił konflikt w obozie przeciwników Cezara i królowie poszczególnych plemion zaczęli paktować z wodzem rzymskim. Ponieważ z Galii nadchodziły niepokojące wieści o buntach, Cezar skorzystał z pierwszej okazji i zawarł pokój z Kasywelaunusem. Pokój zresztą korzystny dla Rzymian, bo z kampanii, która mogła zakończyć się ich klęską, wyszli jako zwycięzcy, zabierając łupy, jeńców i nakładając na podbite ludy haracz.

Wielu historyków niepokoiło pytanie, po co Cezar wdał się w tę ryzykowną awanturę. Nie było to zapewne tylko wynikiem namiętnego pożądanego pereł, jak sugeruje Swetoniusz. Historyk francuski Albert Grenier nazywa wyprawę do Brytanii ekstrawaganckim i szalonym przedsięwzięciem, Jérôme Carcopino – operacją prestiżową bez żadnej przyszłości, Camille Julien zaś widzi w tym przejaw charakterystycznej dla Cezara żarłoczności, „który chciał więcej zdobyć, niż mógł utrzymać”.

Wydaje się jednak, że intencje przyszłego dyktatora były bardziej prozaiczne i kalkulowane na zimno: pragnął po prostu wzbogacić siebie i swoje legiony, a także zabezpieczyć zdobytą Galię od ataku z zachodu, było bowiem teoretycznie możliwe, że pewnego dnia Brytowie mogą przyjść na pomoc swoim celtyckim pobratymcom z kontynentu, i wreszcie, co jest szczególnie ważne, wyprawa do Brytanii równoważyła w pewnym stopniu sukcesy wojenne na wschodzie jego konkurenta do władzy, Pompejusza. I rzeczywiście, przewagi oręża rzymskiego na legendarnej wyspie wywołały w Rzymie entuzjazm niebywały.

Trudno jednak powiedzieć, że Brytania – czy choćby jej część – weszła w skład imperium. Systematyczny podbój rozpoczął się niemal sto lat po wojennej ekskursji Cezara. Rzymianie mieli wówczas daleko więcej szans na ujarznienie tej mglistej wyspy, oblanej zimnym morzem.

Posiadali przede wszystkim dość szczegółowe informacje, niezłe rozpoznanie przeciwnika i jego kraju. Brytania była penetrowana przez rzymskich kupców, którzy dostarczali cennych wiadomości zarówno geograficznych, jak i o stosunkach społecznych. W stolicy świata przebywała garść emigrantów politycznych z wyspy, jak ów nieszczęsny Kunobelinus, wygnany i wyrzuty z władzy przez syna i szukający na dworze cesarskim sprawiedliwości. Brytowie popełnili fatalny błąd; obrazili Rzymian żądaniem wydania zbiegów, a także prowokowali zamieszki na wybrzeżu galijskim. Mówi o tym lakonicznie Swetoniusz: „*tumultuantes Britannos ob non redditos transfugas*”¹¹⁴. Wojna stała się nieunikniona.

W roku 43 po Chr. za panowania cesarza Klaudiusza, następcy Nerona, wyrusza na podbój Brytanii armia rzymska składająca się z czterech legionów. Trzy czwarte sił operacyjnych stanowiły wojska stacjonujące nad Renem, w Germanii. Były to legiony: II Augusta z Argentoratum (dzisiejszy Strasburg), XX Valeria Victrix z Novaesium (obecnie Neuss) i XIV Gemina stacjonująca nad dolnym Renem. Do tych formacji doszła jeszcze legia IX Hispana z Pannonii (dzisiejsza Austria). Jeśli doliczymy do tego wojska pomocnicze (*auxilia*¹¹⁵) oraz oddziały galijskie i trackie, była to jak na owe czasy wcale potężna armia, licząca około 40 tysięcy ludzi.

Na czele wyprawy staje legat konsularny Aulus Plaucjusz, późniejszy pierwszy zarządca Brytanii. Wojska lądują w trzech różnych punktach i armia rusza na zachód. Siły Brytów znajdują się pod dowództwem Karatakusa i Kogidumnusa. Ten ostatni umiera wkrótce i przez długie lata Karatakus, władca księstwa położonego nad środkową i dolną Tamizą, będzie głową antyrzymskiego oporu.

Taktyka wyspiarzy zasada się, jak się zdaje, na wykorzystaniu naturalnych linii obrony i przeszkadzaniu Rzymianom w przeprawach przez rzeki. Do ciężkiej, dwudniowej bitwy dochodzi nad rzeką Medway. Zwyciężają wprawdzie Rzymianie, ale ich przeciwnik nie jest bynajmniej rozbity. „Przez dziesięć długich lat Karatakus był kolcem wbitym w ciało armii rzymskiej i zdobył wiele sukcesów większych lub mniejszych, ale historia wspominając o jego walkach mówi tylko o jednej wielkiej bitwie, na wybranym przez niego terenie, kiedy to zaryzykował wszystko i stracił wszystko w ostatniej druzgocącej klęsce” – mówi angielski historyk Ian A. Richmond.

Po przekroczeniu Tamizy legiony zatrzymują się w oczekiwaniu na przyjazd cesarza, boski Klaudiusz bowiem „pragnął chwały rzeczywistego tryumfu”¹¹⁶. Przybył z pewnym opóźnieniem, spowodowanym niegodziwościami meteorologii. Dla wielu historyków udział cesarza był z

¹¹⁴ „właśnie buntowali się Brytowie z powodu zatrzymania [przez Rzym] ich zbiegów” (łac.)

¹¹⁵ rzymskie wojska pomocnicze.

¹¹⁶ Swetoniusz, *Żywoty Cezarów*. Tłum.: J. Niemirska-Pliszczyńska.

wojskowego punktu widzenia bez znaczenia dla całej kampanii. Chodziło zresztą o coś zupełnie innego, a mianowicie o względy prestiżowe. „Rzym chciał widzieć swego władcę w wieńcu zwycięzcy”¹¹⁷. I Klaudiusz wkracza na czele legionów do Kamulodunum (Colchester), stolicy króla-wygnańca Kunobelinusa, po czym pospiesznie wraca do Rzymu, gdzie „odbył tryumfalny wjazd z największym przepychem”¹¹⁸.

Ale są to tylko propagandowe dekoracje tej wyprawy długiej, krwawej i niejasnej. Właśnie niejasnej, bo całe dzieje podboju są jakby fresk zatarty w wielu miejscach. Była to afery peryferyjna i jej dzieje trzeba odtworzyć z rozproszonych fragmentów, jakie zachowały się w pismach historyków cesarstwa. Nie były to zapisy świadków naocznych, lecz informacje czerpane z „drugiej ręki”, często bardzo sumaryczne i niedokładne. Dlatego trudno teraz zrekonstruować te wydarzenia, podać przebieg poszczególnych kampanii, ruchy wojsk, zlokalizować główne bitwy i potyczki, niepodobna nawet czasem wymienić nazwy ludów, z którymi walczyli Rzymianie. Na przykład biograf Wespazjana, późniejszego cesarza, a wówczas dowódcy II legionu, mówi tylko, że pokonał on dwa silne szczepy tubylców i zdobył ponad 20 fortec. Tylko tyle.

Nie jesteśmy jednak całkiem bezradni. Ziemia zachowała wiernie wymowne ślady walk. Nic nie wiemy szczegółowego o zdobyciu fortecy Dunum (obecnie Maiden Castle), ale archeolodzy odkryli dramatyczne szczątki, z których odczytać można los obrońców tej cytadeli. W obrębie wałów obronnych odkryto cmentarz wojskowy, zapewne pospiesznie założony w czasie oblężenia. W czaszkach szkieletów znaleziono odłamki rzymskich mieczy, a w stosie pacierzowym jednego z obrońców tkwi pocisk wyrzucony zapewne z maszyny wojennej Rzymian, zwanej *euthytonos*.

Nie należy sobie jednak wyobrażać, że zdobywanie Brytanii polegało tylko na posuwaniu się potężnego walca wojennego, który niszczył i tratował wszystko. Czego nie mógł dokonać oręż, dokonywała polityka; lokalni przywódcy i królowie plemienni wchodzili w układy z najeźdźcą. Działo się tak głównie dlatego, że Rzymianom wcale nie zależało na niszczeniu struktury społecznej kraju i zastanej hierarchii władzy, z koniecznym oczywiście okrojeniem suwerenności: przysięgą na wierność cesarzowi i zobowiązaniem lojalności wobec Rzymu.

Niektórzy robili to szczerze i jak się zdaje z przekonania, jak ów Kogidumnus, władca królestwa Verica (w Sussex). Był jednym z pierwszych, który przystał na współpracę z najeźdźcą, więc pozwolono mu rządzić jego ludem, a nawet przyznano wyjątkowy tytuł *rex et legatus Augusti in Britannia*¹¹⁹, „stosownie do starego i od dawna już przez naród rzymski

¹¹⁷ Swetoniusz, *Żywoty Cezarów*. Tłum.: J. Niemirska-Pliszczyńska.

¹¹⁸ Tamże.

¹¹⁹ król i namiestnik Augusta w Brytanii (łac.)

przyjętego zwyczaju, żeby jako narzędzie niewoli także królów posiadać¹²⁰ – komentuje trzeźwo Tacyt. Inni władcy szczepowi natomiast grali rolę Wallenrodów, zawierali traktaty pokojowe, deklarowali poddanie się woli zdobywców, ale czekali tylko na sposobny moment, by jak król Icenów Prasutagus przemienić się ze sprzymierzeńców w rebeliantów.

Główne linie natarcia legionów rzymskich szły w kierunku zachodnim i północnym. Wiemy o tym, a raczej domyślamy się tego z rozmieszczenia głównych garnizonów pod koniec lat czterdziestych: II legion stacjonuje na południowym zachodzie, prawdopodobnie Exeter (Isca), XX w Gloucester (Glevum), natomiast XIV najdalej na północnym zachodzie w Wroxeter (Viroconium). Zasięg zdobyczy rzymskich w tym czasie na froncie północno-wschodnim nie jest jasny.

Najcięższe walki toczą się w Walii, gdzie wojskami rzymskimi dowodzi propretor¹²¹ Brytanii, Ostoriusz Scapula. Górzyści i lesisty teren tej części wyspy stwarza idealne warunki obrony, co doskonale rozumiał niezmordowany wróg Rzymian – Karatakus. Popełnił jednak fatalny błąd, decydując się na wydanie walnej bitwy, w której ponosi klęskę i ratuje się ucieczką na dwór królowej Brygantów Kartymandui. Królowa najpotężniejszego plemienia wyspiarzy, bardziej ostrożna niż patriotyczna, wydaje zakutego w kajdany wodza w ręce Rzymian w roku 51 po Chr. W tym samym roku Ostoriusz „przesytem trosk znękany, rozstał się z życiem ku radości nieprzyjaciół”¹²².

Podobnie jak w Galii, inspiratorami rzymskiego oporu byli druidowie¹²³. Jednym z najważniejszych ich centrów była położona u wybrzeży Walii wyspa Mona (Anglesey). W roku 1944 znaleziono tam ogromną ilość militariów, przede wszystkim broni, ekwipunku wojskowego, a także – rzecz osobliwa – łańcuchów, jakimi skuwano niewolników. Były to, domyślają się archeologowie, wota religijne, a nie, jak mogło się wydawać, arsenał. Pochodzenie tych przedmiotów z różnych odległych stron świata północnych Celtów od Irlandii aż po Yorkshire świadczy wymownie o zasięgu wpływów druidów z Mony. Na tej wyspie znajdowali schronienie ci wszyscy, dla których okupacja była nie do zniesienia, uchodźcy polityczni, zbiegli jeńcy, wydziedziczeni książęta i jest rzeczą więcej niż prawdopodobną, że tam właśnie opracowano plany antyrzymskich powstań.

Ten ośrodek kultury i polityki zarazem postanowił zdobyć Swetoniusz Paulinus, wybitny wódz, pogromca dzikich plemion z Atlasu, już w pierwszym roku sprawowania swego urzędu

¹²⁰ Tacyt, *Dziela*. Tłum.: S. Hammer, t. 1-2

¹²¹ propretor – (*propraetor*); były pretor, który otrzymał namiestnictwo prowincji

¹²² Tacyt, *Dziela*. Tłum.: S. Hammer, t. 1-2

¹²³ druidowie – celtyccy kapłani, wróżbiarze

zarządcy Brytanii. Wyprawa odbyła się w roku 59. Było to starcie dwu światów, co w sposób niezrównany opisuje Tacyt. – „Na wybrzeżu stał szyk bojowy nieprzyjaciół – nieprzerwane szeregi broni i mężów, między którymi przebiegały niewiasty; na modłę Furii, w żałobnych szatach, z rozpuszczonymi włosami niosły przed sobą żagwie; one to, a dokoła nich druidowie, którzy z rękami ku niebu wzniesionymi modlili się i przekleństwa miotali, niezwykłością widoku tak przerazili żołnierzy, że ci, jakby zdętwiałe mając członki, nieruchome ciało na rany wystawiali”¹²⁴. Rzymianie zgotowali mieszkańcom wyspy okrutną rzeź. Nie oszczędzono nawet drzew, „wycięto okrutnym zabobonom poświęcone gaje: uważali bowiem [druidowie] za rzecz godziwą, by krew jeńców ofiarowywać na ołtarzach i z trzewi ludzkich radzić się bogów”¹²⁵.

Kiedy gros armii rzymskiej zajęte jest walką na zachodzie wyspy, na drugim jej, wschodnim, krańcu wybucha powstanie, które mogło zakończyć się totalnym pogromem Rzymian nie mniejszym niż klęska Warusa w Teutoburskim Lesie. Zdarzenia te, zwane w historii buntem Budyki, wymagają nieco szerszego omówienia. Konieczne wydaje się wyjaśnienie tła wydarzeń, one bowiem jasno i dobitnie charakteryzują stosunek okupantów do podbitych.

Zimą roku 59/60 przed Chr. umiera Prasutagus, król Icenów, plemienia zamieszkującego południowo-wschodnią Brytanię (okolice Camboritum, dzisiejszy Cambridge). Ponieważ nie miał on męskiego potomka, połowę swych ziem zapisał dwóm córkom, połowę zaś cesarzowi. Był to testament, zdawałoby się, bardzo ostrożny i politycznie rozważny. Istniały jednak dwa poważne powody, dla których ten testament był nieważny zarówno w oczach Icenów, jak i Rzymian. Po pierwsze, według praw miejscowych, legalną dziedziczką tronu powinna zostać wdowa po królu – Budyka, zupełnie pominięta w sukcesji. Po drugie, Rzymianie nie uznawali, z nielicznymi wyjątkami, kobiet na tronie i tytuł królowej nie przysługiwał nawet tak lojalnej Kartymandui, która wydała w ich ręce Karatakusa. Cel zaborców był jasny: chcieli, aby po śmierci króla-klienta jego dziedzictwo stało się ziemią rzymską, na którą czekali niecierpliwie oficerowie, weterani, skarb cesarstwa.

Rzymianie traktują kraj Icenów jak swoją własność. Zajmują domy i majątki jego mieszkańców; wyzuto z dziedzicznych dóbr nawet krewnych króla, a na domiar zniewagi i upokorzenia: „Budykę chłostą sponiewierano, a córki nierządem zhańbiono”¹²⁶. Zrozpaczeni Icenowie chwytają za broń, a nawet skłaniają do powstania sąsiedni lud Trynowantów. Gdyby przyłączyli się do nich Bryganci, los rzymskich legionów na wyspie byłby przesądzony.

Inicjatywa leży w ręku powstańców, ponieważ siły rzymskie na terenach ogarniętych buntem są nieliczne, a ich dowództwo kompletnie zaskoczony i chwiejne. Zbuntowani, pod wodzą

¹²⁴ Tacyt, *Dziela*. Tłum.: S. Hammer, t. 1-2

¹²⁵ tamże

¹²⁶ tamże

Budyki kierują się przeciw starej stolicy prowincji Kamulodunum (Colchester), wokół której znajdują się liczne majątki znienawidzonych przez tubylców weteranów. Samo miasto pozbawione jest fortyfikacji, stać się więc może łatwym łupem rebeliantów. Posępną uverturę tych wydarzeń zawdzięczamy Tacytowi: „bez wyraźnej przyczyny runął w Kamulodunum posąg Wiktorii, i to w tył, jak gdyby ustępował przed nieprzyjaciółmi. Kobiety ogarnięte wieszczym szałem przepowiadały zbliżającą się zagładę i ponoć cudzoziemskie krzyki w miejscowej kurii słyszano, teatr rozbrzmiewał wyciem i widziano w lagunie Tamizy obraz zburzonej kolonii; nadto krwawy wygląd Oceanu i pozostałe po morskim odpływie zjawy ludzkich zwłok Brytańczycy tłumaczyli sobie jako zadatek nadziei, weterani zaś – jako powód do obaw”¹²⁷.

Przepowiednie sprawdziły się. W ciągu dwóch dni Kamulodunum zostało zdobyte, a jego rzymscy i filorzymscy mieszkańcy bezlitośnie wymordowani. Upojeni sukcesem Brytowie ruszają teraz przeciw IX legionowi dowodzonemu przez legata Petyliusza Cerialisa, zadając mu bardzo poważne straty.

Losy armii rzymskiej w Brytanii leżą teraz w ręku jednego człowieka – Swetoniusza Paulinusa. Szybko przybywa on z Walii do Londynu i zdaje sobie natychmiast sprawę, że sytuacja jest krytyczna. Działa tedy z determinacją i zimną krwią. Porzuca przede wszystkim plan obrony w mieście, wydaje zarówno Londyn, jak i Verulamium na pastwę buntowników, którzy gotują mieszkańcom tych miast krwawą masakrę. „Jest rzeczą ustaloną, że na wspomnianych miejscach padło około 70 tysięcy obywateli i sprzymierzeńców. Nie zajmowali się bowiem braniem jeńców, sprzedają ani żadnym innym handlem wojennym, tylko spieszo im było do rzezi, stryczka, ognia i krzyża...”¹²⁸.

Swetoniusz ma przed oczami jeden cel i realizuje go z rzymską konsekwencją: skoncentrować pod swoim dowództwem rozproszone wojska oraz zapewnić sobie maksymalną swobodę manewru.

Nie jest to wcale łatwe. Legion II nie zjawia się na miejscu koncentracji. Swetoniusz ma pod swoim dowództwem legion XIV, nieco wojska z XX legionu i oddziały posiłkowe, razem około dziesięciu tysięcy zbrojnych.

Kiedy oba wojska stają na ubitej ziemi (teren jak zwykle starannie wybrany przez Rzymian), siły przeciwnika są osiem razy silniejsze „i w tak butnym nastroju, że nawet swe małżonki na świadków zwycięstwa z sobą wlekli i na wozy sadzali”¹²⁹. Ale Brytowie byli źle uzbrojeni, nie bardzo zdolni do realizacji jakiegokolwiek planu strategicznego, a ich odwaga harcówników była bezsilna wobec zdyscyplinowanej armii podobnej do olbrzyma o wielu rękach, zadającego

¹²⁷ Tacyt, *Dzieła*. Tłum.: S. Hammer, t. 1-2

¹²⁸ tamże

¹²⁹ tamże

systematycznie nieubłagane ciosy. Klęska była kompletna; wozy Brytów blokowały odwrót i bitwa przeistoczyła się w rzeź. Budyka zdołała uciec, lecz wkrótce zmarła, zażywając – jak chcą niektóre źródła – truciznę. Bunt został zdławiony i legiony syciły swój gniew w grabieżach i mordach.

Samowola żołnierzy trwała jednakże niedługo, nie dlatego, że wilki przemieniły się nagle w jagnięta, ale istniała instytucja prokuratora, czyli zarządcy fiskalnego prowincji, który poza władzą wojskową mógł posyłać raporty do cesarza i w sposób istotny wpływać na politykę w stosunku do podbitych. Otóż zdarzyło się, że nowym prokuratorem Brytanii był człowiek urodzony w północnej Galii, a w dodatku mąż córki galijskiego arystokraty, co predysponowało go do tego, aby stać się adwokatem uciemiężonych i domagać się liberalnego kursu. Mimo zasług wojennych surowy Swetoniusz zostaje odwołany. „Historia rzymska mało zna równie dobitnych przykładów przenikania się rzymskich i prowincjonalnych wpływów, odczuć i interesów w nowym świecie, który został stworzony w Europie Zachodniej” – mówi badacz tego okresu.

Kolejni gubernatorzy – Petyliusz Cerialis, Juliusz Frontynus i Juliusz Agrykola – prowadzą istotnie politykę bardziej łagodną. Nie znaczy to jednak wcale, że wyspa została spacyfikowana i zażywała błęgiego spokoju pod rządami nowych władców. W Brytanii tła się ogniska irredenty. Na przełomie roku 69 i 70 spotyka Rzymian cios od strony najmniej spodziewanej, bo dotychczasowych sprzymierzeńców – Brygantów – plemienia potężnego, zajmującego wielki obszar odpowiadający obecnym hrabstwom Yorkshire, Lancashire, Westmoreland, Cumberland i okręg Durham.

Otóż, jak już wspomnieliśmy, Brygantowie znajdowali się wówczas pod panowaniem arcylojalnej wobec Rzymu królowej Kartymandui – tej, która wydała w ich ręce Karatakusa. Była to kobieta władczą i ambitną. Mogłaby się stać patronką *women liberation*¹³⁰, bowiem porzuciła swego męża i poślubiła jakiegoś młodego giermka czy podczaszego. Wygnany i pozbawiony władzy mąż imieniem Wenucjusz wykorzystuje wojnę domową, jaka wówczas wybuchła w Rzymie, i związane z tym częściowe wycofanie wojsk z wyspy, wznieca rozruchy, najeżdża królestwo Brygantów i zdobywa je. Tacyt komentując te wydarzenia pisze: „nasze kohorty i rotty jazdy, mimo zmiennego walk szczęścia, przecież królową z niebezpieczeństwa wyrwały; państwo przy Wenucjuszu, nam wojna została”¹³¹.

W czasie panowania cesarza Wespazjana Rzymianie podejmują szereg udanych ekspedycji przeciw Brygantom i Sylurom (mieszkańcy południowej Walii). Pod koniec I wieku proces konsolidacji wyspy (ściśle: jej znacznej części) wchodzi w fazę decydującą. Najbardziej gorąca

¹³⁰ *women liberation* – wyzwolenie kobiet

¹³¹ Tacyt, *Dziela*. Tłum.: S. Hammer, t. 1-2

jest granica północna. Była ona w ciągu wieków zmieniana pod naporem barbarzyńców – nigdy nie ujarzmionych Piktów i Szkotów.

Teraz na scenę wchodzi postać, której niepodobna przeczyć, jeśli mowa o podboju wyspy – Juliusz Agrykola. Urodzony w Prowansji w roku 40, wszechstronnie wykształcony, rozpoczyna swoją karierę polityczną właśnie w Brytanii, gdzie w roku 61 walczy pod wodzą Swetoniusza Paulinusa. Potem piastuje szereg odpowiedzialnych funkcji państwowych, jest kwestorem w Azji Mniejszej, zarządcą Akwitanii, konsulem, a wreszcie w wieku lat 38 zostaje mianowany zarządcą Brytanii, co stanowi szczyt a zarazem niezupełnie zrozumiały koniec jego błyskotliwej kariery.

Niektórzy historycy przestrzegają, aby nie ulegać sugestii Tacyty, który patrzył na swego teścia przez powiększające okulary uwielbienia. Trudno jednak nie docenić zasług Agrykoli zarówno wojskowych, jak i polityczno-administracyjnych. Pod jego dowództwem orły rzymskie posunęły się najdalej na północ aż na linię Firth of Forth i Clyde, a nawet poza tę linię. Siedem lat rządów Agrykoli (78-85), to siedem kampanii przeciwko Szkotom i Piktom, uwieńczonych walnym zwycięstwem pod Mons Graupius w roku 83. Budował także flotę, wznosił umocnienia i forty, popierał budownictwo miejskie. Za jego administracji rozpowszechniło się rzymskie sądownictwo i samorząd terytorialny; lżejsze były podatki i mniej uciążliwa dla tubylców przymusowa służba wojskowa.

Ale Agrykola został dość niespodziewanie odwołany przez cesarza Domicjana i nie zrealizował do końca swoich planów. Wydaje się, że zdymisjonowany zarządcą, być może on jeden, widział sprawy ostro i jasno. Dążył do podbicia całej wyspy, przygotowywał także wyprawę do Irlandii, zdając sobie sprawę, że zgodnie z logiką podboju – musi być on całkowity, a pozostawienie bezkarnie wrogich sąsiadów grozi katastrofą. Historia przyznała mu rację; on sam pędził do końca dni swoich zgorzkniały zapewne żywot przedwczesnego politycznego emeryta, nie piastując żadnych urzędów ani godności.

Decyzję Domicjana jedni tłumaczą zwykłą ludzką zazdrością, a także manią prześladowczą tego tyrana na tronie, wroga filozofów i senatu, opiekuna donosicieli, węszącego wszędzie spiski; być może także ten bardzo niesympatyczny cesarz (którego ulubionym zajęciem było łapanie much, nie tylko much, i przekłuwanie ich ostrym rylcem) wyciągając wnioski ze swych niezbyt udanych wypraw przeciwko Germanom i Dakom, postanowił skonsolidować cesarstwo w dotychczasowych granicach i zaniechać podbojów.

Starożytni przyrównywali kształt Brytanii do topora. Rzymianie mocno trzymali rękojeść, ale północne ostrze wkrótce miało się przeciwko nim obrócić. Poniechano zdobyczy i planów Agrykoli, a skoro bitne plemiona zamieszkujące Szkocję nie dały się ujarzmić, postanowiono z istic rzymską prostotą odgrodzić się od barbarzyńców – murem.

Nie, nie jest to dzieło piękne – ów wał biegnący od wschodniego do zachodniego krańca wyspy, od ujścia rzeki Tyne aż do zatoki Solway. Mur nie może być piękny i jest

antyarchitekturą zastygłą w konwulsyjnym geście obrony ukamienowaną przestrzenią; chociaż jednak nie budzi estetycznego wzruszenia, domaga się podziwu dla geniuszu rzymskich inżynierów. Zwłaszcza że przetrwał do dzisiaj niemal nienaruszony, tylko gdzieś tam czas uczynił w nim szczyby, przez które teraz przechodzą melancholijne krowy.

Mur Hadriana, bo za jego rządów go wznoszono w latach 123-128, jest długi na 76 mil rzymskich, to znaczy bez mała 113 kilometrów, i przecina prostopadle wyspę od zatoki Solway na zachodzie aż po ujście rzeki Tyne na wschodzie. Jego wschodni odcinek wynoszący 45 mil zbudowany był pierwotnie z kamienia, pozostała zachodnia część jest wałem ziemnym pokrytym darnią. Wysokość muru dochodziła do 6 metrów, szerokość zaś wynosiła 3 metry. W odstępach milowych wznosiły się baszty stanowiące miejsce dla załogi i punkt obserwacyjny oraz dwie wieże strażnicze. Mur wyposażony był także w liczne bramy wypadowe. Kiedy atak barbarzyńców koncentrował się w jednym punkcie, z sąsiednich bram wypadali legionści i jak myśliwi zamykali pierścień wokół oblegających. Przed wałem znajdowała się szeroka fosa, za nim zaś zbudowano 16 fortec – miejsce stałego postoju wojska, którego liczebność wynosiła 10-15 tysięcy ludzi. Tę bardzo funkcjonalnie pomyślaną konstrukcję uzupełniała ufortyfikowana droga biegnąca równoległe do wału, co umożliwiało szybki przerzut żołnierzy i sprzętu.

Sto kilkadziesiąt kilometrów na północ od muru Hadriana wzniesiono w latach 140-142 mur Antonina (nazwa pochodzi od cesarza Antonina Piusa). Tę długość wynosi 37 mil i łączy dwa punkty wybrzeża – Forth i Clyde. Po 40 latach od wybudowania porzucono tę linię obrony. W porównaniu z murem Hadriana była znacznie słabsza pod względem fortyfikacyjnym, bardzo niepewna zwłaszcza na flankach, a także zbyt daleko wysunięta na północ, aby obie te linie obronne mogły skutecznie wspierać się w skoordynowanej akcji obronnej. Zburzyli ją sami Rzymianie.

Nie w murach zresztą należało wówczas szukać obrony. Śmiertelna choroba toczy imperium od wewnątrz. Cesarstwo wstrząsane jest walkami o tron, w których bierze także niefortunnie udział Clodius Albinus – zarządca Brytanii. Nie waha się on ogołocić z legionów wyspę, aby stoczyć walkę o władzę z cesarzem Septymiuszem Sewerem. Zarządca Brytanii ponosi śmierć, ale Celtowie szkoccy wykorzystują sytuację, przedzierają się przez mur Hadriana i śmiałym niszczycielskim rajdem dochodzą do Yorku i Chester. W latach 208-211 cesarz Septymiusz Sewer podejmuje jak gdyby dalekowzroczne plany Agrykoli, odrzuca barbarzyńców poza mur Hadriana, a nawet posuwa się daleko na północ poza Aberdeen. Lecz on również nie urzeczywistnił swoich zamiarów. Kiedy w roku 211 umierał w Yorku, miał wypowiedzieć słowa: „W chwili gdy obejmowałem władzę w państwie, wszędzie panował zamęt; zostawiłem pokój nawet w Brytanii”.

Pokój złudny i nietrwały. U wschodnich wybrzeży wyspy pojawiają się korsarskie statki Franków i Saksonów – zapowiedź nadciągającej katastrofy. Obserwowano je z niepokojem, tak

jak w kilka wieków później za panowania potężnego Karola Wielkiego patrzono z niepokojem u wybrzeży Francji na prostokątne żagle Normanów zwiastujące przyszłe kłęski.

W burzliwej historii rzymskiej Brytanii znajdujemy także cesarza-samozwańca. Był nim niejaki Karauzjusz, dowódca floty, który doszedł do znacznego majątku w walce z piratami. Osiągnąwszy bogactwo, zapragnął sławy. W roku 286 ogłosił się cesarzem Brytanii. Dioklecjan, który panował wówczas w Rzymie, zrazu zniósł tę obelgę. Ale kiedy w kilka lat później Karauzjusz zostaje zamordowany przez swego zausznika, na wyspie ląduje ekspedycja karna pod wodzą Konstancjusza Chlorusa, cesarza władającego zachodnią częścią imperium. Chlorus pokonał rebeliantów, a także dokonał zakrojonych na szerszą skalę prac nad odbudową zniszczonych miast – Yorku, Verulamium, wzmocnił system obrony Londynu i mur Hadriana oraz wznosił nowe forty, głównie na wybrzeżu wschodnim. Odbył także zwycięską kampanię przeciwko Piktom, po której wkrótce zmarł w Yorku w roku 306. Jego zbrojny wysiłek zapewnił wyspie spokój na lat trzydzieści.

Za czasów Dioklecjana przeprowadzono szereg doniosłych reform administracyjnych. Imperium podzielone zostaje na dwanaście diecezji. Jedną z nich jest Brytania, która składa się z czterech nowo ustanowionych prowincji. Każda z prowincji wystawiała własną milicję (*limitanei*¹³²) podlegającą naczelnemu wodzowi, komesowi Brytanii (*Comes Britanniarum*). Ciężar obrony granicy północnej spoczywał odtąd na barkach wodza Brytanii (*Dux Britanniarum*), a wybrzeży wschodnich miał bronić komes Brzegu Saskiego (*Comes Litoris Saxonici*). Główną ideą tych reform była – jak się zdaje – próba usprawnienia dowództwa, a także szersze niż dotąd wciągnięcie ludności miejscowej w obronę wyspy.

Ale ludność miejscowa nie była dostatecznie zromanizowana, nie wszyscy wiązali swoje losy z losami Rzymu i nie wszyscy zadawali sobie retoryczne pytanie *Quid salvum sit, si Roma perit?*¹³³ Na domiar złego skład etniczny diecezji brytańskiej zmieniał się, i to na niekorzyść, pod wpływem silnych ruchów migracyjnych. W pierwszej połowie IV wieku bowiem na terenach zajętych przez Rzymian i ostatecznie spacyfikowanych osiedlają się, głównie na zachodzie wyspy, Celtowie ze Szkocji i Irlandii. Zrazu jest to emigracja pokojowa. Nowi przybysze otrzymują zgodę cesarza na osiedlenie na warunkach sprzymierzeńców. Do czasu jednak, bo już w roku 367 przyłączają się do Piktów, Szkotów, Franków i Saksonów, którzy przypuszczają koncentryczny atak na wyspę z północy, zachodu i południowego wschodu. Pada w walce komes Brzegu Saskiego, a wódz Brytanii salwuje się ucieczką. Całą niemal wyspę zalewają fale barbarzyńców.

Sytuację ratuje wysłany na czele potężnej armii przez cesarza Walentyniana komes

¹³² *limitanei* – żołnierze strzegący granic

¹³³ Co jest ocalone jeśli ginie Rzym (łac.); św. Hieronim, *Listy*, 123, 16. Tłum. J. Czuj.

Teodozjusz, który przywraca porządek, odbudowuje zniszczony mur Hadriana i szereg fortów na Brzegu Saskim oraz odbywa tradycyjną ekspedycję karną w głąb Szkocji. Jest to już jednak ostatnia optymistyczna scena przed tragicznym epilogiem.

W pierwszych latach V wieku ostatnie oddziały rzymskie opuszczają wyspę, udając się na wojnę z Gotami. Wyspiarze zostają teraz sami, zdani na własne siły. Błagania o pomoc rzymską pozostają bez odpowiedzi. Tonie teraz potężny statek imperium i nikt nie troszczy się o północną wyspę. Ostatni Rzymianin – cesarz Aecjusz – odczytywał zapewne z bezsilną ironią apel Brytów i opis ich sytuacji: „barbarzyńcy spychają nas w morze, a morze wyrzuca nas z powrotem na barbarzyńców”.

Chrześcijaństwo – „religia niewolników” – przejmuje schedę rzymską i rolę obrońcy cywilizacji. Pod koniec lat dwudziestych V wieku przybywa na wyspę św. German z Auxerre w misji, jeśli wolno się tak wyrazić, teologicznej, a mianowicie zwalczania herezji mnicha brytańskiego Pelagiusza, o którym św. Hieronim z istic senatorską pogardą powiedział, że „nażarty szkocką owsianką cierpi na zanik pamięci”. W roku 429 nie żaden centurion rzymski, ale ów święty German prowadzi milicję brytańską z okrzykiem *Alleluja*¹³⁴ do walki z Piktami.

II

Więc Grzesio uczył nas łaciny; skłamałbym, jeślibym powiedział, że nauka była łatwa i że oddawaliśmy się jej z radosnym zapałem. Naprzód jednak chciałbym opisać naszego preceptora. Był to mężczyzna w sile wieku, wysoki, postawny, proporcjonalnie zbudowany. Cerę miał oliwkową, jak ludzie rasy śródziemnomorskiej (potem dowiedzieliśmy się, że pochodzi z Kolchidy). Twarz surową, duży orli nos, u którego nasady przyczepiony był cwikier, jedyny nie antyczny a galicyjski element tej twarzy. Włosy czarne, lekko falujące, i przenikliwe duże oczy.

Był dla nas uosobieniem męskości, a także tego, co rzymskie, i łatwo wyobrażaliśmy go sobie w todze obramowanej purpurą lub na czele legionów. Uśmiechał się rzadko, a jeśli już, to sardonicznie, natomiast skala jego gniewu była nieporównana w swoim bogactwie i odcieniach – od ironicznego syku, przez retoryczną tyradę o powinnościach młodzieńców, aż do padającego jak jowiszowy grom: siadaj, durniu! Znosiliśmy te ciosy z pokorą, wiedząc dobrze, że *qui bene amat, bene castigat*¹³⁵.

Pierwsze lekcje z podręcznika w niewinnie zielonej okładce, zatytułowanego *Puer*

¹³⁴ Alleluja – (*hallelu-Jah*) chwalcie Pana (hebr.)

¹³⁵ Kto kocha właściwie, ten należycie karci (łac.).

*Romanus*¹³⁶, były dziecięco łatwe. Krótkie zdania w indykatiwie, np. *Terra est rotunda*¹³⁷ (stwierdzenie to zaniepokoiłoby Rzymian) nie sprawiały kłopotu nawet najbardziej zatwardziałym barbarzyńcom. Bez większego trudu przebrnęliśmy przez pięć deklinacji (z ulubioną najprostszą, czwartą), metodę chóralnego recytowania przez wszystkie liczby pojedynczej i mnogiej, zawsze z nieodłącznym przymiotnikiem – *puer bonus*¹³⁸, *servus miser*¹³⁹ – i te gromko powtarzane litanie szybko wpadały w ucho.

Koniugacje stanowiły już problem daleko trudniejszy ze względu na przesadne – naszym zdaniem – rozbudowanie czasów, więc wieszaliśmy nad naszymi łózkami arkusze papieru, na nich czerwonym ołówkiem wypisane były jak magiczne zaklęcia końcówki koniugacji: – o, – as, – at, – amus, – atis, – ant; – abam, – abas, – abat, – abamus, – abatis, – abant; – abo, – abis... i ukołysani tym jak dzwonekami płynęliśmy w nasze niespokojne sny szkolne, w których ukazywał się Grzesio pod postacią boga lub tyrana.

Aż wreszcie doszliśmy do najwyższego stopnia wtajemniczenia – do składni – i tu zaczął się las, matecznik i zgrzytanie zębów. To już nie były banalne zdanka, wymyślone przez poczciwych pedagogów, aby oswoić nas z mową naszych kulturalnych praojców, lecz wspaniałe jak portyki, długie jak bezsenne noce okresy klasycznych mówców i filozofów.

„*Gavius hic, quem dico, Consanus, cum in illo numero civium Romanorum ab isto in vincla coniectus esset et nescio qua ratione clam e lautumiis profugisset Messanamque venisset, qui tam prope iam Italiam et moenia Reginorum, civium Romanorum, videret et ex illo metu mortis ac tenebris quasi luce libertatis et odore aliquo legum recreatus revixisset, loqui Messanae et queri coepit se civem Romanum in vincla coniectum, sibi recta iter esse Romam, Verri se praesto advenienti futurum*”¹⁴⁰. Uff!

Krażyliśmy tedy nad tymi tekstami jak stado zbłąkanych ptaków, wydziobując podmiot, orzeczenie, a potem przydawki, dopełnienia i okoliczniki. Z gąszczu zdań pobocznych

¹³⁶ chłopiec rzymski

¹³⁷ Ziemia jest okrągła

¹³⁸ dobry chłopiec

¹³⁹ nieszczęśliwy niewolnik

¹⁴⁰ Ten Gaviusz z Kosy, o którym mówię, gdy został z innymi w kajdany okuty, nie wiem jakim sposobem wymknął się potajemnie z Kopalni i do Messyny przybył. Widząc już tak bliską Italię i mury Regium, z bojaźni śmierci ochłonął. Wyszedłszy z ciemnicy jakby światłem wolności orzeźwiony, jakby tchnieniem praw owiany, na nowo odżył. W Messynie zaczął mówić i uzalać się, że będąc obywatelem rzymskim, został wtrącony do więzienia, że dąży prosto do Rzymu, i tam na przybywającego Werresa czekać będzie (łac.). Cynceron, *Mowa przeciw Werresowi*, 2, 5, 61. Tłum. E. Rykaczewski, Poznań 1873.

wyłuskiwaliśmy zdanie główne, porządkowaliśmy czasy według *consecutio temporum*¹⁴¹ i odstępstw od *consecutio temporum*. Co leniwi posługiwali się brykami, lecz kończyło się to z reguły fatalnie (gorzej niż złą notą, bo infamią), gdyż Grzesiowi wcale nie szło o gładki przekład, lecz o wysiłek w zgłębianiu ducha mowy i jego wewnętrznej architektury. Kto tłumaczył zbyt potocznie, ale nie umiał objaśnić konstrukcji gramatycznej, demaskował się, że korzysta z pracy cudzej i z kandydata na obywatela Rzymu spadał nieuchronnie w szeregi niewolników. Aby temu zapobiec, pisaliśmy na marginesach naszych tekstów uwagi: „*accusativus cum infinitivo, ablativus absolutus, gerundium...*”¹⁴², co miało nas uchronić od podchwytliwych pytań. Daremnie. Nasz profesor tępił ściągę, wymazywał wszelkie pomocnicze uwagi w naszych książkach olbrzymią gumą i żądał po prostu, abyśmy mieli łacinę we krwi.

W tych czasach nikt (albo prawie nikt) poważny nie podważał celowości uczenia języków klasycznych w szkole. Nikt także nie obiecywał nam materialnych korzyści, jakie mogą płynąć z czytania Platona czy Seneki w oryginale. Było to po prostu ćwiczenie umysłu, a także zaprawa charakteru, gdyż zmagaliśmy się z rzeczami trudnymi i do dziś nie wiem, bo nikt tego nie udowodnił, czy nie lepsze niż rozwiązywanie równań liniowych.

Nasi pedagodzy, a Grzesio był przykładem klasycznym, nie ulegali nowinkom szkoły freudowskiej i nie zwracali najmniejszej uwagi na to, czy hodują w nas kompleksy. Postępowali chyba słusznie. Okrucieństwo szkoły przygotowywało do okrutnego życia. A potem okazało się także, że kompleksy są rzeczą cenną i wzbogacają życie wewnętrzne.

Więc uczyliśmy się łaciny u Grzesia. Jak? W męce. Panował w klasie dryl niemal wojskowy, a dwójce sypały się gęsto. Kiedy atmosfera stawała się nie do zniesienia, nasz profesor-centurion podrywał nas z ławek i pozwalał na całe gardło ryczeć (byle po łacinie), najczęściej „*Ave, Caesar, morituri te salutant*”¹⁴³, więc krzyczeliśmy i jednocząc się w tym krzyku, pokonywaliśmy strach i słabość ducha.

Jednym z fundatorów potęgi rzymskiej i głównym jej gwarantem była armia rzymska. Porównywano ją do serca albo stosu pacierzowego imperium. Istotnie, była to siła wojskowa nie mająca sobie równej w ówczesnym świecie i trudno znaleźć podobną armię w późniejszej historii. Warto przeto zastanowić się, na czym polegała tajemnica jej sukcesów. Ale zanim spróbujemy dać odpowiedź na to pytanie, powróćmy jeszcze na krótko do legionów w Brytanii.

Inwazyjne siły rzymskie w roku 43 składały się, jak już powiedzieliśmy z czterech legionów;

¹⁴¹ *consecutio temporum* – zasada następstwa czasów

¹⁴² *accusativus...* – konstrukcja biernika z bezokolicznikiem; *ablativus...* – połączenie rzeczownika z imiesłowem w miejsowniku wyrażające okoliczniki; *gerundium* – rzeczownik czasownikowy.

¹⁴³ „*Ave, Caesar...*” – Witaj, Cezarze (cesarzu), pozdrawiają cię mający umrzeć

dwa dalsze wylądowały na wyspie później. Jak długo poszczególne legiony pozostawały w Brytanii i gdzie szukać należy ich głównych punktów koncentracji?

II Augusta (legion nazwany tak, gdyż powstał za czasów imperatora Augusta) stacjonował początkowo w Gloucester (Glevum), lecz w roku 71 w związku z ofensywą na zachodzie przeniesiony został do twierdzy Caerlon (Isca) w południowej Walii, gdzie pozostał do końca III wieku. Po reorganizacji wojsk za czasów Dioklecjana został częściowo przeniesiony na wybrzeże szkockie i stacjonował w forcie Richborough (Rutupiae) niedaleko dzisiejszego Sandwich w hrabstwie Kent.

IX Hispana (przeniesiony z Hiszpanii, stąd nazwa) do roku 71 przebywał w twierdzy Lincoln (Lindum), potem dalej na północy w Yorku (Eboracum) – głównym rzymskim skupisku na wyspie, gdzie rezydowali cesarze w czasie swoich wizyt w Brytanii. Około roku 120 po Chr. legion ów zostaje wycofany i zastąpiony przez VI Victrix – który zostaje w Yorku aż do końca okupacji.

XIV Gemina (Bliźniak – prawdopodobnie stop dwu legionów) pozostaje na wyspie do roku 70, po czym zostaje wysłany do Germanii.

XX Valeria przypuszczalnie stacjonował początkowo w Gloucester, około roku 78 przeniesiony do Chester (Deva) w Walii. Jego losy nie są dokładnie znane. Najprawdopodobniej wycofany pod koniec IV wieku dla obrony północnych granic imperium.

II Adiutrix (utworzony przez cesarza Wespazjana na wybrzeżu Adriatyku jako legion rezerwowy) wysłany do Brytanii w roku 71 zajmuje twierdzę Lincoln (opuszczoną przez IX legion); później przeniesiony do Chester; wycofany w roku 86 nad Dunaj. Wszystko to zostało powiedziane po to, aby zatrzeć tradycyjny obraz legionów nieruchomo zastygłych na granicach cesarstwa.

Ogromne obszary imperium rzymskiego (za Hadriana 3 340 000 km²), granica lądowa rozciągnięta na 10 tysięcy kilometrów, wojny i podboje mogą narzucać przypuszczenie, że Rzym był państwem militarnym, gdzie co drugi obywatel był pod sztandarami albo pracował dla wojska. Jest to domniemanie błędne. Liczebność armii rzymskiej, nawet w okresie jej największego rozwoju, ocenia się na znacznie poniżej pół miliona ludzi. Biorąc pod uwagę, że w czasach Augusta – jak szacują statystycy – cała ludność imperium wynosiła 54 miliony – daje to wskaźnik poniżej 1% obywateli pod bronią.

Nie zatem ilość, ale jakość – wyszkolenie, organizacja, umiejętności taktyczne decydowały o przewagach orłów rzymskich. Rzymianie spotykali się na polach bitew ze szlachetnymi wolontariuszami, harcownikami, którzy bronili swojej wolności. Oni sami wchodzili w skład armii stałej opartej na zaciągu, a każdy żołnierz był specjalistą w swoim rzemiośle.

Liczba legionów, a więc oddziałów pierwszoliniowych, wykazuje zastanawiającą stałość w czasie długiej historii cesarstwa: waha się zaledwie od 27 do 33 (lub jak chcą inni autorzy – od

25 do 35). W skład legionów wchodziłoby obywatele rzymscy; z reguły stacjonowały one na granicy imperium. W stolicy znajdowała się tylko gwardia pretoriańska – przyboczna straż cesarza towarzysząca mu w jego kampaniach. W późnym okresie cesarstwa była ona potężnym czynnikiem politycznym i wielokrotnie wpływała na wybór i krwawe usuwanie cesarów.

Uzupełnieniem legionów były wojska sprzymierzeńców, tak zwane *auxilia*. Pochodziły z pobliskich prowincji i znajdowały się pod dowództwem tubylczych wodzów, zachowując zrazu pewną taktyczną autonomię, prowadziły bowiem walkę na swój sposób, jak na przykład syryjskie oddziały łuczników czy ciężka sarmacka kawaleria. Od czasów Augusta oddziały te stały się integralną częścią armii rzymskiej podporządkowaną jej naczelnemu dowództwu.

Legionom towarzyszyły w walkach także nieregularne jednostki piechoty – *numeri* i kawalerii – *cunei*, rekrutujące się z wojowników nowo podbitych szczepów nadgranicznych. Nie były to oddziały wyborowe, najczęściej słabo wyszkolone, wszelako w niektórych przypadkach bardzo użyteczne. Historycy odkryli, że w Brytanii w Lancaster, a później w South Shields, stacjonował egzotyczny oddział – *Numerus Barcariorum Tigrisiensium*¹⁴⁴ – pochodzący, jak wskazuje nazwa, znanad dalekiego Tygrysu. W czasie efemerycznego podboju kraju Partów przez Sewera ów *numerus* został sformowany, a następnie przerzucony do Brytanii i tu pracował nad budową promów wojskowych przez rzekę Tyne i zatokę Morecambe, ponieważ szeroko rozlane i płytkie wody nadbrzeżne przypominały warunki wodne Tygrysu.

Dowódcą legionu i związanych z nim oddziałów pomocniczych był *legatus legionis* – nieodmiennie senator w wieku około trzydziestu lat; obowiązek ten pełnił normalnie przez trzy lata. Zastępował go *praefectus castrorum*¹⁴⁵ odpowiedzialny za wyszkolenie, wewnętrzną organizację i zaopatrzenie. Najwyżsi stopniem oficerowie podlegający legatowi to sześciu trybunów. Trybunowie (instytucja pomyślana jako przygotowanie do politycznej kariery) nie sprawowali bezpośrednio dowództwa; zajmowali się sprawami administracji i jurysdykcji.

Na czele profesjonalnego grona oficerów stał *praefectus castrorum*. Był to zazwyczaj doświadczony dowódca po trzydziestu lub więcej latach nieprzerwanej służby wojskowej. Stos pacierzowy, twardy kościec armii stanowili centurionowie w liczbie 60 na każdy legion – bezpośrednio odpowiedzialni za bojowe wyszkolenie i dowodzenie podległych im centurii liczących po 80 ludzi. Większość centurionów wywodziła się z prostych żołnierzy, także wojsk pomocniczych. Najwyżsi rangą centurionowie, tak zwani *primi ordines*, dowodzili pierwszą kohortą legionu (kohorta – jedna dziesiąta legionu – była podstawową jednostką taktyczną i składała się z 6 centurii). Naczelny centurion – *primus pilus*¹⁴⁶ – wybierany corocznie, rzadko

¹⁴⁴ Numerus Barcariorum Tigrisiensium – oddział żeglarzy znanad rzeki Tygrysu

¹⁴⁵ praefectus castrorum – dowódca twierdzy

¹⁴⁶ primus pilus – pierwszy centurion pierwszego oddziału

dochodził do tej godności przed pięćdziesiątym-sześćdziesiątym rokiem życia.

Legioniści spędzali większą część swego życia z daleka od rodzin i ojczystych stron. Byli jakby małym wędrownym społeczeństwem, toteż w skład legionów wchodził nie tylko ci, którzy brali bezpośredni udział w walce, ale także tacy, którzy troszczyli się o zaspokojenie potrzeb normalnego życia. Owe funkcje administracyjno-gospodarcze spełniali często wysłużeni żołnierze, tak zwani *immunes*¹⁴⁷. Chorąży centurii był tradycyjnie skarbnikiem żołnierskiej kasy pożyczkowej i funduszu pogrzebowego, ale obok niego działali również zawodowi urzędnicy pobierający dla wojska kontyngenty zboża, a nadto wielu różnych *librarii*¹⁴⁸ i *exactores*¹⁴⁹ odpowiadających naszym kasjerom i księgowym, prowadzili bowiem wypłaty żołdu, zarządzali magazynami żywności czy wreszcie opiekowali się testamentami i mieniem zabitych w wojnie żołnierzy.

Operacje wojsk na odległych i trudnych terenach wymagały, jakbyśmy to dzisiaj określili, rozbudowanego zaplecza technicznego, a przede wszystkim fachowców, którzy potrafiliby przeprowadzić roboty inżynierskie od najprostszych do najbardziej skomplikowanych. Był więc w każdym legionie *architectus*¹⁵⁰, specjalista od robót ziemnych i naziemnych; *mentor*¹⁵¹, czyli geometra wyznaczający plan obozów; *hydraularius*¹⁵² odpowiedzialny za doprowadzenie wody do obozów i osuszanie terenów bagnistych. Towarzyszyła im poza tym spora liczba rzemieślników: konstruktorów katapult i machin obłężniczych, cieśli okrętowych, szklarzy, wytwórców strzał i wreszcie drwali, którzy torowali żołnierzom drogę przez leśne gęstwiny.

Opiekę duchową nad legionami sprawowali kapłani i wróżbiarze, zwani *haruspices*¹⁵³. Nie byli oni odpowiednikiem kapelanów w armii nowożytnej, dlatego określenie „opiekun duchowy” jest niezbyt ścisłe. Zadanie ich polegało raczej na zjednywaniu życzliwości bogów i przewidywaniu losów nie dla poszczególnych indywiduów, ale dla armii jako całości. Kolumna Trajana – ta gigantyczna taśma filmowa i nieocenione źródło ikonograficzne dla poznania życia żołnierzy cesarstwa – w jednej ze swoich scen przedstawia ofiarę ze zwierząt przy ołtarzu polowym: kapłani w płaszczach zarzuconych na głowę w asyście żołnierzy trzymających w rękach wielkie, zakręcone trąby i rogi przyjmują procesję ofiarników.

O zdrowie fizyczne i kondycję żołnierzy dowództwo armii dbało nie mniej troskliwie jak o

¹⁴⁷ *immunes* – (łac.); wolni od zajęć wojskowych.

¹⁴⁸ *librarii* – rachmistrze

¹⁴⁹ *exactores* – poborcy

¹⁵⁰ *architectus* – budowniczy

¹⁵¹ *mentor* – mierniczy

¹⁵² *hydraularius* – znający się na systemach wodnych

¹⁵³ *haruspices* – wróżbiarze

uzbrojenie. Wikt był zdrowy i niemal całkowicie wegetariański: ser, jarzyny, zacierka zbożowa; mięso pojawiało się rzadko, natomiast wino płynęło szerokim strumieniem w wyschłe gardła. Liczne znalezione w Brytanii amfory i ogromne gliniane pojemniki świadczą o tym, że był to jeden z pierwszych importowanych artykułów na wyspie.

Każda większa jednostka wojskowa posiadała swego lekarza w stopniu oficera; był to zwykle Grek, jak ów Hermogenes, którego ołtarz wotywny do dziś możemy oglądać w muzeum w Chester. Lekarzowi podlegali felczerzy (*medici*) i pielęgniarze (*capsarii*), nazwani tak od „apteczki pierwszej pomocy” – *capsa*¹⁵⁴, w którą wyposażeni byli na polu bitwy. Kolumna Trajana w jednym ze swoich fragmentów przedstawia żołnierza wojsk pomocniczych, który zakłada na udo legionisty opatrunek. Niezrównana była sztuka lekarzy greckich: przeprowadzali zręcznie skomplikowane operacje, usunięcie ciał obcych; amputacje były chlebem powszednim chirurgów, przy czym jako środków antyseptycznych używano smoły, terpentyny i różnych wywarów z ziół. Przy wielu obozach i fortecach zakładano szpitale.

Sukcesy armii rzymskiej – i z tym zgadza się większość pisarzy, nawet wrogów Rzymu – nie były dziełem przypadku czy przychylniej wojennej fortuny. Niebywała sprawność i efektywność tej militarnej siły polegała na tym, że każda kampania, każda bitwa była drobiazgowo przygotowana, a plany sztabu realizowane przez żołnierzy wszystkich stopni z żelazną konsekwencją. Forsowne marsze (późnorzymski pisarz Vegetius mówi, że co najmniej 3 razy w miesiącu odbywano dziesięciomilowy ćwiczebny marsz, i to w pełnym uzbrojeniu), musztra, zwana *armatura*, ćwiczenia z bronią i taktyczne były codziennym zajęciem legionistów zarówno w czasie pokoju, jak i wojny. Ujmuje to lapidarnie Józef Flawiusz, a więc człowiek, który ośmielił się stawić czoło potędze wojsk cesarskich. Ćwiczenia porównuje on do bezkrwawej bitwy, bitwę zaś nazywa krwawym ćwiczeniem.

Oczywiście, wyszkolenie nie zawsze stało na najwyższym poziomie i zmieniało się w różnych okresach. W czasach republiki i wczesnego cesarstwa odpowiadali za nie poszczególni wodzowie – zależało więc od wiedzy wojskowej i talentów indywidualnych dowódcy. Armia rzymska była bez porównania lepsza w rękach Cezara niż w czasach Augusta. Wybitny wódz rzymski Corbulo (działał w czasach Klaudiusza i Nerona, wślawił się zwycięską wojną przeciwko Partom), kiedy przybył do Syrii, zastał wojska rzymskie w opłakanym stanie. Stacjonowały nie w wojskowych obozach, ale na prywatnych kwaterach w mieście, oddane słodyczom życia. Corbulo zebrał zniewieściałych legionistów i w zimie w górzystym, pustynnym, smaganym lodowym wiatrem terenie odbył gigantyczny marsz, w czasie którego wielu zginęło z zimna i wyczerpania; za to wiosną mógł na czele tych, którzy wytrzymali tę potworną próbę, odbyć błyskotliwą i zwycięską kampanię w Armenii. Za czasów Trajana

¹⁵⁴ capsa – skrzynka

osiągnięto wysoki poziom wyszkolenia legionów dzięki wprowadzeniu specjalistów od musztry, zwanych *lanistae*¹⁵⁵ na wzór „trenerów” gladiatorских szkół.

Lista kar za złamanie dyscypliny była długa i dość przerażająca. Bunt i dezercja karane były śmiercią; jeśli przestępstw tych dopuściły się większe jednostki wojskowe, stosowano dziesiątkowanie. Żołnierz przyłapany na tym, że spał na warcie, był ukamienowany przez swoich towarzyszy. Niektórzy dowódcy nakazywali odcinać dezertantom prawą rękę. Chłosta stosowana była bardzo często, i to za drobne przewinienia – centurionowie nie od parady nosili szpicrutę z drzewa winnej latorośli. Karą za mniejsze wykroczenie była degradacja, utrata żołdu, karne ćwiczenia i zmniejszenie racji żywności.

Od czasu kiedy armia rzymska stała się armią zawodową, legionieści wiązali z nią całą swoją życiową karierę i egzystencję. Z wyjątkiem wyższych oficerów byli to ludzie pozbawieni osobistego majątku. Poza wojskiem byli niczym. To ono zapewniało im karierę, zabezpieczenie na starość, możliwość uciulania grosza. Warto więc przyjrzeć się, ile zarabiali. Zróżnicowanie żołdów podkreśla bardzo wyraźnie hierarchię poszczególnych grup tego zawodu.

W czasie rządów cesarza Domicjana centurion otrzymywał 5 000 denarów rocznie, a było to 17 razy więcej niż wynosił żołd prostego legionisty; *primi ordines* (centurionowie pierwszej kohorty każdego legionu) otrzymywali dwa razy tyle co zwykły centurion, czyli 10 000. Dwukrotnie więcej (20 000 denarów) wynosił żołd szefów centurionów (*primi pili*). Badacz angielski Peter Astbury Brunt proponuje tabelę żołdów, w której stara się uchwycić ich zmiany od czasów Augusta do Karakalli, czyli od początku I aż do III wieku. Za Augusta prosty żołnierz otrzymywał 225 denarów rocznie, centurion – 3 750, *primi ordines* – 7 500, a *primi pili* – 15 000. Dwa wieki później żołd wzrósł przeszło trzykrotnie i dla tych samych grup wynosił 750; 12 500; 25 000 i 50 000. Ta podwyżka wyrażona w cyfrach bezwzględnych jest mniej imponująca, jeśli weźmiemy pod uwagę dużą inflację rzymskiego pieniądza.

Trudno dzisiaj interpretować te liczby. Mówią one raczej o znacznym zróżnicowaniu wynagrodzeń za służbę w armii niż o standardzie życiowym legionisty. Inny uczony angielski Ralf Westwood Moore proponuje, aby za orientacyjny miernik przyjąć cenę zboża – i dochodzi do wniosku, że prosty żołnierz mógł się utrzymać, wydając 2/3 swego żołdu, a w późniejszych czasach tylko jedną piątą.

Sytuacja jednak nie była tak różowa, jak z tych obliczeń wynika, skoro wybuchały często bunty wojsk domagających się poprawy warunków życiowych. Główną przyczyną opisanego przez Tacyta buntu w roku 14 był fakt, że legionieści musieli ze swoich zarobków płacić także za broń, odzież i namioty. W takich przypadkach jednak cesarze woleli nie drażnić głównej podpory władzy i zaspokajali żądania żołnierzy. Aby zapewnić sobie ich lojalność, wstępujący na tron

¹⁵⁵ *lanistae* – (łac.); mistrzowie fechtunku.

asynowali spore sumy do podziału między legionistów.

Jak długo trwała służba wojskowa? Za czasów Augusta – 16 lat plus cztery lata nie pod bronią, ale na stanowiskach administracyjnych w legionie (*immunes*). Po wyjściu z wojska weterani otrzymywali odprawę oraz nadział ziemi, sprzymierzeńcy zaś prawo obywatelskie (w roku 212 po Chr. *Constitutio Antoniniana*¹⁵⁶ przyznała prawo obywatelskie wszystkim mieszkańcom prowincji). W pierwszej połowie I wieku okres służby został podniesiony do lat 20, a weterani służyli jeszcze w armii przez pięć dalszych lat; później okres czynnej służby wojskowej wynosił 25 lat.

Inkorporacja w szeregi następowała dość wcześnie i kilkunastoletni rekruci nie byli rzadkością. Na jednym z kamieni nagrobnych znajdujących się w muzeum Grosvenor w Chester czytamy: DIS MANIBUS CAECILIUS AVITUS EMERITA AUGUSTA OPTIO LEG. XX V.V. STIPENDIORUM XV VIXIT ANNOS XXXIV¹⁵⁷ – to znaczy, że Cecyliusz Avitus urodzony w Emerita Augusta, zastępca centuriona w XX legionie Valeria Victrix, służył w armii lat 15, żył 34 lata. O melancholio!

Edward Gibbon w swoim sławnym dziele *Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego* tak pisze o legionach rzymskich w Brytanii: „Panowie najpiękniejszych i najbogatszych połaci kuli ziemskiej z pogardą odwracali się od posepnych gór chłostanych przez zimowe burze, od jezior spowitych w błękitną mgłę i od zimnych, bezludnych wrzosowisk, po których gromada nagich barbarzyńców goniła leśne jelenie”¹⁵⁸. Gibbon, a za nim poszli inni autorzy, niewątpliwie idealizuje żołnierzy imperium zagnanych w dalekie kraje. Nie należy ich sobie wyobrażać jako smętnych, bladych młodzieńców czytających na postojach *Rozmyślenia* Marka Aureliusza i trawionych tęsknotą za Lesbią i Rzymem. Były to raczej krwiste i brutalne osiłki – ci obrońcy cywilizacji. Zresztą etniczny skład legionów stanowił barwną mozaikę i „prawdziwi Rzymianie” stanowili tu znikomy odsetek. Przeważająca większość – czego dowodzą inskrypcje nagrobne – pochodziła z Dalmacji, Tracji, Hiszpanii, Galii, krajów położonych nad Renem, Dacji, a nawet dalekiej Kapadocji i Syrii. Porozumiewali się zapewne między sobą mało wytworną łaciną, która tyle miała wspólnego z Ciceronem, co język rekrutów armii Franciszka Józefa z niemczyzną Hofmannsthalą.

Każdy legion stacjonował w stałym obozie, wokół którego grupowała się ludność miejscowa i napływowa – handlarze i rzemieślnicy. Aż do początku III wieku po Chr. żołnierze nie mogli

¹⁵⁶ *Constitutio Antoniniana* – Marek Aureliusz Antoninus zw. Karakalla nadał prawo obywatelstwa wolnym mieszkańcom prowincji.

¹⁵⁷ Dis manibus – Boskim ceniom (łac.); świętej pamięci.

¹⁵⁸ „Panowie najpiękniejszych i najbogatszych połaci...” – E. Gibbon, *Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego*. Tłum.: S. Kryński, Warszawa 1960, t. 1, s. 14.

zawierać legalnego małżeństwa w czasie pełnienia służby wojskowej. Mieli natomiast konkubiny i synowie z tego związku wcielani byli z reguły do legionu. Ci urodzeni w odległych od stolicy krajach znali Rzym tylko z opowieści, a twarz cesarza z portretu, jaki nosił chorąży – *imaginifer*. Nic dziwnego przeto, że więź ideowa żołnierzy z imperium i imperatorem stawała się z pokolenia na pokolenie coraz słabsza.

Armie przygraniczne przekształcały się stopniowo w wojska terytorialne o słabym wyszkoleniu i wartości bojowej. W roku 367 po Chr., w czasie wielkiego ataku Saksonów, Piktów i Szkotów, zaskoczenie legionów było całkowite z powodu zdrady żołnierzy patrolujących granicę, którym barbarzyńcy obiecali udział w podziale łupów. Zdarzyły się wówczas liczne przypadki dezercji.

Zmienił się także nie do poznania charakter, a nawet wygląd zewnętrzny miast garnizonowych i fortec. Znaczący tego okresu Ian A. Richmond tak o tym pisze: „Nowi żołnierze wraz ze swymi żonami i dziećmi żyli wyłącznie wewnątrz fortów, pobieżnie po najazdach odbudowanych przez miejscowych robotników. Forty stały się małymi ufortyfikowanymi dworami, bardziej przypominającymi dwory średniowieczne niż *castellum*¹⁵⁹ Rzymian; na modłę średniowieczną żołnierze otrzymywali przyległe pola uprawne jako rekompensatę za służbę. Ta nowa organizacja, a raczej jej brak, przyczyniła się do dewastacji budynków ustawionych jeszcze wciąż według tradycyjnych linii; odkryto to w wielu fortach, gdzie spichlerze stały się domem mieszkalnym, a budynki dowództwa – sklepami. Centurion starej daty zbladłby na ten widok”.

III

Mimo żelaznej dyscypliny, jaką aplikował nam Grzesio (a może właśnie dlatego) lubiliśmy (choć to słowo nie oddaje ani treści, ani natężenia uczuć) zarówno jego, jak i jego przedmiot. Z czasem lekcje składały się nie tylko ze żmudnych tłumaczeń, szlifowania gramatyki, ale część ich była poświęcona kulturze i cywilizacji antycznej. Zgłęбилиśmy tedy nie tylko tajemnice koniunktury, ale poznawaliśmy życie codzienne w stolicy imperium, uzbrojenie legionisty, rytuał Saturnaliów.

Oczywiście, był to Rzym wyidealizowany, Rzym cnót obywatelskich, surowego męstwa. Ani skandaliczne życie Cezarów opisane przez Swetoniusza, ani obscena z szynków Pompei nie kłały naszej świadomości. Scypion Starszy, Katon, Grakhowie, dobrzy cesarze z rodu Antoninów podawani byli jak wzory godne naśladowania. Wiedzieliśmy, rzecz jasna, o doli

¹⁵⁹ *castellum* – zamek, twierdza

niewolników, okrutnych prześladowaniach chrześcijan, szaleństwach Kaliguli, ale nad tymi mrokami świeciła mocno gwiazda rozumu.

Nie wiem, kiedy to się stało (a chyba na pewno nie wydarzyło się nagle), że łacina zaczęła nas wciągać i fascynować. Naprzód, jeśli dobrze pamiętam, sam jej dźwięk poważny, spiżowy, a jednocześnie jasny – harmonia dobrze rozdzielonych spółgłosek i samogłosek. Najprostsze zdania miały linię, mocno zarysowany kontur, jakby wykute były w kamieniu. *Eadem nocte accidit, ut esset luna plena* – Tej nocy zdarzyło się, że była pełnia. Niby to samo, a nie to samo. Więc owijaliśmy naszą mowę-lepiech, mowę ziemi i jej szeptów, jak bluszcz wokół marmurowej kolumny.

W moim zainteresowaniu łaciną i w miernych – wyznam – w tej dziedzinie postępach tkwił element, by tak rzec, osobisty. W kamienicy naprzeciw mieszkała młoda istota, której pełne kształty, kasztanowe włosy i dołeczki w policzkach przyprawiały o zawrót głowy i mąciły zmysły. Była córką profesora łaciny (nie z naszego wprawdzie gimnazjum), ale znaleźliśmy go, gdyż był autorem opracowań tekstów, nad którymi głowiliśmy się; ogłaszał także artykuły w miesięczniku „Filomata”, a pismo to prenumerowaliśmy (obowiązkowo) za pośrednictwem Grzesia. Siadywałem na balkonie z gramatyką łacińską Auerbacha i Dąbrowskiego i udawałem, że lektura tego wyjątkowo nudnego dziełka wprawia mnie w ekstazę.

Był to właściwie akt rozpaczy. Jeśli przedmiot moich gorących uczuć zjawiał się na balkonie, nie było to przeznaczone dla mnie. Czasem dotykała mnie roztargnionym spojrzeniem, tak jak się patrzy na obłoki przesuwające się po niebie. Czekwała na mego starszego kolegę z liceum, rosnącego młodzieńca z falującą czupryną blond, niewątpliwie przystojnego (był chorążym naszego szkolnego sztandaru i na uroczystościach przepasany szarfą, w białych rękawiczkach prezentował się istotnie znakomicie) – ale, wiedziałem to dobrze, nie mógł dać jej szczęścia. Codziennie niemal o piątej po południu ona i mój śmiertelny wróg wychodzili z domu i znikali za rogiem w małej uliczce ocienionej kasztanami, gdzie (mówiła mi o tym moja rozgorączkowana wyobraźnia) działy się rzeczy straszne: ujmował ją pod ramię (wbrew najsurowszym zakazom regulaminu szkół średnich) i być może wyciskał na jej jedwabnej rękawicze płomienny pocałunek. Burza sprzecznych uczuć w mojej udęczonej duszy:

*Odi et amo. Quare id faciam, fortasse req
Nescio, sed fieri sentio et excrucior*¹⁶⁰.

Na co liczyłem, manipulując na balkonie gramatyką łacińską Auerbacha i Dąbrowskiego tak,

¹⁶⁰ Kocham i nienawidzę. Jakże się to dzieje? – / Spytasz. Nie wiem, lecz czuję, cierpię i szaleję (łac.); Katullus, *Poezje* [*Pieśni*, 85]. Tłum.: A. Świderkówna.

aby okładka była z daleka widoczna? Liczyłem na to, że pewnego dnia dostrzeże mnie ojciec – klasyczny filolog i zawoła: „Obserwuję cię, młodzieńcze, od dawna. Twoja skromność i pracowitość, twoje umiłowanie mowy Rzymian są rękojmią, że jesteś odpowiednim kandydatem na męża mojej córki. Oddaję ci przeto jej rękę”. A dalej sprawy potoczyłyby się jak w bajce.

Nie potoczyły się. Za to wykułem na blachę sporo przykładów użycia bardziej skomplikowanych form gramatycznych i mogłem błyszczeć na lekcjach, a nawet zdobyłem przyjazne spojrzenie Grzesia.

Pracowaliśmy w pocie czoła. Zbliżała się pora owocobrania: w następnym roku mieliśmy przejść do poezji Katullusa i Horacego. Ale wtedy wkroczyli barbarzyńcy.

Jak ocenić wkład cywilizacyjny Rzymu w Brytanię? Na to pytanie podaje się różne odpowiedzi uczonych. Archeolog angielski Francis John Haverfield mówi: „Od Rzymian, którzy kiedyś panowali w Brytani, my Brytyjczycy nie odziedziczyliśmy praktycznie nic”. Bardziej sprawiedliwa wydaje się opinia znakomitego badacza dziejów George’a Macaulaya Trevelyan. W swojej *Historii Anglii* pisze on: „Ostatecznie Rzymianie pozostawili po sobie trzy wartościowe rzeczy: po pierwsze (a stwierdzenie to ubawiłoby i zbulwersowało Cezara, Agrykolę i Hadriana) walijskie chrześcijaństwo; po drugie rzymskie drogi; po trzecie rosnące znaczenie pewnych nowych miast, a w szczególności Londynu. Natomiast łaciński styl życia w miastach i willach, a także sztuka, język i polityczna organizacja rzymska zniknęły jak sen. Najważniejszym faktem wczesnej historii wyspy był fakt negatywny, a mianowicie Rzymianom nie udało się zlatynizować w sposób trwały Brytanię, tak jak to powiodło się im we Francji”.

Zakładanie miast nie było zresztą bezinteresownym dobrodziejstwem ze strony okupantów. Jak słusznie podkreśla Pierre Grima – Rzymianie wznosząc miasta traktowali je jak potężny instrument polityczny. „Miasto rzymskie nie sprowadzało się wyłącznie do zespołu określonych wygod materialnych, było ono przede wszystkim wszechobecnym symbolem systemu religijnego, politycznego i społecznego stanowiącego trzon cywilizacji rzymskiej”¹⁶¹.

Archeologowie odkryli na wyspie dwadzieścia kilka większych ośrodków miejskich pochodzących z czasów rzymskich. Przeważnie zakładane były w miejscu dawnych stolic szczepowych. Otoczone murem, zbudowane na typowo rzymskim planie prostokątnym, Silchester (Callea) miało zaledwie 80 domów, a liczba jego mieszkańców nie przekraczała zapewne półtora tysiąca. Z wyjątkiem Londynu, którego populację w okresie rozkwitu uczeni określają na 15 000, inne miasta rzadko przekraczały liczbę 3 000 mieszkańców. O ich charakterze miejskim decydowało to, że były siedzibą władzy municypalnej i znajdowały się tam budowle publiczne – charakterystyczne rzymskie forum w środku miasta z kapitołem, czyli

¹⁶¹ *Miasta rzymskie*. Tłum.: J. Pański, Warszawa 1970, s. 7.

główną świątynią oficjalnej religii, kurią – gdzie odbywały się posiedzenia prowincjonalnego senatu, bazyliką, w której obradował sąd, a także teatrem i amfiteatrem, termami spełniającymi rolę klubów czy dzisiejszych kawiarni. Ozdabiały miasto łuki tryumfalne, kolumny i posągi – słowem były to małe, często niewydarzone kopie stolicy imperium.

Nota wydawcy

I *Labirynt nad morzem* – uwagi wydawcy:

Książka, którą niniejszym oddajemy do rąk Czytelnika, została zarówno co do treści, jak układu, opracowana przez Zbigniewa Herberta. Nasze interwencje redakcyjne ograniczyły się do: uwspółcześnienia pisowni i interpunkcji, uzgodnienia nazw własnych, w tym nazwisk, ze stosowanymi w polskim piśmiennictwie (Zbigniew Herbert często posługiwał się pisownią zapożyczoną z książek obcojęzycznych), porównania cytatów (z przywoływanymi, lub nie, źródłami: cytaty w przekładzie Autora pozostawialiśmy bez zmian; pozostałe uzgadnialiśmy, w przypisach podając ich tłumacza). Kierowaliśmy się zasadą wierności wobec Autora: za podstawę obraliśmy bez wyjątku teksty przejrane przez Zbigniewa Herberta podczas jego pracy nad książkowym wydaniem szkiców. W przypadkach spornych (stosunkowo rzadkich), przywracaliśmy wersję z rękopisu lub autorskiego maszynopisu.

Maszynopis złożony do druku przez Autora otwiera strona tytułowa z napisami: „Zbigniew Herbert”, „Labirynt nad morzem”. Tytuł przyjmujemy za ostateczny, widnieje on na wszelkich spisach rozdziałów projektowanej książki, jakkolwiek na szkicu *Lekcja łaciny* pojawił się, wprowadzony ręką redaktora, dopisek: „Zbigniew Herbert, *Labirynt nad morzem* – szkice z podróży po Grecji”.

Strona następna: „Spis rzeczy”. Co do układu i treści, respektuje go zarówno maszynopis złożony do druku (mimo nieciągłej i naruszonej w swoim porządku numeracji stron maszynopisu), jak niniejsza książka.

Strona trzecia, nie numerowana: widnieje na niej dedykacja wypisana ręką Zbigniewa Herberta: „*Kasi*” (żona Autora, Katarzyna z Dzieduszyckich Herbertowa).

Otwierający książkę szkic *Labirynt nad morzem* ukazał się w miesięczniku „Twórczość” 1973 nr 2. Maszynopis tego eseju, złożony do druku w książce, nie nosi zmian autorskich. Przytaczając szkic z tego samego maszynopisu w książce *Zeszytów Literackich*, ograniczyliśmy się, poza zastosowaniem zasad przywołanych powyżej, do usunięcia pewnych błędów powstałych w druku w „Twórczości” (przykładowo: zamiast „ograniczoność” przywracamy słowo „organiczność”, zamiast „wytrwałości” – „wytrzymałości”, zamiast „Guttenberg” –

„Gutenberg”).

Szkic *Próba opisanie krajobrazu greckiego* ogłosiła „Poezja” 1966 nr 9. W książce Zeszytów Literackich wersja zmieniona, poprawiona przez Autora (druk wg tego samego maszynopisu, noszącego wszakże, uwzględnione przez nas, odręczne poprawki Autora, powstałe, najwyraźniej, podczas pracy nad wydaniem książkowym; zmiany są liczne, niekiedy 3-5 na stronie maszynopisu, obejmują poszczególne słowa, całe zdania lub akapity). Szkic od pierwszych swoich wersji, również w rękopisie, dedykowany: „Magdzie i Zbyszkowi Czajkowskiem”, towarzyszom pierwszej wyprawy do Grecji, 1964 (por. III).

Szkic *Duszyczka* został opublikowany pt. *Akropol i duszyczka*, „Więź” 1973 nr 4. Drukujemy wg maszynopisu przygotowanego do druku w książce, różniącego się od ogłoszonego w „Więzi” jedynie dedykacją, nieobecną w druku i na wcześniejszych wersjach maszynopisowych, naniesioną odręcznie przez Autora: „Zdzisławowi Najderowi”, oraz przekreślonym pierwszym członem tytułu „Akropol i”.

Szkic *Akropol* ogłosiła „Twórczość” 1969 nr 1. W książce Zeszytów Literackich wersja zmieniona, przejrzana przez Autora (druk wg maszynopisu z odręcznymi poprawkami Autora, liczne zmiany stylistyczne, zwłaszcza w części II szkicu, przeciętnie dwie na stronie maszynopisu, na kopii tekstu złożonego do druku w „Twórczości”).

Szkic *Sprawa Samos* ukazał się w miesięczniku „Odra” 1972 nr 3. W książce Zeszytów Literackich w wersji zmienionej: maszynopis złożony do druku w książce różni się od wersji ogłoszonej w „Odrze” kilkoma drobnymi zmianami stylistycznymi, pochodzącymi od Autora. Widnieje na nim również usunięta w druku w „Odrze” dedykacja: „Dla Mirosława Holuba”. (Mirosław Holub, 1923-1998, czeski poeta i eseista, biolog immunolog, tłumacz poezji Herberta, znawca literatury anglo-amerykańskiej, po interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji, 1968, pozbawiony pracy w Instytucie Mikrobiologii 1970-95, i prawa druku 1971-82; jako poeta zdobył sławę dzięki tłumaczeniom anglo-amerykańskim). W druku w „Odrze” zniknął również passus nt. starożytnego dekretu o cenzurze; tak jak dedykację, odnajdujemy go w wersjach maszynopisowych, a także w rękopisie. Chodzi o następujący fragment: „Podobno przegłosowano ów akt [dekret o cenzurze] na zgromadzeniu ludowym w czasie nieobecności jego [Peryklesa] w Atenach. Wreszcie – mówią obrońcy – sam zakaz nie utrzymał się i po pewnym czasie (po dwu sezonach teatralnych) zaniechano tej praktyki niegodnej ojczyzny demokracji”.

Szkic O *Etruskach* ukazał się w miesięczniku „Twórczość” 1965 nr 9. Drukujemy w wersji nieznacznie zmienionej (na kopii maszynopisowej tekstu złożonego w „Twórczości” i na tekście wydrukowanym w „Twórczości” Zbigniew Herbert naniósł odręcznie drobne zmiany, przygotowując szkic do druku w książce; uwzględniamy je).

Szkic *Lekcja łaciny*. Nie drukowany, fragment ogłosiły „Zeszyty Literackie” 2000 nr 71, zapowiadając niniejszą książkę. Zachował się rękopis i dwie kolejne wersje maszynopisowe; pierwsza, wierna wobec rękopisu, zawiera mniej rozbudowany wątek autobiograficzny, ograniczający się do wstępu, oraz nieco inne zakończenie. Drukujemy wg maszynopisu złożonego przez Autora do druku w książce.

II *Labirynt nad morzem*. Historia pewnego maszynopisu:

Zbigniew Herbert złożył maszynopis książki *Labirynt nad morzem* w wydawnictwie Czytelnik. Na okładce tekturowej teczki widnieje nazwisko autora i tytuł, wypisane jego ręką, oraz adnotacja wydawnictwa: „wpływ 15.5.1973 r.”. Odnajdujemy dwa inne napisy: u góry, zamazany, ujęty klamrą czytelnych zwrotów: „tow.” (...) „PZPR”, przedstawiający nazwisko i, prawdopodobnie, nazwę instytucji; nad datą „wpływu” zaś inny, drobniejszym pismem: „72 r. 1 II” (data podpisania umowy?).

Książka nie ukazała się.

Po ogłoszeniu stanu wojennego, 1981, Katarzyna Herbertowa, na prośbę Autora, odebrała maszynopis z wydawnictwa.

Drugą połowę l. 80. Zbigniew Herbert spędził w Paryżu. Chorował. Maszynopis pozostał w Polsce. Autor chciał go opublikować i wracał do niego jeszcze w latach 90.: w jednej z teczek z maszynopisami szkiców przeznaczonych do wydania książkowego odnaleźliśmy pożegnalne wiersze Herberta, w tym *Brewiarz. Drobiazgi* z datą 10 VI 1997. Inny, pt. *Ostatnie słowa*, ewokuje śmierć Mirosława Holuba, któremu dedykowany jest szkic *Sprawa Samos* (zm. 14 VII 1998, dwa tygodnie przed Herbertem). Wiersze te, za łaskawą zgodą Katarzyny Herbertowej, ogłosiliśmy w „Zeszytach Literackich” 2000 nr 72.

W roku 1999 wdowa po Zbigniewie Herbercie powierzyła nam do druku ten sam maszynopis.

III *Labirynt nad morzem*. Historia pewnej fascynacji.

Zbigniew Herbert pierwszy raz był w Grecji ok. 5 IX-6 X 1964 w towarzystwie Magdaleny i Zbigniewa Czajkowskich, przyjaciół zamieszkałych w Anglii. Wspólnie zwiedzili: Ateny, Spartę, Mykeny, Korynt, Delfy, Epidauros, Sunion. Literackim pokłosiem tej podróży są: wiersze, apokryfy, małe utwory prozą (por. Zbigniew Herbert, *Im Vaterland der Mythen*, Frankfurt am Main, Suhrkamp Verlag, 1973, s. 216, red. Karl Dedecius, tłum.: Karl Dedecius, Klaus Staemler, Walter Tiel) oraz *Diariusz grecki* („Zeszyty Literackie” 1999 nr 68) i niniejsza książka. Szersze informacje w: „Zeszyty Literackie” 68, numer specjalny, w hołdzie Zbigniewowi Herbertowi, s. 43-62.

IV *Labirynt nad morzem*. Dzieło w toku:

Na teczce z rękopisami Zbigniew Herbert nalepił karteczkę, na której wypisał szkice składające się na projektowaną książkę: „*Labirynt nad morzem: Labirynt nad morzem; Próba opisanie krajobrazu greckiego; Akropol; Sprawa Samos; Akropol i duszyczka*” – pod tymi tytułami opublikowane w prasie.

W teczce znajdujemy spisy rozdziałów (lub tematów?) projektowanej książki. Na jednym Autor napisał: „*Labirynt nad morzem: 1. Labirynt nad morzem; 2. Thera; 3. Próba opisanie krajobrazu greckiego; 4. Gorące Wrota; 5. Salamina; 6. Akropol; 7. Sprawa Samos; 8. Niewolnicy; 9. Akropol i duszyczka; 10. Rozważania nad talerzem*”.

Na innym spisie, po lewej jego stronie Herbert zaznaczył, obok tytułu rozdziału, liczbę stron maszynopisu: „*Labirynt nad morzem: 1. Akropol i duszyczka (zamiast wstępu) – 8; 2. Labirynt nad morzem – 45; 3. Próba opisanie krajobrazu greckiego – 20; 4. O Etruskach – 20; [w innym pionie, wcięte, jako, prawdopodobnie, tekst niegotowy, bez zaznaczenia liczby stron:] 5. Małżonkowie z Cerveteri; 6. Akropol – 40; 7. Sprawa Samos – 14; 8. Lekcja łaciny – 40; [łączna liczba stron:] 187*”. Jest to spis niemal ostateczny, w porównaniu do zawartości niniejszej książki, z tym, że inna jest kolejność rozdziałów. Inna jest też liczba stron poszczególnych rozdziałów, przybliżona raczej do liczby stron maszynopisów roboczych.

Na podstawie rękopisów i wcześniejszych wersji maszynopisowych szkiców, które niniejszym ukazują się nakładem Zeszytów Literackich pt. *Labirynt nad morzem*, jako pierwodruk książkowy, upewniamy się, że plany Autora ulegały zmianie: książka o wyprawie do Grecji, jako do źródeł cywilizacji europejskiej, poszerzona o szkic o Etruskach, miałaby zostać uzupełniona o szkice o potędze i upadku Rzymu. Esej *Lekcja łaciny* był realizacją tego projektu; w teczkach zatytułowanych, ręką Herberta, *Labirynt nad morzem* odnaleźliśmy również, w rękopisie, notatki i fragment nie ukończonego szkicu pt. *Upadek Rzymu*; notatki pt. *Najazdy*; wypisy z publikacji *Złupienie Rzymu*.

Tom Zbigniewa Herberta *Im Vaterland der Mythen* [*W ojczyźnie mitów*] (por. III; wyd. 1973 z powołaniem na © 1970), w pośredni sposób rzuca światło na powstającą książkę. Na edycję niemiecką złożyły się utwory wierszem i prozą z lat 1956-73. Szkice pomieszczone w tym tomie to: *Próba opisania krajobrazu greckiego; Akropol; U Dorów* (z tomu *Barbarzyńca w ogrodzie*); *Sprawa Samos; Labirynt nad morzem*.